



**Roma Ligocka**  
**DROGA ROMO**



**Roma Ligocka**

**DROGA  
ROMO**



**WYDAWNICTWO LITERACKIE**

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Droga Romo

Opieka redakcyjna, redakcja: KATARZYNA KRZYŻAN-PEREK

Adiustacja i korekta: HENRYKA SALAWA, PAULINA ORŁOWSKA, DOROTA TRZCINKA,  
BARBARA TURNAU

Na okładce wykorzystano elementy projektu okładki włoskiego wydania *Dziewczynki w czerwonym płaszczyku* oraz zdjęcie Autorki – fot. Franciszek Fuchs

Opracowanie okładki: ALICJA MIGDAŁ-DROZD

Projekt stron tytułowych i opracowanie graficzne: ROBERT KLEEMANN

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

W książce zamieszczono dokumenty i zdjęcia z archiwum Autorki (s. [\[3\]](#), [\[38\]](#), [\[56\]](#), [\[93\]](#), [\[180\]](#), fot. Franciszek Fuchs) oraz rysunki Romy Ligockiej powstałe w latach 50. XX w. (s. [\[47\]](#), [\[50\]](#), [\[53\]](#), [\[90\]](#), [\[120–121\]](#), [\[133\]](#), [\[209\]](#), [\[210\]](#), [\[221\]](#)).

© Copyright by Roma Ligocka

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05685-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

Księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla Darka  
ta książka jak wyciągnięta dłoń  
poprzez przestrzeń i czas...

Książka oparta na motywach autobiograficznych.  
Nie jest autobiografią.

Jestem Julią  
mam lat tysiąc  
żyję –

HALINA POŚWIATOWSKA

**D**OBRZE JEST PŁYNAĆ. Nie trzeba żyć, trzeba płynąć, mówi coś we mnie łagodnie... Unoszę się nad Krakowem pośród chmur. Widzę z góry mój dom, mieszkanie, całe moje życie.

Nagle czuję, że zbliża się ktoś obcy... odpycham czyjeś ręce... boję się dotyku, boję się pocałunków...

Nigdy jeszcze się nie całowałam – mówię głośno – przecież ja nigdy...

Wtedy dopiero się budzę.

Odebrałam list na poczcie. Leżał tam już kilka dni. Napisany ręką mamusi, ale litery tak zawsze ładne i okrągłe są jakieś rozmazane.



**Córko!**

***Czy to prawda, że jesteś w ciąży? Roma! Napisz mi natychmiast, czy to prawda, bo ja tu oszaleję!***

(Córko! – nie jak zwykle „Kochana Romo” albo trochę milej „Moja Romeczko”, tylko po prostu „Córko”).

***Jak Ty mogłaś mi to zrobić, żebym się od obcych ludzi musiała dowiadywać takich rzeczy?***

***Dlaczego nie piszesz? Już trzy tygodnie nie mam od Ciebie wiadomości! Ty nie wiesz, jak ja się denerwuję, nie śpię w nocy i serce mi już coraz bardziej dolega. Pytałam o Ciebie wujka, ale on też nic nie wie. A może tylko nie chciał mnie martwić...***



Listy od mamy przychodzą na poste restante – to znaczy, że trzeba je osobiście odebrać, podpisać i pokazać dowód. Nie przychodzą ze zwykłą pocztą, którą listonosz wrzuca przez szparę w drzwiach. Ale nie przeszkadza mi to, że muszę iść na pocztę – lubię chodzić do miasta,



szczególnie w stronę Rynku. Idę tak sobie spacerkiem, oglądam wystawy. Na poczcie trzeba trochę poczekać w kolejce, a potem chętnie pokazuję pani w okienku mój dowód – on oznacza, że jestem już dorosła.

Jeszcze inaczej jest, kiedy przychodzą paczki. Odbiera się je na drugim końcu miasta, trzeba tam jechać taksówką i zawsze jeździ ze mną wujek. „Jakby coś było nie w porządku” – mówi.

Ale co ma być nie w porządku w tym, że mamusia przysłała mi z Wiednia sweterki, różne rzeczy do jedzenia, słodczyce, sardynki, a czasem nawet owinięte w bibułkę pachnące zielone jabłka?

Nie przeczytałam do końca listu od mamy – poczułam, że nie mogę, że nogi się pode mną uginają.

Potem chciałam usiąść na ławce na Plantach i tam go dokończyć, ale pomyślałam, że jest za dużo ludzi, i to by było tak, jakbym czytała go na głos tym wszystkim przechodzącym osobom, jakby one też słyszały słowa mamusi. A ona pisze takie straszne rzeczy!

W końcu wracam do domu.

Kładę list na stole, a sama podchodzę do okna i przytulam twarz do szyby. Okno wychodzi na podwórko. Daleko ponad migającymi światłkami mieszkań naprzeciwko kryje się coś, czego nie mogę dostrzec i co czai się na mnie. A może to coś jest w liście od mamy? A może jest we mnie?

Podchodzę do stołu, obracam w palcach dwie cienkie niebieskawe kartki. U nas nie ma takiego papieru, delikatnego jak bibułka, błyszczącego, w bladoniebieskim kolorze. Od razu widać, że to list z zagranicy. Mam tych listów pełną szufladę, bo mamusia już od dawna jest w Wiedniu i często pisze. Wujek mówi, żeby je zaraz niszczyć, na wypadek gdyby przyszła jakaś kontrola, milicja albo coś, ale jak na razie nikt taki się nie pojawił.

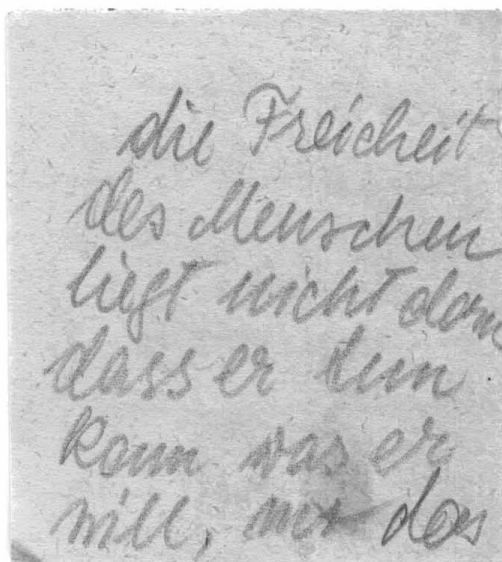
Teraz się zastanawiam – a gdyby wcale tego dalej nie czytać? Albo poczekać do jutra? Albo do kiedyś?



***Roma! Boże drogi, co Ty robisz całymi dniami? A w nocy podobno gdzieś chodzisz, włóczysz się po jakichś piwnicach czy klubach! Czyś***

**Ty już rozum straciła? A tak mi obiecywałaś, że będziesz rozsądna i odpowiedzialna. Przecież wiesz, że ja tu, w Wiedniu, nie jestem dla zabawy, że inaczej się nie dało. Musiałam wyjechać, ale nie jesteś sama, jest wujek, który Ci pomaga, bo mnie kocha, jest Marynia, która się Tobą opiekuje. A Ty? Co masz do roboty? Tylko się uczyć i być grzeczna...**

**Może ja muszę wrócić, żeby to wszystko się skończyło? A ile mnie kosztuje ten pobyt tutaj i jak ja się staram, żeby móc Ci czasem coś posłać – o tym to Ty wcale nie myślisz...**



Czytam to wszystko, a właściwie nie czytam, nie mogę się skupić. Na drugiej kartce jest już niewiele słów, tylko coś jakby prośba.



**Błagam Cię, dziecko, powiedz prawdę! Jak to się już stało, to chociaż się przyznaj! Idź do wujka i wszystko mu powiedz. Nie bój się. To można jakoś załatwić. Jak tylko dostaniesz ten list, to idź do wujka. Nie kłam, nie oszukuj, tylko się przyznaj. Jak będzie trzeba, to przyjadę. Tylko już nie rób głupstw i nie bój się. Bo ze strachu w jeszcze gorsze rzeczy możesz się wpackować...**



Siadam na tapczanie, tu czuję się najlepiej, najpewniej, ciągle z tymi kartkami w ręce. Opieram plecy o miękki kolorowy kilim, który wisi na ścianie nad tapczanem – jego dotyk zawsze mnie pocieszał, pociesza i teraz.

Czy ja jestem w ciąży? Jak mogę być w ciąży? Przecież ja nigdy jeszcze... nigdy nie zrobiłam tego...

Przypominam sobie, że kiedyś, nie tak dawno temu, ale byłam wtedy ciągle dzieckiem, wierzyłam, że od pocałunku można zajść w ciążę, a nawet przez to, że się tylko myślało o takich rzeczach...

Teraz wszystko niby już wiem, ale nie chcę tego wiedzieć. Boję się gniewu mamy. Cały czas się czegoś boję, a jednocześnie robię wiele niemądrych rzeczy, których robić nie powinnam i których potem się

wstydzę. Próbuję sobie wyobrazić wszystko to, co się wydarzyło, odkąd nie ma tu mamusi. Chyba zrobiłam same głupstwa. A oni tak się o mnie martwią, ona i wujek, i tak się starają, żebym wszystko miała, pieniądze i jedzenie, i w ogóle, a ja to tylko marnuję, marnuję...

Nawet nie wiem, kiedy się zdrzemnęłam. W naszym pokoju przeważnie jest mrok, bo mieszkamy na parterze, i trzeba zapalić światło, żeby sprawdzić, która godzina... Budzi mnie głos Maryni:

– Ja idę do kościoła, a potem do domu. A pani Romeczka teraz śpi? A nawet obiadu nie zjadła.

– Och, tak! Przepraszam, Maryniu.

Zapomniałam o obiedzie. To przez ten list!!

Marynia ciągle jeszcze jest u nas. Nie odeszła, choć nieraz się odgrażała, że to zrobi: „Bo ja na takie coś patrzeć nie mogę – mówiła – jak ktoś do południa śpi i tylko się maluje albo przebiera przed lustrem, i nic nie je, żeby być chudym i nosić te wszystkie krótkie kiecki. A w nocy w domu nie śpi, bo mi dozorczyni mówiła, że Romeczka to i nad ranem wraca”.

Marynia narzeka, ale jest u nas, tak jak była zawsze. Gotuje, sprząta, dba o mnie. A ja staram się jej nie rozgniewać, bo co bym bez niej zrobiła? Nie umiem gotować, a naczynia ciągle mi się gromadzą w zlewie i zawsze zapominam je umyć...

– Pani Romeczka to nawet naczyń zmyć po sobie nie potrafi, a jajka to zawsze przypali... – narzeka Marynia. – Pani Teofila Romeczkę tak przyzwyczaiła, na księżniczkę wychowała. A teraz książąt już nie ma, teraz są inne czasy... Pani mamusia to tylko patrzy, żeby sobie Romeczka rączek nie brudziła. Pozwalała tylko uczyć się i czytać... a teraz pani Romeczka nawet się pewnie i nie uczy, tylko gdzieś lata...

Odkąd mamusia wyjechała za granicę, a ja zostałam w mieszkaniu tylko z Marynią, nasza gosposia przestała mi mówić „ty”. Najpierw nie wiedziała, jak się do mnie zwracać. Ale teraz od jakiegoś czasu mówi mi „pani”, widać uznała mnie już za dorosłą.

Marynia była w naszym domu jeszcze przed wojną, kiedy mnie nie było na świecie. A po wojnie wróciła. Stała któregoś dnia w progu z tobołkiem u nóg i już u nas została. Mimo że na początku, po śmierci tatusia, nie było pieniędzy. „Jak ja ci zapłacę, Maryniu?”, pytała mama

bezradnie. „Niech się pani już nie martwi – mówiła Marynia, lekko sepleniąc – byle kawałek chleba był, a Pan Bóg to nam w niebie zapłaci...”

Mieszkanie mamy teraz małe, tylko pokój z kuchnią. Marynia przez pewien czas spała w przedpokoju na składanym łóżku. Potem zamieszkała u swojej siostrzenicy. Ale przychodzi rano, wychodzi wieczorem i dba o dom. Odkąd mama wyjechała do Wiednia, niby na leczenie, ale i trochę z innych powodów, Marynia się mną opiekuje.

Teraz szykuje się do wyjścia. Jak zwykle starannie zapina ciemny, znoszony płaszcz i zawiązuje na głowie chustkę. Jest maleńka – odkąd ja urosłam, sięga mi już tylko do ramienia – i twarz ma bardzo pomarszczoną. Kiedy się gniewa, a gniewa się często, jej czoło i policzki układają się w grube fałdy. Tak samo zresztą, kiedy się uśmiecha.

Odwraca się jeszcze od drzwi:

– A, byłabym zapomniała. Jak Romeczki nie było, to tu był ten Romeczki kolega, ten, co ma wąsy pod brodą...

– Piotr?

– No! Piotruś. Obiad mu dałam – ale jadł! Nie tak jak Romeczka, co tylko widelcem po talerzu grzebie.

Ten kolega to Piotr Skrzynecki. Teraz zapuścił brodę, która rośnie mu prawie na szyi i dziwnie się rozdziela, dlatego Marynia mówi, że ma wąsy pod brodą. Wpada do mnie zawsze na chwilę, jak to Piotr, bez zapowiedzi i zaraz dokądś się śpieszy. Moja gosposia bardzo go lubi i czasem, kiedy mnie nie ma, karmi go moim obiadem. „Pani Romeczka to i tak nigdy nic nie je, niech się choć chłop pożywi, widać, że głodny, chyba artysta jest”.

Piotra poznałam dawno temu, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły. Byliśmy z klasą na wycieczce w muzeum w Sukiennicach, żeby oglądać obrazy. Dziewczyny tylko snuły się po sali i mówiły, że nudno. Było gorąco i nikomu nic się nie chciało. Mnie się to malarstwo nawet podobało, u nas w domu zawsze było pełno albumów z reprodukcjami. Mama je kupowała.

Wiele z tych dzieł już znałam... chodziłam więc sobie od sali do sali, od obrazu do obrazu, aż nagle przy *Odlocie żurawi* Chełmońskiego pojawił się młody facet z rozwianą czarną czupryną, w sztruksowej marynarce, wyciągnął ręce przed siebie, jak aktor w teatrze poezji, i powiedział: „Józef Chełmoński malował światło”. Patrzyłam zachęcona. Wszystko

w nim było niezwykle – jego głos, wygląd i to, co mówił – słuchałam przejęta, nie wiedziałam, że można tak mówić o malarstwie. W sali nagle zrobiło się cicho, a moje koleżanki zbiły się w gromadkę i też słuchały z przejęciem. Ale ja i tak wiedziałam, że mówił tylko do mnie.

To był Piotr.

Następnego dnia w szkole dowiedziałam się, jak się nazywa i że mieszka kątem u moich znajomych. Przez jakiś czas tylko o nim myślałam i mówiłam. Miał taki niezwykle głos, olbrzymie, płonące, czarne oczy... zdawało mi się, że jestem zakochana.

Napisałam do niego list i podpisałam: „Twoja Julia”, a on bardzo miło odpisał i umówił się ze mną na spacer nad Wisłą.

Chodziliśmy i rozmawialiśmy długo. Tłumaczył mi, że w młodości zawsze tak jest – wydaje nam się, że kogoś kochamy, ale to nie jest naprawdę. Jakoś bardzo szybko wytłumaczył mi, że nie powinnam się w nim kochać, a potem obrócił wszystko w żart. Odtąd się przyjaźnimy.

Widujemy się często. Piotra nie można nie spotkać, bo jest po prostu wszędzie.

Najczęściej spotykamy się na Rynku. Piotr kupuje kwiaty, dużo kwiatów, i zawsze je od niego dostaję.

Latem ogolił głowę na łyso i chodził owinięty czarną peleryną. Przekupki mówiły do niego „proszę księdza”, a on nie protestował, tylko uśmiechał się z godnością. „Tu, proszę księdza, do mnie! Proszę do mnie! – wołała na przykład jedna z nich. – Mam przepiękne fiołeczki!”

Piotr zawijał poły peleryny, podchodził, wybierał jeden bukiet, potem drugi, trzeci, wreszcie całe to naręczce fioletowe, pachnące, wkładał w moje ramiona, potem przyklękał i bardzo teatralnym gestem unosił moją dłoń i całował...

Przekupka nie mogła zamknąć ust ze zdziwienia: „Trzy pięćdziesiąt, trzy pięćdziesiąt za bukiet, proszę, proszę... księdza”, udawało się jej w końcu wyszeptać.

Teraz Piotr już przestał udawać duchownego, zapuścił dość długie włosy, szyję owija powiewnym jedwabnym szalem i jest artystą – jakby prosto z Paryża. Podobno prowadzi jakiś teatr amatorski... nie wiem, bo spotykam go tylko w mieście, na Plantach, na Rynku, w kawiarni; od czasu

do czasu piszę do niego list, a on zawsze odpisuje, posyłam mu swoje wiersze.

Kiedyś, jakiś czas temu, wpadł do mnie na chwilę – akurat z radia płynęła jakaś piękna muzyka, staliśmy przy oknie, on patrzył na podwórko, a ja na niego – nagle przyciągnął mnie do siebie i... pocałował. Ale tak naprawdę, tak jak mówiła Lena, że całują się dorośli.

Na początku nic nie czułam, tylko zdziwienie, a potem nogi lekko zaczęły się pode mną uginać, on zaś szybko mnie puścił, poprawił marynarkę, uśmiechnął się po swojemu i powiedział, że musi gdzieś pędzić, po czym wybiegł w pośpiechu z pokoju. „Wiesz, ja mam w Australii żonę i syna – tylko nikomu nie mów”, rzucił jeszcze na odchodnym w drzwiach. „Nikomu nie mów!”, powtórzył.

Myślę sobie, że on tak naprawdę nie ma żadnej żony ani syna, tylko tak powiedział, żeby się ode mnie jakoś odgradzić, żebym się w nim znów nie zakochała. Ale ja wiem, że zawsze będę go kochać – tak jak można kochać Piotra...

Moja nowa przyjaciółka, Lena, już kilka razy była zakochana, ja jeszcze nie.

Marynia wychodzi. Jest wczesny wieczór, zwijam się w kłębek na tapczanie i próbuję pomyśleć. Przecież będę musiała jakoś odpowiedzieć na ten list z Wiednia.

Staram się przypomnieć sobie, co robiłam w tym roku. Boże! Tyle niemądrych rzeczy. Ale w ciąży?

A może jednak jest coś, czego nie wiem? Przecież kiedyś się upiłam, to może wtedy... Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było, jak to jest być w ciąży; próbuję wsłuchać się w swoje ciało, zajrzeć do jego wnętrza. Czy tam się coś dzieje? Czy tam ktoś jest? Ktoś obcy?

Patrzę na swój brzuch – jest płaski, prawie go nie ma, wszyscy mówią, że jestem za szczupła, ale czy tam nagle nie rysuje się jakieś zgrubienie? Taki jakby mały pagórek? Zrywam się z tapczanu, zsuwam spódnicę i przyglądam się sobie w lustrze. Rzeczywiście, ten mój brzuch jest jakby jakiś inny... Patrzę w górę – mam małe piersi... za małe, mama mówiła, że ona miała większe w moim wieku. Lena też ma tyle lat, ile ja, a piersi ma duże i nosi stanik, a ja nie. Ja w ogóle bym nie lubiła mieć za dużo ciała,



nie wiedziałabym, co z nim zrobić, wolę, jak jest mnie mniej.

Lena jest całkiem inna. I dlatego tak się cieszę, że została moją przyjaciółką.

Włosy ma złotorude, długie, rozpuszczone albo splecione w gruby warkocz. Tak ją zobaczyłam po raz pierwszy w naszej szkolnej auli, na akademii z okazji urodzin Mickiewicza. Grała na skrzypcach, a czerwone włosy błyszczały i kołysały się w rytm muzyki. Wszyscy ją tu znali – Lena, Lenka... rozlegały się szepty. To cudowne dziecko... będzie sławną skrzypaczką. Właściwie nazywa się Milena, ale wszyscy mówią do niej Lena. Widywałam ją potem na różnych akademiach, czasem na szkolnym korytarzu. Zawsze była otoczona wianuszkami jakichś koleżanek i nigdy nie udało nam się porozmawiać. Czasem o niej myślałam – chciałam, nie wiem dlaczego, chciałam się z nią zaprzyjaźnić... Być taka jak ona. I ciągle jeszcze tego chcę.

Ruda, z niebieskimi oczami, wyglądająca już jak kobieta, a nie jak dziecko; ja chyba nigdy nie będę wyglądać jak kobieta, sama nie wiem. Najważniejsze jednak było to, że tak pięknie grała. Występowała już na scenie. Jak prawdziwa artystka, jak dorosła.

Zawsze, całe życie chciałam grać na jakimś instrumencie, choćby na pianinie. Ale ktoś powiedział mamie, że nie mam słuchu, i tak się to skończyło. (Zresztą, gdzie by się u nas zmieściło jakieś pianino?). A przecież kiedy chodzę do filharmonii na koncerty, to słyszę wszystko, i po prostu kocham każdego z muzyków. Często myślę, jak by to było tak wyjść na scenę, tylko się uklonić i grać... Myślę, że taki pianista czy skrzypek musi być bardzo inteligentny, żeby zapamiętać i zrozumieć całą tę muzykę. Nieraz sobie wyobrażam siebie na scenie – w długiej, czarnej szeleszczącej sukni, kłaniam się spokojnie, uśmiecham się, siadam do fortepianu i kładę ręce na klawiaturze...

Lena zna prawie wszystkich artystów, stale mi obiecuje, że mnie z nimi zapozna. Tylko czy ja potrafię z nimi rozmawiać? Ja się przecież na niczym nie znam. Lubię patrzeć, jak Lena bierze do ręki skrzypce, lubię słuchać, jak gra. Nawet jak nie ma długiej czarnej sukni, tylko zwyczajną, granatową z białym kołnierzykiem i jak gra tylko u siebie w domu, dla mnie. Rozstawia szeroko stopy, jakby chciała wrosnąć w ziemię, przymyka oczy, przytula instrument do policzka. Czasem ktoś zagląda do jej pokoju. Ojciec



albo mama, albo siostra – grasz, mówią, to dobrze! A mnie pozwalają z nią zostać.

Lenką wszyscy się zachwycają. A teraz jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Udało mi się! Sama nawet nie wiem jak.

Tylko często się boję, że jej się znudzę, bo jestem taka niepewna... umiem rozmawiać tylko o książkach, a to Leny nie interesuje. Ona by chciała o chłopakach, o miłości... a ja tylko raz się całowałam... Lena miała już różne przygody i stale mi o nich opowiada. Mówi, że to nic takiego, i jak się już zacznie, to jest fajnie.

Najczęściej spotykamy się w niedzielę przed południem. Marynia jest oczywiście w kościele, a my siedzimy sobie i gadamy, i śmiejemy się z byle czego. A czasem rozmawiamy o takich rzeczach, o jakich dotąd nie miałam pojęcia, ale udaję, że wiem, o co chodzi, bo wstydzę się zapytać.

Moja nowa przyjaciółka mieszka dość daleko, właściwie to już za parkiem Krakowskim, ale lubi biegać po mieście i często do mnie wpada. Na czwartym piętrze poniemieckiej kamienicy. Mają kilka pokoi, bo jest ich dużo – rodzeństwo i rodzice. Jest tam prawdziwy salon, gdzie stoi fortepian i cała rodzina zbiera się przy stole. Mnie się to czasem bardzo podoba i wtedy czuję, że w moim domu jestem sama i trochę tęsknię za taką rodziną, ale czasem nagle się krępuję, że może im przeszkadzam... i uciekam do siebie. Rodzice Leny są bardzo pobożni i zawsze w niedzielę rano zabierają dzieci do kościoła. Lena nieraz do późnego wieczora ćwiczy, więc pozwalają jej się wyspać. Może iść sama na mszę dopiero na dwunastą. A ona zamiast do kościoła przychodzi do mnie. „Słuchaj! Co ja powiem, co ksiądz mówił na kazaniu?”, martwi się zawsze na pożegnanie, bo ojciec ją z tego przepytuje. Więc naprędce wymyślamy jakieś zdania – coś o grzechu i cnocie, ja jestem dobra w wymyślaniu i zawsze byłam dobra z religii. A jak nic mi nie przychodzi do głowy, to zaglądamy do Biblii, tylko trochę nam się mylą te Ewangelie...

„No nic, coś nakłamię”, mówi Lena beztrudno, odrzuca w tył swój rudy warkocz i pędzi do domu, bo u nich obiad jest zawsze punktualnie o drugiej i wszyscy muszą na nim być. Nie wolno się spóźnić, nawet starszej siostrze, która ma już narzeczonego. „Wiesz co? Jak wyciągnę od taty jakąś forszę, to pójdziemy na tandetę, kupimy sobie ładne sukienki”, woła jeszcze Lena, a jej włosy błyszczą się nawet w ciemnej sieni naszego domu.

Często spacerujemy razem po mieście. Obie modnie ubrane – w kolorowe spódnice, moja jest z ciuchów, amerykańska, w czarno-żółto-czerwona kratę, mocno ściśnięta w talii szerokim paskiem z klamrą. Do tego bluzki zrobione z męskich podkoszulków ufarbowanych przez nas własnoręcznie na czarno, z bardzo dużym dekoltem, tak się teraz nosi. Lena z dekoltem wygląda pięknie, ma biust jak aktorka. Ja czasem wpycham sobie pod bluzkę zwinięte pończochy, żeby wyglądać tak jak ona. A czasem nie, bo się wstydzę; kiedyś mi się taka pończocha wysunęła na ulicy, dobrze, że nikt nie widział.

Obie mamy w uszach długie wiszące kolczyki, które kiedy idziemy, podzwaniają przy każdym ruchu – w takich kolczykach wygląda się dorosłej.

W drodze do Rynku kupujemy sobie na rogu w budce wiśnie albo truskawki, które pakują nam w papierową torebkę w kształcie różka. Pojadamy sobie, rozmawiając. Zanim dojdziemy do Rynku, torebka jest pusta.

Pewnego dnia spotykamy tuż koło straganów z kwiatami dwóch znajomych Leny. Jeden jest śpiewakiem, tenorem. Występował już w filharmonii, znam więc go z widzenia. Ubrany w białą koszulę i czarne spodnie, ma dość długie ciemne włosy, przystojny! Drugi to jego kolega, trochę tęższy i okrągły na twarzy, włosy ma kręcone mysiego koloru. Jest filmowcem, przedstawia się.

– Kolega właśnie przyjechał z Łodzi – mówi śpiewak i klepie go przyjaźnie po plecach. Obaj są dosyć starzy, mają już pewnie trzydzieści lat...

Lena wyraźnie się ożywia, uśmiecha, cieszy się z tego spotkania. Widać, że chce mi wreszcie pokazać swoich dorosłych kolegów. Ale ja nie bardzo wiem, jak z nimi rozmawiać, i już bym chciała, żeby sobie poszli i żebyśmy były z Leną same. Stoimy tak przez chwilę na środku Rynku, jakby na coś czekając...

– No to zapraszamy na śniadanko! – mówi nagle śpiewak mocnym głosem. – Do nowego baru na Jagiellońskiej. Takie spotkanie trzeba przecież uczcić.

Spuszczam oczy, nie wiem, gdzie patrzeć i co powiedzieć, mam ochotę

uciec. Ten bar jest mały i ciasny, zawsze pełno w nim ludzi i pachnie dymem z papierosów, nigdy nie byłam w środku, ale zaglądałam, przechodząc. Głodna też wcale nie jestem, ale przecież nie mogę odmówić, nie mogę! Boję się, że Lena się obrazi, już na pewno uzna mnie za dziecko, i że ją stracę...

Stracić jej przyjaźń to by było... to by znaczyło stać się znów zwykłą dziewczyną... tylko z nią mogę być inna, mogę być kimś wyjątkowym, jak ona...

– No, idziemy czy nie? – Lena niecierpliwie potrząsa moim ramieniem. – Obudź się – dodaje – będzie fajnie!

– Ależ oczywiście, pani Poziomka idzie z nami – wspomagają ją panowie zgodnym chórem (kto im powiedział, że kiedyś nazywano mnie Poziomką?).

– No to naprzód, młoda damo! – ten grubszy facet z galanterią podaje mi ramię.

Nie wiem, co robić, więc trochę z wahaniem kładę dłoń na rękawie jego kraciastej koszuli. Lena ze swoim tenorem kroczą raźnie naprzód, my za nimi.

– Pan naprawdę jest filmowcem? – pytam, bo nie mogę tak nic nie mówić.

– Tak się składa, że naprawdę – gruby ożywia się wyraźnie, potem odwraca głowę w moją stronę i długo patrzy mi w twarz, mruży oczy, jakby chciał mi zrobić zdjęcie. – Z taką urodą mogłaby pani pewnie zagrać w filmie – uśmiecha się obiecująco – najpierw jakieś próbne zdjęcia... pomyślimy o tym... Da mi pani swój telefon, a ja zadzwonię...

Milczymy znowu, a mnie, choć wcale tego nie chcę, przypominają się najnowsze filmy, które ostatnio widziałam, te wszystkie aktorki... Może to nie byłoby takie trudne być taka jak one? A gdybym naprawdę dostała rolę w filmie i zagrała? Przecież chciałam być aktorką. A jeśli on rzeczywiście może mi załatwić rolę w filmie?

Co by powiedziała mamusia?! Ależby się ucieszyła! Jaka byłaby ze mnie dumna. Pokazywałaby każdemu moje zdjęcia w gazecie. Ten film grano by w kinach w całej Polsce. Uwierzyłyby wtedy, że ja też coś potrafię. Poszłyby do kina ze wszystkimi przyjaciółkami i znajomymi... nie jeden raz,

na pewno kilka razy! „No, widzicie – powiedziałaaby – moja córka! Myśleliście, że ona do niczego się nie nadaje, a tymczasem stała się prawdziwą artystką!”

I już by nigdy nie mówiła, że zepsułam jej życie...

\*\*\*

W barze jest tłoczno, pełno dymu.

– To i tak jeszcze o tej porze nie tak strasznie, dopiero druga godzina – mówi filmowiec, otwierając drzwi.

Dostajemy mały stolik przy drzwiach, panowie go zdobyli. Cały czas flirtują z kelnerką. Potem zamawiają wódkę.

– Tylko po kieliszeczku – mówią. – Przecież musimy wypić na „ty”...

Śpiewak ma na imię Artur.

– Do mnie mówcie Micky – uśmiecha się jego kolega i szybko wypija wódkę.

Trzymam w ręce kieliszek, jest zimny, wódka pachnie jak lekarstwo, dotykam ostrożnie ustami brzegu kieliszka – jeszcze nigdy tego nie piłam, w ogóle jeszcze nigdy nie piłam alkoholu, czasem łyk wina na urodzinach mamusi. Chyba nie chcę tego wypić. I nie potrafię przełknąć.

Nagle widzę, że wszyscy na mnie patrzą, robi się cicho. Patrzą na moje ręce, na usta, na kieliszek...

A ja uśmiecham się, jakbym żartowała, kołyszę kieliszkiem, jakbym się nim bawiła. Potem szybko przechylam, wypijam. Wstrętne! Okropny zapach. I pali w gardle.

Panowie radośnie zamawiają coś do jedzenia.

– Może być śledzik po japońsku, tatar, ogóreczki – mówi kelnerka.

Czuję w żołądku rozchodzące się ciepło.

Po chwili nasz stolik jest pełny, talerzyki z jedzeniem, pieczywo, butelka.

– Niech pani przyniesie od razu pół litra, po co tyle razy chodzić – Artur robi oko do kelnerki.

Czuję się świetnie, widzę, że Lenka też. Patrzą na ich miłe twarze: Artur, Lenka, ten Micky też jest sympatyczny i takie ma śmieszne kręcone włosy!

To są przecież moi koledzy, znajomi, z nimi jest dobrze i tak wesoło. Wszyscy mnie lubią i to jest najważniejsze.

Potem żartujemy, opowiadają dowcipy, których nie rozumiem, ale po prostu chcę się śmiać, świat jest wesoły, lekki, śmieszny po prostu.

– No to razem na raz, dwa, trzy – mówi Artur i unosi ramiona w białej koszuli, jak dyrygent, kiedy zbierze orkiestrę... – razem! I jeszcze raz!

Siedzę tak, spokojna i bezpieczna, opieram plecy o ścianę. Jest mi dobrze jak jeszcze nigdy w życiu. Jesteśmy tu już chyba bardzo długo... powinnam pójść do toalety...

Wstaję wreszcie wśród dziwnie kołyszących się ścian i kroczę ostrożnie po podłodze, która miękko się pode mną ugina. Toaleta jest w podwórku, trzeba przejść przez oszklone drzwi, które jakby same się przede mną otwierają. Na podwórku jest mroczno czy tylko mi się tak wydaje? Wszystko rozplywa się we mgle. Owiewa mnie chłód i nagle zaczyna kręcić mi się w głowie, coraz bardziej, tak strasznie, moja głowa jest jedną wielką huczącą, rozpędzoną karuzelą... żołądek podchodzi mi do gardła, karuzela pędzi, chcę się czegoś przytrzymać, chcę złapać się ścian, ale tu żadnych ścian nie ma... Nie mam już rąk, nie mam nóg, jestem cała tylko dziką, wirującą karuzelą... osuwam się w mrok, w ciemność...

\*\*\*

Wszędzie wokół ręce, wiele rąk, dotykają mnie, szarpią, podnoszą, boli! Chcę tutaj zostać, na ziemi, nie mogę wstać, nie mogę! Nie dotykać! Proszę! To boli... Ja tu zostanę. Proszę!

– Ty, ona jest zupełnie nieprzytomna! – huczy jakiś głos tuż nad moją głową.

Ale jestem przytomna, wszystko słyszę, tylko nie mogę otworzyć oczu, nie mogę. Nie mogę też nic powiedzieć, bo ta karuzela nie przestaje się kręcić.

– No, to ty za ręce, ja za nogi i przez podwórko! – dudni znowu nade mną ten sam głos.

W samochodzie jest jeszcze gorzej. Ciasno. Ktoś przyciska się do mnie mocno. Pachnie wódką. Ktoś przygniata moją spódnicę. A ona jest z Ameryki... Nie mogę oddychać, duszę się, chcę się położyć... Ktoś

podtrzymuje moją głowę.

– Tylko mi tu nie zwymiotuj!

Wychodzimy. Jakies schodki. Ostrożnie! Ktoś otwiera drzwi...

To jest duży, ciemny pokój. Tapczan. Ktoś kładzie mnie na tym tapczanie. Ciemność. Potem w tej ciemności słyszę głosy, a w mojej głowie zapala się boleśnie jarzące światełko, którego nie da się zgasić! Słyszę głosy, szepty, ktoś jęczy, pewnie też chory... potem taki dźwięk ostry, jednostajny, to chyba skrzywienie łóżka... jednostajne i coraz szybsze...

Na chwilę chyba zasypiam. Słyszę kroki przy tapczanie. Ktoś podchodzi do mnie, a potem kładzie się na mnie ciężko całym ciałem...

– Ty, ona się nawet nie rozebrała – jakieś ręce mocują się z moją spódnicą.

– Bo tak mi zimno i niedobrze – szepcę.

– Słuchaj, zostaw ją, bo ci się zaraz... – mówi ten inny głos.

Potem w ciemności słycać śmiech. Głosy się oddalają i już nie ma przy mnie nikogo. Zasypiam, budzę się. Ze wszystkich stron słyszę pojękiwanie, sapanie, ciężkie oddechy. Śmiechy.

– Daj papierosa – mówi ktoś głośno w ciemności.

Obok w pokoju jest chyba jeszcze więcej ludzi. Szum w mojej głowie powoli się zmniejsza, tylko gdzieś w środku, między oczami, czai się ból i pali się ciągle to samo światełko.

Kiedy znowu się budzę, w pokoju jest szaro i wszystko ma zamazane kontury. W kącie ktoś pochrapuje. Podnoszę się, nie chcę się nawet rozglądać. Pachnie bardzo silnie wódką i papierosami, od tego zapachu znów lekko kręci mi się w głowie. Ostrożnie przesuвам dłońmi po swoim ciele, jestem ubrana! Mam wszystko: bluzkę, spódnicę, majtki... Zsuwam się z tapczanu, nic mnie nie boli. Wstaję. Potem już tylko chcę szybko uciekać z tego pokoju, przed tym zapachem, tym chrapaniem...

Na ulicy jest chłodno, mglisto i mokro, jakby przed chwilą padał deszcz.

Dom, z którego wyszłam, cichuteńko otwierając drzwi, jest kwadratową willą z szarego kamienia. Rozglądam się. Wokół stoją takie same szare domy. Zdaje mi się, że to Wola Justowska. Tu mieszkają najbogatsi ludzie, tu są najelegantsze wille, tak mówiła zawsze mamusia. Dopiero na ulicy

stwierdzam, że nie włożyłam butów, ale już za nic bym po nie nie wróciła.

Idę wolno ulicą, boso po mokrym chodniku. Jest chłodno i zupełnie cicho. Czeka mnie daleka droga do domu. Tramwaje chyba jeszcze nie jeżdżą. Zresztą nie miałabym pieniędzy na bilet. Teraz widzę, że zostawiłam także torebkę, ale i tak nie było w niej ani grosza.

Idę. Nie wiem jak długo. Przysiadam na ławkach, jakichś murkach, idę dalej.

Na Rynku pierwsze kwiaciarki ustawiają swoje kramy i spryskują kwiaty wodą ze studni. Chcę pod tą studnią umyć sobie twarz, ale przeraża mnie jej świdrujące metalowe skrzypienie.

Hejnał z wieży mariackiej głośny jak nigdy, fala dźwięków spada mi na głowę, zatykam uszy. Idę dalej. Teraz już blisko, mówię sobie, teraz już blisko...

Kiedy widzę naszą bramę, znów z przerażeniem myślę o pozostawionej gdzieś torebce. Klucze? Na szczęście znajduję je w kieszeni spódnicy, wciśnięte tam nie wiem dlaczego, chyba przez roztargnienie. Jeszcze parę kroków przez ciemną sień. Drzwi na podwórko są otwarte. Dozorczyńni właśnie zaczyna zamiatać. Suche szuranie miotłą o kamienie znowu odzywa się ostrym bólem w skroniach...

Cichuteńko, na palcach, przekradam się pod drzwi naszego mieszkania. Żeby tylko nie zobaczyła mnie teraz stróżka – bosej, rozczochranej, w wymiętej spódnicy...

\*\*\*

Jeśli to stało się wtedy? Może tak zachodzi się w ciążę?

W domu rozebrałam się i obejrzałam w lustrze. Czy powinnam pójść do lekarza? Nie! Za nic w świecie! Oprócz mojego „dziecinnego” doktora Ferstera jeszcze u żadnego lekarza nie byłam. A zresztą może ja po prostu nie chcę wiedzieć, co się stało.

Potrzebowałam trzech dni, żeby zebrać się na odwagę i zadzwonić do Leny. Przychodzi, gadamy jakby nigdy nic. W końcu muszę zapytać. Najpierw krótka cisza, a potem jej perlisty, głośny śmiech wypełnia cały mroczny, mały pokój.

– W ciąży? Coś ty, głupia? Przecież nikt cię tam wtedy nawet nie dotknął. Rozebrał cię ktoś?

– Nie.

– No widzisz! Może i chcieli, ale po co, skoro byłaś nieprzytomna. Trzeba było zaraz mówić, że nigdy nie próbowałaś alkoholu. Po prostu się upiłaś, i tyle! Ale to była noc! Myśmy z Arturem też niezłe sobie pobaraszkowali – mówi z odcieniem dumy.

A potem jeszcze raz wyjaśnia mi bardzo dokładnie, żebym wreszcie zrozumiała, co musi się stać, żeby zajść w ciążę.

– A skąd ty to wiesz, Lenko? – pytam i czuję, że policzki mi płoną, choć nigdy się nie czerwienię.

– Ach, u nas to było śmiesznie – Lena patrzy na mnie jasnymi, niebieskimi oczami, w których nie ma śladu lęku, są tylko tysiące wesołych iskierek. – Mnie to wszystko tłumaczyła siostra. Nie mama, tylko ona – Ania. Koniecznie chciała mnie uświadomić. I nawet to zrobiła, ale i tak już wcześniej we wszystko wtajemniczył mnie Artur, choć się do tego oczywiście nie przyznałam. Ten, którego poznałaś. My się znamy od dziecka. Może nawet wyjdę za niego. Jeszcze zobaczę. Na razie mamy czas.

\*\*\*

Droga Romo!

Chciałaś opowiedzieć o dojrzewającej dziewczynie, którą znałaś dobrze, najlepiej jak można, o której powinnaś wiedzieć wszystko, bo ona to ty. Tymczasem czujesz, że ją zgubiłaś, nie możesz jej odnaleźć. To będzie całkiem inna księżka, teraz to już wiesz. Nie ta, którą planowałaś.

Wchodzisz jeszcze raz w tunele pamięci, ciemne zakamarki zwątpień, przedzieraszą się przez mgłę zapomnienia. Źle się tam czujesz, brakuje ci powietrza. Szukasz tej dziewczyny, ale nie znajdujesz. Wołasz, ale ona nie odpowiada. Ucieka. Biegiesz za nią bez tchu, w popłochu, bo przecież bez niej nie będzie księżki.

Biegiesz.

Przez moment błyska w mroku jej kolorowa spódniczka, lśnią



czerwone korale, które zawsze lubiła, przez chwilę widzisz jej uśmiech. A kiedy szukasz jej spojrzenia, spotykasz oczy znów smutne, ciemne, przerażone. Zawsze. Nawet wtedy, kiedy miała osiemnaście lat.

Tak bardzo chcesz ją teraz spotkać, zobaczyć, opisać – piękną osiemnastoletnią. Ale ona opiera się twoim zakusom. Obiecujesz, że nie będziesz miała jej nic za złe. Tłumaczysz, że tylko chcesz zrozumieć. Ale ona wymyka się, nie chce twoich osądów. Wie, że już jej nie lubisz.

I pewnie ma rację. Nie lubisz jej, tej głupiej, niepoważnej istoty. Popęłniała lekkomyślnie błędy, które jeszcze dziś cię boją i których się wstydzisz.

Jakże więc możesz ją lubić?

Jakże więc napiszesz tę powieść, droga Romo?

Właściwie to prosta historia dziewczyny, która boi się sama siebie, boi się świata, a on zmienia się wokół niej tak szybko, jak zmienia się ona sama. Boi się matki, a jednocześnie czuje, że to matka się jej lęka. Kiedy się odnajdzie w tym wszystkim? A może to twoje zadanie, by ją odszukać? Czy warto po tylu latach? Czy dzisiaj też są takie dziewczyny? Wiesz, że są, bo czasem je spotykasz. A nawet jeśli by ich nie było, nawet gdybyś była sama ze swoją historią, to musisz ją opowiedzieć, choćby tylko sobie...

Dojrzewanie, wydawałoby się, jest jak oddychanie, takie proste. Dziewczyna chce być jak inne, poznać kogoś wyjątkowego, zakochać się. Czeka na mężczyznę, który ma się pojawić. Musi się zjawić. Nie, nie chłopak, nie lubi chłopaków, wydają jej się tylko śmieszni. Mężczyzna. Może taki jak jej ojciec, którego widziała w życiu tylko bardzo krótko. Może inny... ale mężczyzna dorosły. Tymczasem ona, czyli ty, Romo, wadzi się ze światem.

Przez jakiś czas wadzi się też z Bogiem. Bóg jej dzieciństwa, taki potrzebny, taki bezpieczny, nagle przestaje być zrozumiały. Po raz pierwszy, Romo, porzuciłaś wtedy wiarę, a raczej wiara porzuciła ciebie. Uznałaś, że Bóg jest dla dzieci, a ty już tak bardzo miałaś dość bycia dzieckiem. Każdego ranka mówiłaś

sobie, że już jesteś dorosła. I jeśli mam być szczerą, mówisz tak sobie do dziś. Bezskutecznie i nadaremnie. I cóż to znaczy dorosłość wobec ciągłych zagadek otaczającego świata...

Wtedy...

Skoro Boga nie ma, to wszystko wolno, moralności też nie ma. Nawet słowo „moralność” wydawało się jakieś głupie i mieszczańskie, a „mieszczaństwo” było wtedy gorsze niż grzech.

Myślała, że Bóg i moralność to to samo i że jej niepotrzebne jest ani jedno, ani drugie. Jedno i drugie jest bez znaczenia. Możesz zrobić, co zechcesz, liczy się tylko to, żeby wiedzieć, czego chcesz.

Widzę ją tylko z zewnątrz. Widzę dziecko, marznące, szukające ciepła, nieumiejące się przytulać, a właśnie tego przytulania, dotyku, tak bardzo jest spragnione. Dziecko. Szamoczące się jak ptak, próbujące odlecieć na skrzydłach, które jemu samemu wydają się kruche i niepewne.

Zamykam się, aby pisać w samotności, aby z oddalenia śledzić dziewczynę, którą byłam, którą już nie jestem i która nigdy nie odnalazła drogi do domu.

Nie mogę jej już przed niczym ustrzec ani obronić. Za późno. Chwilami jednak widzę wyraźniej. Widzę ją żywą i nagą. Wystraszoną i zachwyconą swoją ledwo pojawiającą się kobiecością. Szczupłą i delikatną, o smagłej, gładkiej skórze, drobnych piersiach i delikatnych dłoniach. Widzę ją zadziwioną samą sobą, czasem zachwyconą, niepewną...

Wiedzieć... spotkać... zatrzymać. Wysiłek pisarza, jego zwykły trud, ale także coś więcej...

Czuwać nad nią, otoczyć ją spóźnioną troską, choćby teraz, kiedy pojawi się na kartach książki. Troską, której wtedy nie mogły jej zapewnić ani rodzina, ani dom, którego nie było. Czułością albo litością, której nie miała nawet sama dla siebie... Nie nauczono jej kochać samej siebie, a ja do dziś tego nie umiem. Spóźnionym strachem o nią, o to, że ktoś zrobi jej krzywdę. I spóźnioną miłością.

Nigdy nie miałam córki. Może dlatego tak trudno mi teraz zrozumieć tę dziewczynę. Nawet kiedy wpatruję się w jej zdjęcia, nie mogę uwierzyć, że kiedyś była mną.

Czy zdradzam ją, opuszczam, pisząc o niej? Czy przeciwnie – wracam do niej? Może dopiero teraz skazuję ją na prawdziwą samotność. Bo dziś wiem, że ona to nie ja. Nie ta dzisiejsza, która pisze.

Muszę znowu przywołać jej świat. Muszę się w nim odnaleźć. Iść za nią, aby zobaczyć jej życie w mrocznej, ciemnej, jakby skutej lodem strachu Polsce lat pięćdziesiątych.

Muszę wejść do jej mieszkania, choć nigdy więcej nie chciałam wchodzić do tych zatęchłych, ciemnych, małych pomieszczeń – przedpokój, kuchnia, pokój z okratowanymi oknami z widokiem na podwórko. Pokój, który był wtedy jedyną jej przystanią, jedyną oazą, źródłem spokoju.

Muszę go umeblować: tapczan przykryty zieloną narzutą, nad tapczanem kolorowy kilimek w dziwne tureckie wzory, lubiła wodzić po nim palcami, kiedy chciała uspokoić się i o czymś pomyśleć, biurko prawdziwe, duże, przykryte szybą, pod którą wkładała najpierw kolorowe obrazki, potem swoje rysunki, a jeszcze później własne zdjęcia... Biurko, z którego była bardzo dumna, piękna stara maszyna do pisania, na której miała kiedyś napisać powieść... to było postanowione. Była dumna z tego mieszkania, w którym przeważnie była sama, w którym mogła przyjmować, kogo chciała, gdyby chciała. Mieszkanie z telefonem w tamtych czasach!

Zatem biurko, oszklona serwantka z bibelotami, okrągły stół przykryty koronkowym obrusem, który zrobiła szydełkiem jeszcze jej babcia i który przechował się przez wojnę u „dobrych ludzi”. Na małym stoliczku radio, później pojawi się telewizor, a na nim owinięta bibułka doniczka z paprotką albo fiołkiem alpejskim. W radiu można było cały dzień słuchać różnych audycji, koncertów, a wieczorem grano hymn państwowy, po czym następowała cisza...

W przedpokoju szafa z lustrem. Mogę zobaczyć, jak się w nim

ogląda, przegląda, z lękiem, wstydem, nadzieją. Jak przymierza te swoje fatałaszki, kolorowe stroje. Jak się kryguje, wdzięczy, jak się lęka tego, że jest za mała, za chuda, może więc mimo wszystko brzydka? Osłonić to miały ubrania. Nie, to nie były zwykłe szmatki, tanie, jak te kupowane dziś w każdym sklepie. Dla niej to były szaty królewskie, pożądane, znajdowane cudownym przypadkiem, bezcenne. Każda rzecz miała wartość, każda była zdobyta z trudem, wyszukana, kupiona za wyżebrane od mamy, od wujka pieniądze. A czasem, kiedy pieniędzy zabrakło, okupiona głodem.

Spódniczka z tafty w czarno-białą kratkę, połyskliwa, szeleszcząca przy każdym ruchu szumem paryskiej ulicy, mieniąca się kolorami eleganckiego, nigdy niewidzianego świata. Pod spódniczką sztywna biała halka obszyta koronką. Niewiele dziewcząt w Krakowie miało wtedy taką halkę, ona miała. W uszach kolczyki, wiszące, błyszczące, dodające odwagi, migoczące przy każdym pochyleniu głowy. Ważne. Z koralami, perełkami, sztucznych brylancików.

Bluzka z własnoręcznie wyciętym dekoltem, zawsze trochę większym, niż wypada. „A co?! Wolno mi!” Tego dekoltu nie ma czym tak całkiem wypełnić, służą więc do tego wciskane do stanika pończochy. Ale dekolt ma wartość symbolu, dekolt to grzech, sprzeciw wobec szkoły, świata. Wobec mamy przede wszystkim.

Talia ściśnięta czarnym gumowym paskiem, obejmującym ją, jakby dodającym jej wzrostu i mocy. Pięćdziesiąt osiem centymetrów w talii, tyle co obwód głowy, zmierzyła to kiedyś, kiedy przeczytała, że taki był dawniej ideał kobiecej urody. Tyle co obwód głowy? Chłopcy na uczelni nie wierzyli, to niemożliwe – śmiali się. Mierzyl ją rękami, sprawdzali, czy zmieści się w obu dłoniach. Mieli duże ręce, sprawiały im radość te przymiarki.

Buty – marzenie i tortura. Mogły być za duże, mieć czubki wypchane watą, mogły być za ciasne, boleśnie ocierać nogi do krwi. Były na wysokich szpilkach, o kilka centymetrów

unosily ją ponad przeciętność. Były były „dorosłe”, kobiece. Dziś powiedziałyby się: „seksowne”. Ona nawet nie znała tego słowa. Na pewno nie używała słowa „seks”. Wtedy mówiło się: „grzech”.

Kiedy dziewczyna poznała mężczyznę, mówiło się potem, że z nim „zgrzeszyła”. Mówili tak znajomi, sąsiadki, mama, wszyscy. I tylko on szeptał jej, że to nie grzech, lecz modlitwa.



\*\*\*

Muszę więc znowu ją zobaczyć – biegnącą krakowskimi ulicami,

przez Rynek, na spotkanie, na uczelnię, na randkę...

Zobaczyć i opisywać, bo nic już zmienić nie mogę ani pokazać drogi innej niż ta, którą szła z pocieranymi stopami, w tych swoich za ciasnych butach. Boję się, że ją zdradzam, pokazując, jaka była – lekkomyślna, niepoważna, egoistka.

Dziś mogłabym jej kupić te szpilki, najdroższe, najpiękniejsze, jakie tylko by chciała, nawet te z czerwonymi podeszwami. Tylko że ona nie umiałaby już teraz w nich chodzić.

„Gdy Venus miała szesnaście lat / zauważyli rodzice / Że się dokoła kołysze świat / Gdy piękna córka idzie przez ulicę”, był kiedyś taki wiersz. Czytała go, tak jak inne wiersze, które lubiła, ale nie pomyślała, że to o niej. Wtedy chciała po prostu mieć i tym miała zaprzątniętą głowę. A może naprawdę chciała być, ale nie widziała różnicy? „Mieć” znaczyło wtedy „być”, tak jej się przynajmniej wydawało.

Z mroku pamięci, z dzieciństwa w getcie powracało niejasne wspomnienie, silne jak imperatyw: przeżyć mogą tylko młodzi, zdrowi, piękni, więc i dobrze ubrani. Dla nich zawsze świat miał litość. I to przekonanie towarzyszyło jej także później, po wojnie, podczas wędrówek po krakowskich ulicach. Wyglądać lepiej, czuć się pewniej, zagłuszyć lęki, nieśmiałość. Musicie mnie kochać, przecież tak się staram – zdawała się mówić. Ale to nie było takie proste...

Chęć posiadania rzeczy stawała się więc czasem obsesją, sprawą życia lub śmierci.

Na przykład burnus.

\*\*\*

W sklepie na Szewskiej, na wystawie, zobaczyłam burnus. Stałam długo, patrzyłam. Zachwycający! Brązowobeżowy, w kolorze, który nazywa się wielbłądzi, z kapturem, zapinany na kołeczki. Niesamowity! Takie płaszcze nosi się w Paryżu, w Ameryce, wszędzie! Takie burnusy noszą w Paryżu egzystencjaliści – Françoise Sagan, Juliette Gréco i inni... Muszę mieć ten burnus. Muszę!

Egzystencjaliści ubierają się na czarno. Czarny sweter, spódnicę już mam, ale taki burnus też jest modny. A ja właśnie postanowiłam, że będę egzystencjalistką. Teraz trzeba być albo marksistą, albo egzystencjalistą. Długo nie mogłam się zdecydować. Nawet sobie kupiłam Adama Schaffa *Materializm dialektyczny*, ale tylko do niego zajrzałam, a więcej chodziłam z tą książką pod pachą albo kładłam ją na stoliku w kawiarni, żeby ciekawie wyglądać.

Teraz już jestem egzystencjalistką... Ci egzystencjaliści w Paryżu są tacy piękni... Juliette Gréco, na przykład, ma długie czarne włosy i zawsze nosi czarną wąską sukienkę.

Ogólnie chodzi o to, że człowiek jest wolny i samotny, sam może decydować o swoim życiu, tak mówi filozof, który nazywa się Sartre, mówi, że wszystko i tak jest beznadziejne, całe to istnienie.

Czytam o pisarce Françoise Sagan. Ma tyle lat, co ja, i napisała już dwie powieści.

Chodzę teraz po mieście z koszykiem. Nosi się takie plecione koszyki, kupiłam sobie w Cepelii. Marynia się śmiała, że wyglądam jak ze wsi. Ale to jest piękne, bo takie proste. Wszystko w życiu powinno być proste, tak mówi Sartre. W koszyku zawsze noszę ćwiartkę wódki, teraz modna jest Siwucha. Właściwie nie piję, bo nie lubię, ale tak się chodzi, egzystencjaliści piją tylko wódkę.

Burnus! Muszę go mieć. Mam fajny czarny sweter, obcisły, z długimi rękawami, i ufarbowałam sobie na czarno spódnicę; zaplamiłam wtedy całą łazienkę i Marynia zagroziła, że już nie będzie u mnie sprzątać, ale co tam! Brakuje do tego tylko burnusa!

Gdybym tak ubrana poszła do Literatów albo do SPATiF-u w Warszawie – Lena mówiła, że tam podobno spotykają się pisarze i aktorzy – wtedy wszyscy oni zwróciliby na mnie uwagę. Zaraz byłoby widać, że jestem kimś ważnym. Inaczej by ze mną rozmawiali. Bo będę pisarką. Na pewno. Już jestem. Teraz piszę wiersze. Nie wiem, czy coś warte. Ale próbuję.

Jak zdobyć ten burnus? Napisać do mamy? Zanim list dojdzie, zanim ona odpisze, coś takiego przecież na pewno zniknie z wystawy! Iść do wujka, do biura? Wujek nigdy mi nie odmawia. Ale co powiedzieć? Że jestem



chora i potrzebuję na lekarstwa? Zmartwi się. To przecież dużo pieniędzy, tyle, ile mam na cały miesiąc... Jeżeli powiem, że jestem chora, to zadzwoni do mamy, choćby miał czekać całą noc na połączenie. A mama się przerazi i jeszcze przyjedzie! Czasem chciałabym, żeby tu była, a czasem się tego boję. Ale przecież nie powiem wujkowi, że chodzi o burnus, on pewnie nawet nie zna tego słowa. Czy zrozumie, że tyle pieniędzy chcę wydać na jakiś płaszcz? „Nie masz płaszcz, Romeczko?“, zapyta zatroskany jak zwykle. Jak mu to wytłumaczę? Przecież on nie ma pojęcia, co to jest egzystencjalizm!

Dziś, zaraz rano, pobiegłam na Szewską, stałam i stałam przed tą wystawą. A burnus tam wisiał – mięciutki, beżowy i śliczny, i te drewniane kołeczki po prostu się do mnie uśmiechały. Weszłam. Pani trochę dziwnie spojrzała, przejechała wzrokiem po mojej figurze i powiedziała, że pewnie będzie za duży. Dodała, że to droga rzecz, i wcale się nie śpieszyła, żeby zdjąć go z wystawy...

W końcu pozwoliła mi przymierzyć. No, wyglądałam w nim bosko! Jak pisarka albo jakaś włoska aktorka... Może trochę za duży, ale co tam! Ciepły, puszysty, głaskałam go palcami, był szorstki, a zarazem miękki w dotyku, trochę jak sierść kota.



Ublągałam tę panią – znam ją z widzenia, ma jasnoblond włosy, wydatny



biust i mocno umalowane oczy – żeby mi go odłożyła na dwa dni. „U nas się nic nie odkłada”, oświadczyła, ale jak jej powiedziałam, że mam mamusię za granicą i tylko muszę wymienić dolary, to się uśmiechnęła i zgodziła się, że do jutra. A ja mam już tylko parę groszy do pierwszego...

Poszłam w końcu do wujka. Bardzo mi było głupio, ale powiedziałam coś o książkach... A przy słowie „książki” to oni, mama i on, zawsze ustępują.

– No więc dam ci już forszę na cały miesiąc, skoro już nic nie masz – powiedział wujek zatroskanym głosem, ale ciepło i serdecznie, jak to on. – Tylko ściskaj, bo wiesz, jakie są czasy. Jak mi wlepią domiar – dodał – to nie wiem, czy sobie poradzimy. Oni potrafią zrujnować człowieka, sama wiesz.

Wyszłam i trochę mi go było żal, siedział taki zgarbiony i twarz miał pełną zmarszczek, najwięcej wokół oczu. Kiedy się żegnaliśmy, pochylił głowę i zobaczyłam, że coraz bardziej łysieje. On bardzo kocha moją mamę, a o mnie się martwi, mówi, że jestem dla niego jak córka.

Mam ten burnus! Wisi na wieszaku, na drzwiach od pokoju, i kiedy leżę na łóżku, mogę mu się przyglądać. A ja leżę, bo się przeziębiam i mam gorączkę. Ale jutro i tak wyjdę, skoro mam takie ubranie. Muszę choć raz przejść się po mieście. Wydałam wszystkie pieniądze, które dał mi wujek. Nie wiem, za co będę żyć przez cały miesiąc. Może coś sprzedać w komisie? Ale co? Nie wiem, zobaczę. Mam jeszcze sto złotych... jakoś to będzie...

Piję wodę z sokiem malinowym, który zrobiła mamusia. I jem chleb z serkiem topionym, i tak nie mam apetytu.

Wpadła Lena, tylko na chwilę, bo musi ćwiczyć, bo ma randkę, wszystko naraz. A potem siedziała ze dwie godziny. Ona najchętniej mówi o muzyce albo o mężczyznach. A ja ani na jednym, ani na drugim się nie znam. Ale lubię jej słuchać i na nią patrzeć. Kiedy mówi, przerzuca przez lewe ramię swój piękny rudy warkocz, a jej włosy jaśnieją nawet w moim mrocznym pokoju. Patrę na jej niebieskie oczy, też bym chciała takie mieć, i na bluzkę z głębokim dekoltem. Kiedy coś opowiada głośno i szybko, to jej piersi poruszają się w rytmie oddechu.

Wolałabym rozmawiać o książkach. Albo o Akademii. Jestem teraz studentką. Lena też studiuje, w szkole muzycznej – dla niej niewiele się zmieniło. Zawsze ćwiczyła, grała i występowała publicznie. Ale dla mnie otworzył się nowy świat.

Nie ma już wstawania o świcie, terkotu budzika. Nie ma ponurej szkolnej klasy, nie ma matematyki, fizyki, chemii i tego strasznego uczucia, że niczego nie rozumiem, że jestem głupsza od innych i może do tego gimnazjum wcale się nie nadaję.

Pisałam wprawdzie ładne wypracowania z polskiego, umiałam też niezłe rysować, ale to się nie liczyło wobec klęski, jaka spadała na mnie na każdej lekcji matematyki, na której siedziałam zgarbiona, z pochyłą głową, z obawą, że pewnie nic ze mnie nie będzie, bo niczego trudnego nie potrafię się nauczyć. „O czym ja mam z tobą rozmawiać, Ligocka?”, pytał nauczyciel fizyki i wznosił oczy do nieba z udawaną rozpaczą.

Zawsze rysowałam. Malowałam małe obrazeczki akwarelą, piórkiem, tuszem. Musiałam je często ukrywać przed mamą, nawet przed niektórymi życzliwymi koleżankami z klasy. „Rysuj sobie, rysuj – mówiły – a w końcu nie zdasz matury. Co ty znów robisz, żeby tylko się nie uczyć!”

Zawsze myślałam, że będę próbowała dostać się do szkoły aktorskiej – znałam przecież ogromną liczbę wierszy, potrafiłam je recytować w nieskończoność... Aż nagle któregoś dnia, sama nie wiem dlaczego, zebrałam te wszystkie moje małe obrazki i rysunki, włożyłam do kartonowej teczki i zaniiosłam do Akademii Sztuk Pięknych przy placu Matejki w Krakowie.

Potem były tygodnie oczekiwania.

Mama, która zawsze chciała, żebym studiowała medycynę i została lekarzem, jak wiele szanowanych osób w naszej rodzinie, teraz czekała wraz ze mną. Nie mogła spać ani oddychać z emocji i ciągle łykała jakieś kropelki. Potem rozpaczliwie próbowała się dowiedzieć, co można zrobić, żeby mnie na pewno przyjęli, i czy nie udałoby się kogoś „posmarować”, żeby tak się stało.

Tymczasem jej wysiłki w ogóle nie były potrzebne. Przyszedł taki dzień, właściwie wieczór, kiedy miano ogłosić listę przyjętych. Wiedziałam, że na każde miejsce czeka ogromna liczba chętnych. Nawet nie próbowałam

sobie tego wyobrazić.

Stałam potem w mrocznym holu Akademii przed tą listą, trzęsąc się ze zdenerwowania. Czytałam ją od góry do dołu raz jeszcze i jeszcze raz, ale mojego nazwiska nie było...

No, oczywiście, myślałam, a czego się spodziewałaś? Czy tobie mogłoby choć raz spełnić się to, czego pragniesz? Nigdy w życiu! Czy naprawdę myślałaś, że możesz się dostać na tę wspaniałą uczelnię, przez którą przewinęło się tylu wielkich malarzy? Ty? Właśnie ty?! Mała, śmieszna i głupia! Idź do domu, nie stój tak, zanim wszyscy zaczną się z ciebie śmiać. Idź do domu.

Nim odeszłam, spojrzałam jeszcze raz – bardzo powoli – czułam na sobie wzrok innych osób, które stały koło mnie... i nagle dostrzegłam swoje nazwisko: na górze, bardzo wysoko – było tam!

ROMA LIGOCKA – to przecież ja! No i teraz jestem studentką.



Na początku wszystko mnie zachwycało. Pracownia na trzecim piętrze. Prawdziwa pracownia malarska – drewniane sztalugi, na stoliku ustawiona martwa natura; pierwsza, jaką zobaczyłam. Srebrna, trochę cuchnąca wędzona ryba na zielonym talerzu, obok jabłka i czerwone wino w butelce.

A nad tym wszystkim wysokie okna i cudowny widok na drzewa i na dachy Krakowa.

Miałam wtedy uczucie, że tu i tylko tu – w tym zapachu farb i terpentyny – chcę spędzić całe życie...

To są prawdziwe studia, a ja będę prawdziwą artystką! Miałam ochotę natychmiast zabrać się do pracy. Tylko nie bardzo wiedziałam, od czego zacząć. Na razie pomyślałam, że mogę przyjść, kiedy chcę, i wyjść, kiedy zechcę. Jestem wolna. Nikt mnie nie sprawdza, nikt o nic nie pyta. Kolegom pracującym przy sztalugach nie chciałam tak od razu się przyglądać – czułam tylko na sobie ich dosyć obojętne spojrzenia...

Wkrótce przekonałam się, że życie tutaj też nie jest takie proste, jak mi się wydawało pierwszego dnia. O tym wszystkim nie opowiadam Lenie. Najczęściej rozmawiamy o romansach...

Czasem nie wiem, co z tego, o czym myślimy, może zdarzyć się naprawdę, a co jest gdzieś między marzeniem a rzeczywistością...

Opowiadamy sobie o filmach, o aktorach i o tym dziwnym uczuciu, które człowieka ogarnia, kiedy widzi, jak na ekranie dwoje ludzi się całuje... to takie mrowienie wzdłuż kręgosłupa...

– Masz to też? – pytam.

– No pewnie – odpowiada – a przed okresem to jeszcze bardziej.

A ja milknę. Nie podoba mi się to, co mówi, bo robi z tego jakąś chorobę czy coś fizycznego, a ja myślałam, że to tylko niepokój duszy.

„Niepokój duszy”, tak powiedział jakiś poeta. Pięknie! Lena już słucha mnie nieuważnie, jak zwykle, i już snuje jakieś plany.

– Wylecz szybko to przeziębienie, to pojedziemy do Warszawy. Artur wynajmuje tam mieszkanie. Będzie śpiewał w operze. Pójdziemy do SPATiF-u, do Kameralnej. Będzie fajnie! – Wesoła i pełna planów podnosi się z fotela, macha jeszcze raz warkoczem, zabiera koszyk, w którym nosi plik nut. Ona ma dobrze z tymi nutami, bo to ciekawie wygląda, kiedy wystają z koszyka, od razu widać, że jest artystką. Poprawia czerwoną kraciastą spódniczkę, zatrząskuje za sobą drzwi, i znów gdzieś pędzi.

Czytam. Czytam teraz fragmenty *Witaj, smutku i Pewnego uśmiechu* Françoise Sagan.

Czytam o dziewczynie, która pierwszy raz... To był mężczyzna dużo od niej starszy. Kiedy znaleźli się razem w łóżku, ona trochę się bała, „a potem był już tylko połączony rytm naszych oddechów”, pisze, a ja próbuję to



sobie wyobrazić. Rano dziewczyna siedzi w słońcu na tarasie willi nad morzem, pije kawę i je pomarańczę. Widzę to po prostu: zielone morze, taras, czuję ciepłe słoneczne promienie na jej skórze, zapach kawy i pomarańczy, której gęsty sok sączy się do jej ust.



Chciałabym być tam gdzie ona, na południu Francji albo w Paryżu. Chciałabym też napisać taką książkę i żeby miała taki piękny tytuł.

Często jeszcze mi się zdarza, że budzę się wcześnie rano przerażona, że zasnęłam, a przecież czas do szkoły! Muszę się szybko ubrać, pędzić – jest zimno, a nam nie wolno nosić spodni. Nasza dyrektorka mówi, że to jest niemoralne, kiedy kobieta wkłada spodnie. „Kobieta nie powinna wyglądać jak mężczyzna”, powtarza często.

Muszę biec do szkoły, bo zaraz zamkną bramę, więc zrywam się... aż nagle przez moje chmurne sny jak promień przebija się myśl słoneczna – że już nic nie muszę, że jestem na studiach i mogę nie pojawić się na uczelni, jeśli zechcę. Wolno mi! Ale ja chcę! W końcu jestem artystką. Na wszystko

teraz mam czas.

Udało mi się dostać do pracowni wspaniałego profesora. Słyszałam o nim. Piękny mężczyzna – wytworny, ciemnowłosy. Sławny malarz – wiele lat spędził w Paryżu, oczywiście jeszcze przed wojną. Chodzi po Krakowie – wspaniały, wyniosły, owiany tajemnicą paryskiej cyganerii...

Pobiegłam więc do niego zaraz na początku, kiedy można było wybierać sobie pracownię i profesora. Piękne było nasze pierwsze spotkanie. Zapukałam do drzwi z lekką tremą. Przywitał mnie miłym uśmiechem, aksamitnym głosem zaprosił do wejścia.

– Nazywam się Roma Ligocka – powiedziałam. – Nie wiem, czy pan profesor kojarzy...

– Ależ oczywiście – powiedział aksamitny głos. – Byłem w komisji, widziałem pani prace, kojarzą mi się z wielkim talentem. – Naprawdę tak powiedział. – Niech pani siada...

Postanowiłam wtedy, że choćby tylko dla tego człowieka – choćby po to, żeby go nie zawieść, nie rozczarować – będę pracować jak szalona, nie szcędzić trudu i sił, zrobię wszystko, żeby się stać sławną malarką, co najmniej tak znaną jak on. Ta siła naszej przyjaźni, siła wiary, jaką pokładał we mnie, niosła mnie, unosiła prawie nad ziemią przez jakiś czas. Niedługo później, były akurat moje urodziny, siedziałyśmy przy stole nad urodzinowym tortem – mama, ciocia Ela i ja – kiedy zadzwonił telefon.

Usłyszałam obcy głos koleżanki z pracowni – nigdy wcześniej do mnie nie dzwoniła...

– Wiesz, co się stało? Umarł nasz profesor. Wczoraj w nocy – na serce.

Zamknęłam się w łazience. Nie chciałam rozmawiać z mamą, z ciocią Elą tym bardziej nie – z nikim. Płakałam.

Powróciła do mnie myśl, która właściwie nigdy mnie nie opuszczała – że wszystko, co kocham, będzie mi odebrane, szybko, bardzo szybko... Jeśli tylko uda mi się kogoś lub coś pokochać, to zaraz odejdzie, zniknie z mojego życia.

Wszyscy odchodzą, a siła mojej miłości nie jest żadną siłą, bo nie potrafi ich zatrzymać...

Zawsze tak było i nic nie mogę na to poradzić. Człowiek czy zwierzę, przyjaciel czy tylko ulubiona lalka... Właśnie najszybciej odchodzą ci,

których najbardziej chciałabym zatrzymać.

Wszystko, co kocham, będzie mi odebrane...

Babcia, którą zabrali Niemcy. Mama, która pokochała obcego mężczyznę, a zawsze mówiła, że będzie kochać tylko mnie... Nawet ta lalka, o której tak marzyłam, kiedy byłam małą dziewczynką, lalka z porcelany, z piękną buzią i prawdziwymi rzęsami – lalka, która upadła i rozbiła się, zanim zdążyłam chociaż raz ją przytulić.

Roztrzaskana na dziesiątki małych kawałeczków, leżała na ulicy, a w każdym z tych niepotrzebnych nikomu małych kawałeczków czaił się ból.

– Roma! Cóż ty tam robisz w tej łazience? – usłyszałam głos mamy i pukanie do drzwi.



Otarłam więc łzy. Wyszłam. Rzeczywiście chyba mają rację dorośli – zmarł mój profesor, a ja płaczę nad rozbitą przed laty lalką – dziwna jakaś jestem.



I znowu wszystko było normalnie, jak zawsze. Teraz mam inną pracownię i innego profesora. Rzadko do nas zagląda – wydaje się, że często jest w złym humorze. Poza tym uwielbia abstrakcję – trójkąty, koła, kwadraty malowane mocnym kolorem. A ja przy malowaniu takich rzeczy po prostu zasypiam...

Coraz częściej ogarnia mnie uczucie, że tutaj też nie całkiem pasuję i że może się nie nadaję. Znowu widzę, że za mało umiem i na niczym się nie znam.

Powoli do mnie dociera, że większość moich kolegów kończyła liceum plastyczne – ja nie. Ja uczyłam się łaciny i francuskiego, oni nauczyli się, jak zagruntować płótno, uczyli się, co to szkic, a co perspektywa. Znają się wszyscy z tego liceum i rozmawiają językiem, którego ja znowu nie znam.

Pierwszego dnia nawet nie wiedziałam, że zawsze po zajęciach trzeba starannie umyć pędzle – nikt mi tego nie powiedział. Następnego ranka stałam na środku pracowni z pękiem twardych, zaschniętych, bezużytecznych już pędzli w ręku i chciało mi się płakać ze wstydu i upokorzenia. Wtedy też postanowiłam, że wszystkiego nauczę się sama i nikt tu już nie będzie się ze mnie śmiał.

Pewnie – czasem mimo wszystko jest miło. Podobno jestem ładna, zdaje się, że podobam się kolegom.

Odkąd jeden z nich podniósł mnie wysoko w górę, a potem z rozpędu zaniósł na trzecie piętro – „żebym sobie nie zniszczyła szpilek” – inni robią to coraz częściej. Nazywają to unoszeniem Romy i traktują jak jakiś sport. Przeważnie dwaj układają ramiona w „koszyczek” i biegną ze mną na górę, a ja siedzę i zgadzam się na to ku uciesze pozostałych kolegów.

Są dla mnie mili – nieraz mi pomagają i czasem czegoś mnie nauczą, tak żeby nie widział profesor.

Niektórzy dojeżdżają ze wsi – mają bardzo mało pieniędzy, po prostu są biedni. Mieszkają w akademiku. Zdarza się, że kiedy przychodzą rano do pracowni, podjadają ustawioną przez profesora do malowania martwą naturę, bo są po prostu głodni.

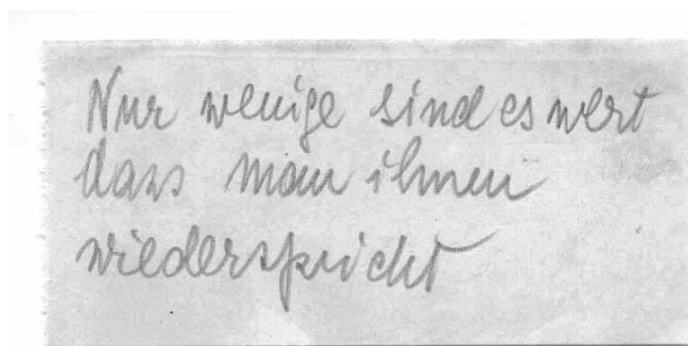
„Kto z was znowu zeżarł «martwą»”, wścieka się potem profesor, widząc ponadgryzane jabłka...

Za to wszyscy piją. Przemycają do pracowni wódkę. Wtedy nastrój

szybko się poprawia – śmiejemy się i błaznujemy.

Czasem idziemy na dach budynku, pod wielką zieloną kopułę – widać stąd całe miasto, a nawet dalekie góry. Siedzimy, palimy papierosy, patrzymy na ulicę cztery piętra pod nami. Jeden fałszywy ruch i można spaść – nie ma tu żadnego zabezpieczenia – ale może właśnie to nam się tak podoba.

Wieczorem wracam do domu, słucham muzyki, czasem płaczę. Chyba za często płaczę, kiedy jestem sama, nie wiem dlaczego...



### **Droga Romo!**

**Znowu tak długo nie piszesz, gdybym nie wiedziała od innych ludzi, że żyjesz, tobym już chyba osiwiła. Ale taką mam córkę, już się do tego przyzwyczaiałam. Na wszystko masz czas, ale nie na to, żeby napisać do matki. Wujek mnie uspokoił, że nie jesteś w ciąży. Mówi, że Cię pytał i że mu przysięgałaś. Jeżeli kłamałaś, to już nie wiem! To mnie dobije!**

**Mam chore serce, sama wiesz, chwila i będzie po wszystkim... Więc jak chcesz.**

**Podobno chodzisz do jakichś lokali, spotykasz się z dziwnymi ludźmi, ale czy to jest towarzystwo dla Ciebie? Przecież jesteś jeszcze dzieckiem! Czy Ty coś jesz? Czy się uczysz? Dbasz o siebie? Musisz skończyć studia, ja przecież nie będę żyć wiecznie, co z Tobą będzie... Czy Ty sobie dasz radę w życiu? Te myśli mnie gnębią dzień i noc. Jak z tymi studiami? Czy Ty masz na to czas, skoro tylko się stroisz i wychodzisz wieczorem, a kiedy wracasz, Bóg jeden wie.**

*Ja tu się staram, żeby coś zarobić, odłożyć, żebyś Ty kiedyś mogła wyjechać za granicę. Choćby do Izraela... No, ale na razie to są marzenia... Przed południem u pani Eweliny pilnuję dzieci. Popołudnia mam wolne, ale do domu nie chcę wracać, bo przecież mieszkam kątem u tych ludzi, niech też mają swoje życie. Prawie codziennie chodzę do kina, nawet mi się czasem udaje wejść na gapę, tu nie bardzo pilnują. Bilety są drogie, to zawsze się oszczędzi parę szylingów. Widziałam piękne filmy, Tobie by się podobały. Szkoda, że nie mogę iść z Tobą. Pamiętam, jak byliśmy kiedyś razem w kinie Wanda i Ty mi kazałaś zabrać poduszkę, i miałaś rację, bo film trwał cztery godziny, a siedzenia twarde.*

*Gdybyś Ty tylko była lepszym dzieckiem! Gdybyś mnie słuchała, gdyby się jakoś dało z Tobą żyć...*

*Po kinie jeszcze włóczę się po sklepach. W tutejszych delikatesach wieczorami dają różne rzeczy do skosztowania, na przykład kawior albo sery, albo sałatki. Ja chętnie wszystkiego próbuję i już mam kolację. A jeszcze wieczorami przeceniają różne owoce i jarzyny, żeby się nie zmarnowały, na przykład banany. Ludzie to sobie zabierają. Niektórych z nich znam już z widzenia, Polacy też tam są.*

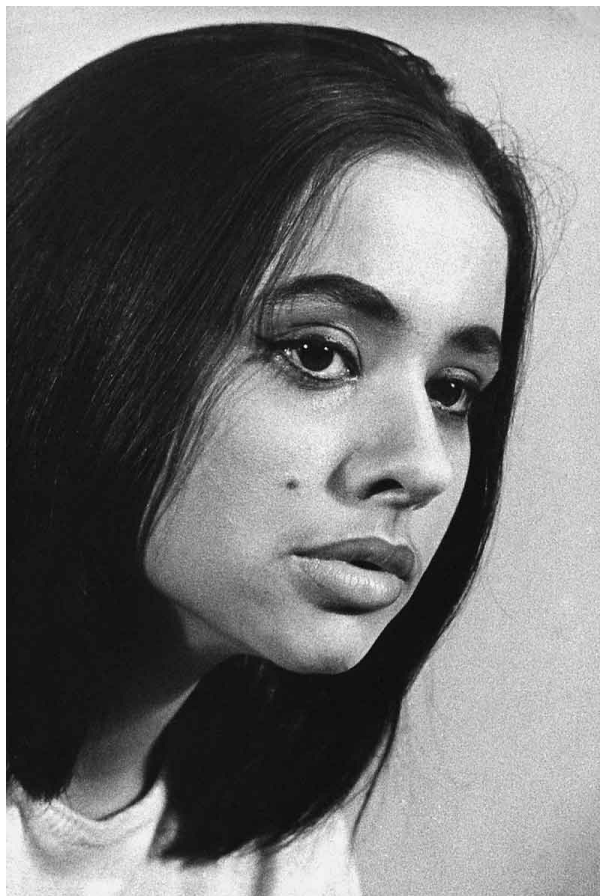
*Tak chodzę po tych sklepach i myślę, co by się spodobało mojej „pani córce”. Zbieram już paczkę dla Ciebie, jak coś kupię, to układam sobie na stoliku, i jak będzie więcej, to Ci wyślę i jeszcze dołożę te zielone jabłka, które Ci się tak spodobały, że nawet zdobyłaś się na list...*

*Wujek stale pisze, chce, żebym wróciła. Ale ja, jak sobie pomyślę o tych wszystkich nerwach, o tym, że on nie umie uporządkować swojego życia... Kocha mnie, ale ciągle jeszcze mieszka z żoną. A mnie już rzeczywiście pojawiły się siwe włosy na skroniach, utylam i chyba już nie jestem ładna. Stara baba ze mnie się robi; kiedy mu to mówię, on nie chce o tym słyszeć!*

*Dziś się zasiedziałam na kawie w Aidzie, dawali pączki za darmo, dla reklamy, więc sobie do tego zamówiłam Kleiner Brauner i siedziałam prawie do zmroku. Myślałam o tym wszystkim... żebyś Ty choć chciała ze mną rozmawiać. Jak mi się urodziła córka, to zawsze mówiłam, że kiedyś będzie miała przyjaciółkę... Ale to mi nie wyszło,*

*tak jak tyle innych rzeczy, i jeszcze ta wojna, która była. To wszystko, całe to życie... Ale kończę, bo się rozklejam, a rano trzeba wstanie wcześnie wstać. A Ty uważaj na siebie, wiesz, jakie masz słabe zdrowie!*

*Twoja Mama*



Jesteśmy w Warszawie, Lena i ja. Będziemy spać u Artura. Zostawimy tylko rzeczy, przebierzemy się. Nauczyłam się pięknie malować sobie oczy. Najpierw się robi taką grubą czarną kreskę na powiece, a następnie tuszuje rzęsy i używa zalotki do ich podkreślenia. Trochę to głupie, ale później ładnie wygląda. A usta maluję sobie perłową szminką i już.

Byliśmy w SPATiF-ie, wróciliśmy późno w nocy. Odwiózł nas swoim autem jeden aktor, którego znam z filmu, ale nie wiem, jak się nazywa, mówili do niego Kajtuś czy Wojtuś, nie pamiętam. Był taki pijany, że musiałyśmy pomagać mu usiąść za kierownicą. Ale nas dowiózł, a ja nawet

nie dałam po sobie poznać, że się boję. Dopiero jak wróciłyśmy, zorientowałam się, że to mieszkanie to jest kawalerka, jeden pokój, i mamy tam we trójkę spać.

W nocy słyszę, co się dzieje, wstaję, przenoszę się do łazienki. Robię tam z koców legowisko w wannie, starannie zamykam drzwi. Strasznie mi było niewygodnie, ale jakoś dotrwałam do rana.

– Ty to naprawdę dziwna jesteś – mówi Lena.

A ja postanawiam pojechać do Kazimierza nad Wisłą. Wczoraj w SPATiF-ie wszyscy o tym mówili, że tam jest tak pięknie, romantycznie i spotykają się artyści. No to ja też mogę pojechać, a co mi tam! Z Warszawy to niedaleko, a do Krakowa nie chce mi się wracać. Lena i tak jest zajęta tymi swoimi muzykami, przesłuchaniami i koncertami. Ja też lubię muzykę, ale tych wszystkich ludzi nie znam, a na koncerty i tak się nie dostanę. Zresztą jeśli ten Kazimierz taki piękny... Już tak dawno nigdzie nie byłam. Dawniej jeździłyśmy z mamą nad morze i w góry. Ale teraz?

\*\*\*

Nie jedź tam, Romeczko – chciałabym krzyknąć. A może właśnie jedź! Gdzieś musisz rozpocząć to swoje dorosłe życie, więc może akurat tam? Zawsze lepiej niż w jakiejś speluncie, czy na jakiejś obskurnej „prywatce”... No więc jedziesz.

Miasteczko jak z twoich snów, stare kamienice z podcieniami, stara drewniana studnia na rynku... Kwitnące drzewa naokoło, czyste błękitne niebo.

Widzę cię, jak idziesz przez pusty o poranku Kazimierz, w czarnej bluzce i białej spódnicy, zgrabna i smukła, chyba po raz pierwszy widzę cię radosną, promienną. Znajdujesz gdzieś u ludzi maleńki pokoik. Dostajesz od gospodyni dzbanek ciepłej wody i myjesz włosy. Zawsze przede wszystkim myjesz włosy. Potem suszysz je na słońcu. Lubisz, kiedy ciepłe promienie głaszczą cię po głowie, włosy schną, jest ich nagle bardzo dużo, lubisz, kiedy otaczają twoją twarz ciemną pachnącą chmurką. Potem wkładasz tę samą bluzkę i białą spódnicy (nie zabrałaś zbyt wielu rzeczy, zresztą niewiele ich wtedy miałaś i niewielu



potrzebowałaś), bierzesz swój nieodłączny koszyk i idziesz do miasta na spotkanie przygody. Wtedy jeszcze wychodziłaś z domu z nadzieją, cieszyłaś się każdym wyjściem, tak jak ja cieszę się dziś każdym powrotem do domu.



\*\*\*

Domki jak zabawki, białe z czerwonymi dachami. Niewysokie, niektóre drewniane. Tu jest po prostu przepięknie, nigdy tak pięknego miejsca nie widziałam. A jednocześnie mam uczucie, że już tu kiedyś byłam, jakbym weszła w jakiś stary obraz albo książkę... Wąskie uliczki, stary kościół.

Najpiękniej jest na rynku. Jest tu jakaś gospoda, stoły i ławki wystawione na zewnątrz. Jest prawie pusto, wokół bawi się kilka psów. Przy jednym ze stołów trzech mężczyzn pije piwo. Siadam nieopodal na drewnianej ławce, wiem, że powinnam coś zjeść, nic jeszcze dziś nie jadłam. Ale nie czuję głodu, nie chce mi się pić, chciałabym tylko tak siedzieć i patrzeć. Jestem tu, w nieznanym, tajemniczym miasteczku. Przyjechałam, odważyłam się. Sama.

Mężczyźni przy sąsiednim stoliku śmieją się, żartują. A ja z konieczności przysłuchuję się ich rozmowie.

– Trzeba by pójść na plażę, przy takiej pogodzie – mówi jeden z nich, przeciągając się leniwie. Ma jasne włosy, okulary, ubrany jest w niebieską koszulę i płócienne szorty. – Słuchajcie, fajną historię wczoraj widziałem – opowiada, dolewając wszystkim piwa. – Jeden gość na tej łódce, która kursuje między plażą a drugim brzegiem, zdjął sobie buty. No i jeden but wpadł mu do wody. Facet najpierw próbował go wyłowić, śmiesznie to wyglądało, bo omal sam nie wpadł, a potem tak się wściekł, że cisnął do wody drugi but, bo nie był mu już potrzebny. A kiedy dopłynęliśmy do brzegu, gość, wychodząc z łódki, zobaczył, że fala wyrzuciła na brzeg ten pierwszy but... Szkoda, że nie widzieliście, jaką miał minę. Usiadł na brzegu i pewnie postanowił czekać, aż przypłynie drugi but, nie wiem, może ciągle tam siedzi...

Śmieją się i śmieją, a ja słucham i żal mi tamtego człowieka, myślę, że taka historia równie dobrze mnie mogłaby się przydarzyć.

A potem oni mówią jeszcze coś, czego nie rozumiem, o filozofii, o przypadku i o ludzkim losie.

Potem milkną. Od dłuższej już chwili czuję, że ten w niebieskiej koszuli patrzy na mnie. W końcu odwraca się od stolika i pochyla w moją stronę.

– Czy ja się mogę do pani uśmiechać? – pyta.

A kiedy nie odpowiadam, bo nic dowcipnego nie przychodzi mi do głowy, wstaje, podchodzi i przedstawia się. Ma na imię Janusz. Trochę już jest stary, ma chyba ze trzydzieści lat.

\*\*\*

Będiesz się z nimi włóczyć przez cały dzień po mieście.



Pójdziecie na plażę, potem zaproszą cię na obiad, później do siebie na wino, a ty będziesz im towarzyszyć zachwycona, wsłuchana w ich rozmowy, z których połowy nie zrozumiesz, ale wydadzą ci się takie mądre i zabawne...

Będiesz wdzięczna, że ktoś wreszcie traktuje cię jak dorosłą...

Nie wiem, o czym wtedy myślałaś. Czy zastanawiałaś się... czy już wtedy dałaś sobie na coś zgodę... nie wiem i już nie chcę wiedzieć. Nawet nie mam do ciebie żalu, pięknej osiemnastoletniej, że nie wiedziałaś, jak wyglądasz, że ci na sobie samej nie zależało. Wiedziałaś tylko, że jesteś niemądra, nieokrzesa, nieoczytana i że to jakiś cud, że oni tego nie zauważają. W twoim wyobrażeniu byłaś starsza, miałaś za sobą jakieś sto pięćdziesiąt lat smutku i tylko czułaś, jak dobrze jest chociaż przez chwilę nie być samotną...

Nie mogę mieć do ciebie żalu, że to zrobiłaś. Wzruszasz mnie. Dziś wiem, że mogło to się stać ładniej, godniej. Że mógł się znaleźć ktoś, kto by cię kochał i kogo ty byś kochała. Ale nikt ci nie powiedział, że trzeba go szukać. A zresztą, może to bez znaczenia?

\*\*\*

Moi nowi znajomi rzeczywiście są artystami. Janusz jest poetą. Jego wiersze drukowane są w gazetach, już w Krakowie słyszałam jego nazwisko. Kupiłam tom jego wierszy... Marek jest malarzem, też znanym. Nie podoba mi się, ma długie ciemne włosy, jest nieogolony, w workowatym ubraniu. Ten trzeci, Jacek, chudy, małomówny, chodzi za nami jak duch. Ale jest bardzo grzeczny, kilka razy pocałował mnie w rękę. To także malarz. Mieszkają razem „u chłopca”, jak mówią. W domku za miastem.

Idziemy najpierw wąską brukowaną uliczką, a potem drogą, która wspina się stromo wśród łąk i drzew owocowych. Widać stąd Wisłę, niebieskawą wodę, porośnięte trawą brzegi, wąski pasek piaszczystej plaży. Między plażą a drugim brzegiem pływa tam i z powrotem mała drewniana łódka.

Przed domkiem na niskim stołku siedzi stary, pomarszczony mały człowieczek w kapeluszu. Wyplata koszyk z wikliny, nie zwraca na nas uwagi. Obok niego śpi zwinięty w kłębek kot. Gospodarze mieszkają na dole. Oni na górze w dwóch pokoikach. Weszliśmy przez kuchnię, gdzie krzątała się jakaś tęga kobieta.

U nich na górze drewniane ściany, okna pootwierane szeroko. Nieposłane łóżka, książki, farby, obrazy na sztalugach. Nie rozglądam się za bardzo, bo może nie wypada.

Siedzimy przy małym rozkładanym stoliku przy oknie, w dali łąki, ruiny jakiegoś zamku. Nad łąkami powoli zachodzi wielkie czerwone słońce. Jego blask złoci nasze twarze, ręce, włosy.

Pijemy wino z grubych szklanek po musztardzie. Niewiele razy w życiu piłam wino, ale to mi smakuje. Siedzę tak, coraz spokojniejsza, pewna, że tu właśnie jestem na swoim miejscu, jakbym tu cały czas z nimi mieszkała, i wiem, że dalej tak będzie, i nie chcę niczego zmieniać...

Marek mówi, że rano namaluje mój portret. Rano? Nawet nie wiem, która godzina, i nic mnie to nie obchodzi. Nie zastanawiam się nad niczym. Potem zapada zmierzch, ktoś zamyka okno.

Nawet nie zauważyłam, kiedy ci dwaj sobie poszli.

– Poszli po wino? – pytam.

– Oni już dziś nie wrócą – mówi Janusz. W blasku dogasającego dnia czyta mi swoje wiersze, ale ja tylko widzę jego poruszające się wargi i światełko odbijające się w okularach. Jego oddech pachnie alkoholem i tytoniem z fajki.

\*\*\*

– Nie denerwuj się tak! – Janusz otula mnie leżącą na łóżku kraciastym kocem. – Wokół nas jest tylko szumiące morze – szepce – tylko morze...

W pokoju jest już całkiem ciemno, jedynie za oknem wielka ognista kula. Jakby słońce nagle zamieniło się w księżyc. A potem jest już tylko połączony rytm naszych oddechów.

\*\*\*

Leżę na skraju łóżka, mocno otulona kocem. Chyba wcale nie spałam. Z mieszkania na dole całą noc dochodziły jakieś głosy, jęki, jakby płacz, kroki, otwieranie i zamykanie drzwi. Znowu płacz? I znowu kroki.

Rano zobaczyłam moje gołe nogi wystające z pościeli. Wstałam, przejrzałam się w lustrze nad umywalką. Sama sobie wydawałam się obca. Miałam tylko uczucie, że jest we mnie wielka cisza. Oglądałam moje zamglone odbicie w lustrze i odniosłam wrażenie, że czas, który się zatrzymał, powoli rusza z miejsca.

Janusz budzi się, potem patrzy na mnie uważnie swoimi oczami krótkowidza.

– To był sen nocy letniej – mówi, wstając. – Sen nocy letniej. Czytałaś Szekspira? Powinnaś koniecznie. Tylko Szekspira warto czytać.

Potem boszo idzie na dół do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

Siedzę na łóżku z podkurczonymi nogami, z naprzeciwka, oparty o ścianę, patrzy na mnie duży olejny portret jakiejś nagiej dziewczyny.

Janusz wraca bez kawy, z dziwną miną.

– Wiesz – mówi i ciężko siada na krześle – dziś w nocy umarł ich dziadek. Widziałas go. Wyplatał koszyki przed domem. Wikliniarz.

Właśnie dziś w nocy...

Zwijam się na łóżku z jakimś niejasnym poczuciem winy, ale nie chcę o tym myśleć... i sama nie wiem, jak zapadam w drzemkę.

Kiedy się budzę, jest już chyba południe. Na stole kartka.

„Idę do miasta po zakupy, zaraz wracam”.

Trochę się boję zejść na dół, żeby nie zobaczyć tego umarłego, ale widzę tylko pustą, czystą, posprzątaną kuchnię. Siadam na ławeczce przed domem i macham nogami, nie chce mi się nic robić ani myśleć. Wsłuchuję się w swoje wnętrze, ale ono nic mi nie mówi. Zupełnie nic.



Chwilę później pojawia się Janusz z siatką pełną butelek i Marek, który taszczy wielki bochenek chleba. Z nimi szczupły, może dziesięcioletni chłopczyk. Śliczny. Ma ciemne loki i wielkie brązowe oczy.

– To mój syn. Znajomi z Warszawy podrzucili go samochodem – mówi Janusz. Potem z roztargnieniem głaszcząc chłopca po głowie. – Idź się bawić – mówi.

Chłopczyk stoi przy furtce, nieśmiały i jakiś smutny. Podchodzę do niego i pytam, jak ma na imię.

– Wojtek – odpowiada i patrzy w dół, na swoje buty.

Mam ochotę pogłaskać go po głowie, przytulić się do niego. Jest jak duża lalka. Po chwili siedzimy razem na kupie piasku w kącie ogrodu i budujemy warowny zamek.

– Patrz, twoja dziewczyna bawi się z twoim synem w piaskownicy – uśmiecha się Marek i trąca Janusza ramieniem..

Ale ja nie chcę być jego dziewczyną! I jak by to mogło być, przecież on ma żonę. W ogóle nie chcę być niczyją dziewczyną, nigdy jeszcze o tym nie myślałam.

\*\*\*

Uciekaj, Romo! Pakuj się i wracaj do domu. Wracaj, zanim wszystko to razem – prawda i fikcja, marzenie i sen, i ci obcy mężczyźni – ostatecznie pomiesza ci w głowie! Wołam do niej przez przestrzeń i czas, wołam i zdaje mi się, że tym razem mnie posłucha...

\*\*\*

Wracam. Muszę jeszcze tylko wstąpić po rzeczy. Długo błądzą po miasteczku, bo zapomniałam, gdzie mieszkałam. Przecież nawet tam nie spałam. Przebieram się. Wrzucam do torby brudną, zmiętą białą spódniczkę.

Odprawdzają mnie do autobusu, wszyscy trzej. Stoją jeszcze długo przy oknie. Żartują. Namawiają, żebym koniecznie przyjechała do Warszawy na festiwal młodzieży, który ma się odbyć w sierpniu. Mówią, że muszę tam być, że wszyscy tam będą. Marek prosi, żebym koniecznie wróciła, przecież wczoraj zaczął malować mój portret. Musi go skończyć! Nie wiem, dlaczego patrzy na mnie takim smutnym, trochę psim spojrzeniem.

– Więc na festiwalu – mówi Janusz. – Umawiamy się na festiwalu, pamiętaj, to postanowione.

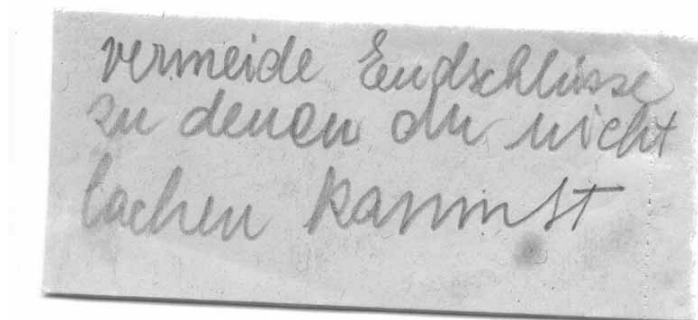
– Ale jak?! – wołam, kiedy autobus już rusza. – Jak? Tam będzie tłum ludzi, gdzie się spotkamy?

– Znajdę cię! – woła za odjeżdżającym autobusem, biegnie, a ja przez chwilę myślę, czyby nie wysiąść i wrócić.

– Znajdę cię!

Machamy do siebie na pożegnanie. A potem, kiedy przytulam twarz do szyby, widzę furmankę, która mozolnie wspina się pod górę, wśród łąk, po

kamienistej drodze. Na wozie dwaj chłopcy wiozą trumnę dla wikliniarza.



**Roma!**

*Dostałam Twój list. Wiedziałam, że jak już wysyłasz do mnie list ekspresem, to czegoś potrzebujesz. Dobrze, napisałam do Manueli, że chcesz być w Warszawie na tym festiwalu. Swoją drogą, nie bardzo rozumiem, czego Ty tam szukasz, czy to Ci pomoże w studiach albo w czymkolwiek, ale jak już musisz tam być, to przecież nie będziesz spała we wspólnej sali w jakiejś szkole. Manuela się zgadza, żebyś u niej mieszkała te parę dni – tylko zachowuj się przyzwoicie. No i teraz zaraz napisz do niej albo zadzwoń (do Warszawy przecież się dodzwonisz) i podziękuj. Nie zapomnij! Żebyś się nie zjawiała u niej bez zapowiedzi, bo jak Cię znam, Ty to potrafisz, pamiętaj! I zostaw jej mieszkanie posprzątane, żeby nie było wstydu. I żebyś nie mówiła, że nie zdążyłaś!*

*Nie wiem, po co to piszę, przecież twierdzisz, że jesteś dorosła, ale ja jakoś tego nie widzę.*

*U mnie niewiele się zmienia. W Polsce byłam kimś z towarzystwa, tutaj poznaję tę drugą stronę. Czasem, jak tak chodzę po ulicach albo zaglądam do sklepów, to czuję się jakby przezroczysta. Nikt nie patrzy, nikt o nic nie zapyta, nawet to swoje „Gnee Frau” mówią tak jakby od niechcenia.*

*Niedługo będzie otwarcie Burgtheatru, pierwszy raz po wojnie. Chętnie bym na nie poszła, pamiętam, jak przed wojną byłam tam z Twoimi dziadkami. Babcia była szczęśliwa, a dziadziu narzekał, że*

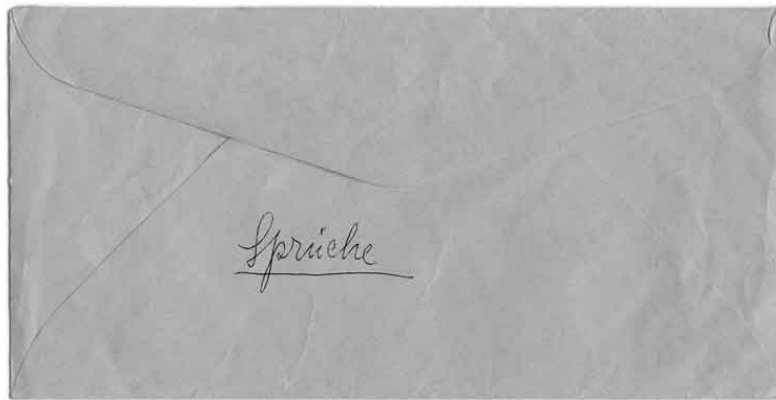
*woli operetkę. Ale było pięknie i tak myślę, co się z tym wszystkim stało, gdzie to jest... Po tych strasznych czasach... Teraz nawet marzyć bym nie mogła o bilecie na premierę, bo za te pieniądze mogę żyć prawie miesiąc i jeszcze Tobie coś posłać.*

*Pogoda ostatnio kiepska, dużo pada. „Deszcz skraca dni, ale przedłuża noce...”, tak się mówi.*

*Bądź grzeczna, zachowuj się rozsądnie, stale Cię o to proszę!*

*Twoja Mama*

*PS Jak się uda, to Ci jeszcze teraz pošlę jakiś sweterek albo bluzkę, żebyś miała na ten Twój festiwal.*



Romo!

„Deszcz skraca dni”, twoja mama kochała cytaty, przysłowia, tak zwane Sprüche. Po jej śmierci, kiedy weszłaś do jej mieszkania pełnego przedmiotów, które zostały samotne, osieroczone, już tylko po to, żeby zadawać ci ból, w szufladce przy łóżku, obok okularów, kroperek na serce, choć one już nie mogły pomóc jej sercu, i kilku innych potrzebnych rzeczy, które nagle przestały być potrzebne, znalazłaś poźółkłą kopertę, a w niej stosik małych karteczek, na nich zaś wycięte z gazet albo przepisane jej pięknym pismem cytaty, złote myśli, mądrości, przysłowia.

Dziś nazywasz to mantrą. Sama też wycinasz, przylepiasz na lustrze słowa, które mają pomóc: „jesteś piękna”, „będzie



dobrze”, „nie ma starości, jest dojrzałość”, różne takie. Słowa, słowa... Widać to także odziedziczyłaś po niej... Chciałabyś dziś zajrzeć do tej koperty, zobaczyć, co ona uważała za mądre i ważne.

Muszę przejrzeć jej papiery, które przechowuję, odnaleźć ją. Zawsze boję się tych chwil, bo kiedy przeglądam pozostałe po niej pamiątki, biorę do ręki rzeczy, których dotykała, ogarnia mnie smutek tak dojmujący i takie zmęczenie, że zastygam z ręką uniesioną w powietrzu i długo potem muszę się budzić z tego snu o wieczności...

„Moja córka wszystko gubi, wszystko marnuje”, narzekała nieraz. Czy miała rację? A może jednak nie wszystko?

\*\*\*

Lena wróciła z Warszawy bardzo zaaferowana. Była na różnych koncertach i raz też grała. Widziała samą królową belgijską. Oczywiście musiała mi dokładnie opisać, jaka jest ta królowa. Mówiła, że jest stara, ale piękna, korony nie miała, ale nosiła białą suknię bardzo królewską, obszytą też białym futrem. Podobno Lenę pogłaskała po głowie, jakoś w to nie wierzę, ona się pewnie tylko chwali.

Wieczorami chodzimy do Literatów, grają tam jazzmani. Teraz dużo się dzieje, bo zaczyna się lato. Ale w zimie to nie ma gdzie pójść. Są tylko trzy kawiarnie, a i te wcześniej zamykają. I jeszcze knajpy, do których nie można wejść. W Warszawie jest inaczej...

Siedzi się więc do późna, niekiedy nawet do rana. Modnie jest czekać do świtu, iść do domu dopiero wtedy, kiedy robi się jasno. Lena przeważnie zostaje z innymi. Ona wszystkich zna i wszyscy ją lubią. W ogóle są tu sami znajomi malarze, poeci. Ale najważniejsi są jazzmani: Matuszkiewicz, Komeda, Rysiu Horowitz i jeszcze kilku innych. Nawet czasami z Warszawy przyjeżdżają. Albo z Łodzi. Wszyscy okropnie dużo palą i wszędzie jest prawie biało od dymu. Mnie się od tego czasem robi słabo albo dostaję migreny. Nie potrafię tak przesiedzieć całej nocy, lubię wychodzić wcześniej. W jakimś momencie ta ciemność, ta muzyka i ci ludzie, którzy tam piją, ściskają się i całują, jakoś zaczynają mi przeszkadzać, robi mi się duszno i smutno i muszę wyjść na powietrze. Coś

łapie mnie za gardło i każe uciekać.

Zawsze się staram wyjść tak, żeby nikt za mną nie poszedł. Wczoraj niestety snuł się za mną cały wieczór jakiś poeta, mało go znam. Zaproponował, że mnie odprowadzi do domu, żebym nie chodziła tak sama po nocy. Zdziwiłam się, zawsze chodzę sama i w dzień, i w nocy, nigdy nic się nie dzieje. Przecież to Kraków.

Szliśmy przez Rynek, pusty i ciemny, tylko pięknie oświetlony księżycem. Jacyś pijaczkowie pojawiali się i znikali we mgle, ale ja się pijaczków nie boję.

Weszliśmy na Planty i poeta zaproponował, żebyśmy usiedli i chwilę porozmawiali. Usiedliśmy i on zaraz próbował mnie pocałować. Na szczęście szybko wyplątałam się z tego uścisku, wstałam i po prostu sobie poszłam. Nie musiałam uciekać, on wcale mnie nie gonił. Pozostał na tej ławce, zwiesił głowę i nawet mi się zrobiło go żal, że tak został sam. No, może nie całkiem sam, bo w kieszeni miał butelkę wódki. Tak się dzisiaj chodzi, zawsze wypada mieć ze sobą choćby ćwiartkę.

Rano byłam na poranku poetyckim ku czci Gałczyńskiego, który niedawno zmarł. Mój ukochany poeta. Lubię te poranki, piękni ludzie tam przychodzą i wspaniali aktorzy, pani Mikołajska na przykład albo Adam Hanuszkiewicz, w którym kochała się Manuela, Leszek Herdegen, też piękny, chodzi zawsze w takiej wojskowej kurtce...

Kocham Gałczyńskiego, mogłabym go czytać całymi dniami. Znam wszystkie jego wiersze...

Chodzę teraz po moim pokoju od okna do drzwi, od drzwi do okna i wyobrażam sobie, że to jest pałac, schody, krużganki...

Zacząłem w Nieborowie po pokojach brodzić  
i od Niobe odchodzić, i znów do niej schodzić [...]

Niobe, córo Tantała,  
Niobe, żono Amfiona [...]

I jeszcze o Wicie Stwoszu:

Gdy go matka rodziła  
zimowego wieczora,  
nie wiedziała, że synek  
będzie z drzewem się porał.

Synku, niebo się chmurzy.  
Zasłonię cię od burzy. [...]

Lubię deklamować wiersze, może powinnam była jednak zdawać do szkoły aktorskiej? Ale nie odważyłam się, nie jestem dość ładna i głos mam chyba nie taki jak trzeba...

Ale wiem, że będę pisać. Na pewno. Jeśli tylko potrafię...

Dziś przyszła Lena, jakoś dziwnie weselsza niż zwykle, śmieje się, żartuje i śpiewa góralskie piosenki, zawsze to robi, kiedy jest w dobrym humorze. Ładnie wygląda w białej bluzce z krótkimi rękawami, rozpinanej z przodu, i w nowej kolorowej spódnicy.

Jest bardzo gorąco. Siedzimy na tapczanie. W chłodzie, bo u mnie w mieszkaniu zawsze jest chłodno i ciemno, to jest parter i okna wychodzą na podwórko, słońce nie dochodzi, nawet jak jest upał. To, że świeci słońce, poznaję zawsze po jasnych plamach, które pojawiają się na płytach podwórka. Pamiętam, że kiedy byłam mała i leżałam chora w łóżku, lubiłam liczyć te plamy...

Lena milknie na chwilę, a potem szybko wstaje.

– Słuchaj, nikt jeszcze o tym nie wie... Artur – mówi, a broda nagle zaczyna jej drgać...

Nie widziałam dotąd Leny płaczącej. Wygląda jak mała dziewczynka. Teraz to ja czuję się od niej starsza, dorosła. Twarz jej czerwienieje, kurczy się jak dziecku...

– Artur? – pytam. – Co z Arturem? Stało mu się coś?

– Artur! – Lena głęboko oddycha, potem zagarnia ręką dekolt bluzki, jakby chciała się przed czymś osłonić. – Artur wyjeżdża za granicę, dostał

zaproszenie i już chyba nie wróci...

– Powiedział ci?

Ona milczy i cały czas ściska rękami bluzkę.

– Nie musiał, ja to wiem – mówi w końcu. – Dzwoniłam, ale on już o niczym nie chce rozmawiać. Musi śpiewać, to jego życie, kariera, do niczego więcej nie ma głowy... Wszyscy wiedzieli, że to mój narzeczony – dodaje Lena szeptem – mama, ojciec, wszyscy... Ale on mówi, że to go teraz już nie obchodzi...

Lena wychodzi dość pośpiesznie, ale ja już wiem, teraz ja będę musiała ją pocieszać... no, jakoś sobie poradzę, w pocieszaniu jestem dobra...

A potem muszę pocieszać jeszcze kogoś.

Wieczorem dzwoni u mnie telefon.

– Sylwia.

– Sylwia, to ty?

Sylwia, wysoka dziewczyna, koleżanka z klasy w liceum. Razem zdawałyśmy maturę. Ładna buzia, ciemne kręcone włosy. Bardzo spokojna, cicha. Jedna z lepszych uczennic w klasie. Nudna. Lubiłam ją właśnie dlatego, że była nudna. Mogłam mówić do niej cokolwiek, wygłupiać się, wymyślać historie, ona wszystkiego słuchała z uwagą i w milczeniu i jakoś mnie przez to uspokajała. Dlatego tak trochę się z nią przyjaźniłam. Tylko trochę, bo ona wiecznie chciała się uczyć, a ja wolałam rysować, malować albo włóczyć się bez celu po mieście. Sylwia była inna, nieraz prawie się jej lękałam. Była bezbłędna. Teraz słyszę jej głos w telefonie, niepewny, nieśmiały.

– Dzwonię – mówi – właściwie dlatego, że... że... no bo ty masz telefon, a ja muszę do kogoś zadzwonić. No i ty... mieszkasz sama.

– Stało się coś, Sylwia? – pytam. Ja zawsze myślę, że coś się stało, taka już jestem.

– Słuchaj, czy ja... – Sylwia milknie, zawsze była nieśmiała, ale teraz wydaje się, że jest nieśmiała jeszcze bardziej... – Słuchaj, czy mogę do ciebie przyjść, bo nie chcę tak przez telefon... mogę przyjść... zaraz, jutro. Rano?

\*\*\*

Sylwia staje na progu mojego pokoju. Dawno jej nie widziałam. Wydaje się jeszcze wyższa i jakoś tu nie pasuje. Ładna jest, ciemne loki okalają twarz, wydaje się taka wyniosła, elegancka... w czarnej sukience. Siada na fotelu, wstaje... a ja nie wiem, co powiedzieć...

– Chodź, pojedziemy gdzieś za miasto – proponuje wreszcie z niezwykłą u niej energią. – No chodź – mówi. – Pojedziemy na wycieczkę!

– Ale gdzie? – pytam zaskoczona. Wydaje mi się jakaś inna, jakby działo się z nią coś, czego nie umiem nazwać.

– Chodź, pojedziemy gdzieś! Byle gdzie – nalega.

Szybko zabieram koszyk, chusteczkę na głowę i moje ulubione przeciwsłoneczne okulary.

– Jedziemy tramwajem. – decyduje Sylwia.

– Dokąd? – pytam.

Ale właściwie jest mi wszystko jedno, i tak prawie nie znam okolic Krakowa. Mama nigdy nie chodziła ze mną na długie spacer, najwyżej do Rynku. Tatuś lubił zabierać nas na wycieczki, mnie i mojego kuzyna Romka. Obiecował, że pokaże nam piękne miejsca za miastem. Ale był z nami tylko rok, między obozem w Oświęcimiu a czasem, kiedy zachorował. A potem umarł. Odtąd chodziliśmy z mamą na spacer na cmentarz.

W tramwaju jest dużo ludzi, gorąco. Sylwia ciągle milczy, a potem nagle blednie. Chyba robi jej się słabo. Na szczęście znajdujemy wolne miejsce, sadzam ją na nim. Stoję nad nią i trzymam ją za rękę, widzę, jak bieleją jej usta, nad górną wargą zbierają się krople potu.

– Wsiądźmy tu! – proponuję, ale ona tylko przecząco kręci głową.

– Dojedźmy do końcowego przystanku.

Kilka domów, trawa pastwiska, w dali niekończące się łąki. Szyny tramwajowe tworzą tu pętlę, tramwaj przesuwa się po tej pętli i wolno zawraca do miasta. Idziemy nieśpiesznie polną drogą wzdłuż małej rzeczki. Popatruję z boku na moją towarzyszkę, czy idzie ze mną, czy nie słabnie.

W końcu znajdujemy jakiś sad czy ogród, w głębi biały, pusty, opuszczony domek. Przed nim stos połamanych desek. Wchodzimy do sadu przez naderwaną furtkę w płocie. Siadamy na tych deskach, słońce pali nas

w plecy.

Panuje cisza, gdzieś w oddali gwiżdże pociąg. Delikatnie szeleszczą liście drzew wokół nas. Milczymy, a ja żałuję, że nie zabrałyśmy czegoś do picia, i zastanawiam się, czy można się napić wody z tej rzeczki. Sylwia wyciąga chusteczkę i obciera nią twarz, potem kładzie się na wznak na trawie.

– Pobrudzisz sobie sukienkę – mówię całkiem mechanicznie głosem mojej mamy.

Sylwia tylko przymyka oczy. Zасыpia? Nie powinniśmy tu były przyjeżdżać, myślę z niepokojem, przecież tu nic nie ma, ani ludzi, ani żadnej apteki. Może ona jest chora? I to chce mi powiedzieć?

– Jestem w ciąży – mówi nagle, nie otwierając oczu. Oznajmia to jakby nie mnie, tylko tym drzewom, trawie i domom w oddali.

– Jak to w ciąży? – pytam bezmyślnie, ciągle jeszcze myśląc o tej wodzie. W gardle mam sucho z pragnienia.

– No w ciąży! W ciąży! W ciąży! – Sylwia siada. W ręce cały czas trzyma chusteczkę.

– Jak to w ciąży?! – pytam raz jeszcze, jakbym nie rozumiała tego słowa.

– Rodzice mnie zabijają – Sylwia przykładła chusteczkę do ust. – Nie, nie zabijają, ale ludzie, sąsiedzi... Nikt nie może się dowiedzieć – Sylwia patrzy mi dopiero teraz prosto w twarz dużymi, smutnymi oczami, pełnymi łez. – Nie, tatuś nie może się dowiedzieć, ani mama, ani nikt. Jestem jedynaczką, mają tylko mnie.

Nie wiem, co jej powiedzieć, rozpaczliwie myślę.

– Ale jak to się... – nie wiem, jak zapytać – jak to zrobiłaś? – pytam głupio.

– Zdarzyło się. – Sylwia rozumie, co chciałam powiedzieć.

Ręce jej drżą, szybko wyciąga z torebki paczkę papierosów, zapala jednego i głęboko zaciąga się dymem. Nawet nie wiedziałam, że pali. Taka wzorowa uczennica...

– On jest z Gdańska. Żonaty. Poznałam go tu, w Krakowie, na uczelni. Wiesz, nie wiem, dlaczego to zrobiłam – mówi, wpatrując się w ogień swojego papierosa, jakby tam widziała raz jeszcze tamten dzień... – Po

prostu zamknęłam oczy i stało się. Tylko raz jedyny. Wcale nie myślałam, że coś może... Zresztą i tak bym nie wiedziała, co się robi, żeby się to nie wydarzyło. Skąd miałam wiedzieć? – dodaje bezradna. – A teraz on zerwał ze mną kontakt. Pisałam do niego, ale nie odpisał. Wrócił do Gdańska do żony. Nawet nie mogę zadzwonić.

– Ale jak to? – protestuję. – Jak to?

– Zostaw – mówi Sylwia. – Tak jest i już nie będzie inaczej... Muszę sama coś z tym zrobić...

\*\*\*

Siedziałyśmy długo na tej trawie. Wiem tylko, że od tego momentu poczułam się bardziej dorosła, starsza.

– Przyszłam do ciebie, bo ty jesteś zawsze taka odważna i znasz tylu ludzi. I mieszkasz sama... i w ogóle.

Wiedziałam, że nie mogę jej zawieść. Próbowaliśmy więc razem wymyślić, co robić, dokąd pójść, znaleźć jakiegoś lekarza. Sylwia trochę płakała, potem, jeszcze ze szlochem w głosie, powiedziała, że jest głodna. Mnie tylko było gorąco, sukienka przylepiała mi się do pleców. W pobliżu pętli tramwajowej znalazłyśmy jakiś bar. Jadłyśmy kotlety i popijałyśmy piwem. Pierwszy raz piłam piwo, było zimne i gorzkie...

Potem, już w drodze na przystanek, ona znowu poczuła się źle. Podtrzymałam ją i wycierałam jej spocone czoło. W końcu musiałyśmy biec do tramwaju. Było już prawie ciemno, kiedy wróciłyśmy do domu.

\*\*\*

Jak to się stało, droga Romo, że tego dnia poczułaś się większa, silniejsza, starsza? Sylwia, duża i mądra, była teraz kimś, kim miałaś się opiekować. Dzieckiem, lalką przytulanką? Twoją mamą, którą ty, mała dziewczynka, nieraz opiekowałaś się podczas okupacji? Byłaś silna i spokojna, bo wiedziałaś, co masz robić. Masz ocalić koleżankę, nie pozwolić jej zginąć. Byłaś potrzebna. Znałaś to z dzieciństwa. Znowu wiedziałaś, że umiesz uciekać przed nieszczęściem. Wiedziałaś, kiedy się bronić, kiedy się schować przed wrogiem, a kiedy wystarczy zapłacić. Wiedziałaś,



że trzeba próbować odwrócić los, uczyła cię tego mama. I teraz to, co zawsze nosiłaś w sobie, nagle znowu stało się komuś potrzebne.

Kiedy siedziałaś na tej łące, obok płaczącej bezradnie dziewczyny, przez chwilę poczułaś się silna. A ona, jeszcze przed chwilą może piękniejsza, silniejsza od ciebie, nagle zmaląła. Będiesz jej teraz pomagać, znajdziesz lekarza, pożyczysz pieniądze, będziesz razem z nią, będziesz ją osłaniać, najlepiej jak potrafisz. „Jaka ty jesteś silna”, powie w jakimś momencie, ale ty nawet tego nie zauważysz. Dla ciebie będzie to tylko zadanie do wykonania. Ale kiedy to wszystko się skończy, nie będziesz ani lepsza, ani mądrzejsza i znów nie będziesz sobie radzić z własnym życiem, znowu nie będziesz umiała pomóc sobie samej. I nigdy nie będziesz wiedziała, dlaczego tak jest. Prawda, droga Romo?

\*\*\*

Siedzimy w poczekalni u lekarza. Gabinet przy ulicy Długiej, w zanedbannej kamienicy na parterze. Poczekalnia to jest właściwie przedpokój, wyłożony żółtym linoleum, pod ścianą ustawione rzędem krzesła. Teraz, na szczęście, puste. Kiedy byłam tu wcześniej, żeby umówić Sylwię na zabieg, w poczekalni siedziało kilka osób, było duszno i ciasno. Dosyć zdenerwowana, przedstawiłam swoją sprawę panu w białym kitlu.

– Poniedziałek, siódma trzydzieści – rzucił tylko i zaraz wpuścił do gabinetu następną pacjentkę.

Teraz jesteśmy tu tylko my: Sylwia i ja. Obie drżymy od porannego chłodu, z nerwów i ze strachu. A ja czuję jakiś ucisk w dole brzucha i już sama nie wiem, kto będzie miał zabieg, ona czy ja. Wpatrujemy się w białe drzwi, które nie chcą się otworzyć. Dziewczyna trzyma mnie za rękę, drugą przyciska do piersi torebkę, jakby to był jakiś bezcenny skarb. Ginekolog pojawia się nagle i znowu się śpieszy, nie patrzy na pacjentkę, zaraz każe jej wejść do gabinetu. Widzę jeszcze krzątającą się w środku pielęgniarkę.

– A panienska sobie posiedzi tu, w pokoju obok – rzuca krótko w moją stronę – bo to trochę potrwa.

Sylwia oddaje mi swoją torebkę i szybko żegna się znakiem krzyża.

W pokoiku obok jest kozetka, krzesło i takie samo jak w przedpokoju żółte, zniszczone linoleum. Przez okno widać pustą o tej porze ulicę, jest ciemna i ponura nawet w słoneczny dzień, mało tu sklepów. Tylko wilgotne płyty chodnika błyszczą w słońcu. Naprzeciwko jest plac targowy. Przekupki układają na straganach czerwone pomidory, sałaty, dźwigają skrzynki z truskawkami.

Chodzę od drzwi do okna, od okna do drzwi, dwadzieścia pięć kroków...

A jeśli ona umrze? Dostanie krwotoku, myślę i już widzę krew... Strugi krwi spływające po jej nogach na to linoleum tak długo, aż wypłynie z niej cała... Widzę Sylwię bladą, czymś przykrytą, jak ją stąd zabierają... A jednocześnie coś w mojej głowie każe mi przypominać sobie trzeźwo rzeczy do wykonania: w domu pościel zmieniona, czyste ręczniki, herbata jest, cukier też...

Ustaliłyśmy, że Sylwia ten dzień spędzi u mnie.

– Błagam cię – mówiła – przecież nikt nie może wiedzieć, a w domu zaraz by poznali wszystko.

– A co powiesz, że gdzie byłaś?

– Ach, byle co – machnęła ręką – coś wymyślę.

\*\*\*

– Będzie przez jakiś czas nieprzytomna po narkozie, najlepiej, jak się zaraz położy i za często nie będzie wstawać... – mówi lekarz, otwierając drzwi gabinetu. Obok niego stoi pacjentka, bardzo blada, z rozrzuconymi włosami; odbiera ode mnie torebkę i wyjmuje z niej kopertę z pieniędzmi...

Jedziemy do domu taksówką, dawno już taksówką nie jechałam, nawet nie wiem, ile to kosztuje, ale trochę pieniędzy jeszcze mam.

Dobrze, że wczoraj ugotowałam rosół, myślę w aucie, patrząc, jak Sylwia z przymkniętymi oczami prawie zasypia na siedząco. Będę ją mogła zaraz nakarmić tym rosołem, mama mówiła, że jest dobry na wszystko. W domu kładę ją na moim tapczanie, w czystej pościeli, przykrywam. Podgrzewam rosół, ale ona nie chce jeść, przeważnie śpi albo chodzi do toalety, mówi, że lekko krwawi i boli ją dół brzucha. Wieczorem widać już, że byłoby lepiej, gdyby tej nocy spała u mnie. Nie pójdzie do domu, choć to niedaleko. Postanawiam sama spać w kuchni, żeby ona miała więcej

miejsca i spokoju.

Rozbieram się właśnie, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Ostry, przenikliwy. Czekam, nie otwieram. Ktoś o tej porze? Dzwonek milknie, ale rozlega się pukanie do drzwi.

– Proszę otworzyć, to ja, Matylak!

Matylak! Ojciec Sylwii! Biegnę do pokoju, ona już się podnosi i próbuje wstać.

– Co mu powiedziałaś? – szepczę, pośpiesznie szukając szlafroka.

– Że jesteś chora i mieszkasz sama. Prosiłaś, żeby cię pielęgnować, masz grypę...

Otwieram drzwi, otulając się szlafrokiem. Pan Matylak stoi na progu, siwy, zgarbiony. Niższy od córki i bardzo rozzłoszczony.

– Gdzie ona poszła? Gdzie jest? Powiedz mi prawdę, przecież u ciebie jej nie ma! Tu jej na pewno nie ma – powtarza, podnosząc głos. – Dokąd ona poszła? Masz mi to natychmiast powiedzieć! – już prawie na mnie krzyczy. – To wszystko jakieś wykręty! Dlaczego wy stale kłamiacie?

– Jest tam... – wskazuję ręką na koniec przedpokoju.

Mówię cicho, bo trochę się go boję, i już sama nie wiem, czy ona tam naprawdę jest. Odsuwam się, wpuszczam starszego pana i pokazuję mu drogę do pokoju. Pan Matylak nagle się uspokaja i trochę nieśmiało wchodzi do środka.

– A tobie co jest? – pyta jeszcze, odwracając się do mnie. – Naprawdę jesteś chora?

Otwieram drzwi do pokoju. Sylwia siedzi na tapczanie ubrana w sukienkę i nerwowo poprawia włosy.

– Gdzie ty się podziewasz? – pyta jej ojciec już całkiem łagodnie. – Miałaś być w domu przed dziesiątą, przecież wiesz, że mamusia się niepokoi. Wiesz, jaka ona jest...

Potem siada ciężko, ale nie na krześle, tylko na tapczanie obok córki. Milczymy, a on patrzy na mnie stojącą w progu, owiniętą szlafrokiem..

– No, to kładź się do łóżka – nakazuje mi ojcowskim tonem. – Kładź się, skoro masz grypę. A ty rusz się, Sylwia – dodaje jeszcze – zrób koleżance herbaty, popatrz, jaka jest blada. No, rusz się! Przydaj się na coś...

Sylwia posłusznie wstaje, wolniutko idzie w stronę kuchni, jedną ręką trzymając się za brzuch...

– A z tobą co się dzieje? Brzuch cię boli? – woła za nią ojciec, ale ona już znika w przedpokoju. – Ja bym się nie zjawiał o tej porze – próbuje się tłumaczyć pan Matylak – ale wiesz, moja żona mnie wysłała, ona ma słabe serce i tak się zawsze niepokoi o córunię...

Wraca Sylwia z herbatą w drżących dłoniach. Jej ojciec szybko podnosi się z tapczanu.

– To ja już pójdę, muszę uspokoić mamusię. A ty się tu opiekuj koleżanką – mówi, grożąc córce palcem. – Tylko rano musisz być w domu. I żeby mi się to więcej nie zdarzyło, że nie wracasz na noc do domu – dodaje takim tonem, jakim zawsze mówią rodzice.

Zamykam za nim drzwi, gaszę w kuchni światło, a potem siadam na tapczanie obok Sylwii, tam gdzie przed chwilą siedział jej ojciec. Milczymy.

– Miałam mieć dziecko – słyszę jej obcy, zdziwiony głos, jakby dopiero teraz nagle coś sobie uświadomiła i po raz pierwszy wymawiała głośno to słowo... – Dziecko? – powtarza ze zdziwieniem. – Dziecko.

\*\*\*

Jadę wreszcie na ten wymarzony festiwal. Podobno trzeba mieć delegację z ZMP, ale ja nie należę i nie wiedziałam, jak ją zdobyć, więc trochę się boję. No nic, jakoś to będzie. Pakuję rzeczy do starej mamusinej walizki w kratkę. Walizka jest za duża i zniszczona, ale nie mam żadnej torby podróźnej. Wrzucam do niej tylko dwie sukienki – czerwoną uszytą z materiału na poszewki, czarno-białą z trudem zdobytą na ciuchach – halkę, czarne spodnie, dużo klipsów i „rzymskie” sandałki, które bardzo lubię. Wieczorem wkładam na bluzkę i spódniczkę burnus, choć ma być ciepło, ale nie mogę się z nim rozstać, do tego buty na szpilkach i idę na dworzec z dużą walizką, w której mam bardzo mało rzeczy.

\*\*\*

Wsiadam w Warszawie trochę nieprzytomna z niewyspania. W pociągu był taki tłok, że wylądowałam w końcu na korytarzu przy drzwiach i tak

przesiedziałam na podłodze aż do Warszawy.

Będę mieszkała u Manieli.

Manuela kiedyś, za okupacji, ratowała nam życie. Ona i jej rodzina przechowywali nas z mamą u siebie, w swoim mieszkaniu, aby nie złapali nas Niemcy, i tak udało nam się przeżyć. Dziś przyjaźni się z nami, trochę z mamą, trochę ze mną. Jest aktorką i ostatnio przeniosła się do Warszawy, dostała tu mieszkanie. Jest z tego bardzo dumna, mówi, że ważni aktorzy muszą mieszkać w stolicy. Jeszcze u niej nie byłam. Dawniej, kiedy mieszkała w Poznaniu, jeździłam do niej często, nieraz traktowała mnie jak swoje własne dziecko, mówiła do mnie: „córeczko”.

Trochę się boję tej wizyty. Manuela ostatnio chyba już mnie nie lubi. Lubiła, kiedy byłam małą dziewczynką.

Coraz częściej krytykuje moje stroje, dekolty, kolczyki, sama już nie wiem, co jej się we mnie przestało podobać. Ona myśli, że ja się stale umawiam z mężczyznami i nie wiadomo, co robię. A ona sama miała wielu narzeczonych, często mi różne rzeczy opowiadała... Trudno, będę grzeczna i miła. A może uważa, że ja i mama jesteśmy jej za mało wdzięczne za okupacyjne czasy?



Tak bardzo się cieszę, że przyjechałam. Przecież tu będzie tak wielu ludzi z zagranicy! Może kogoś poznam, może zabierze mnie ze sobą na przykład do Paryża albo do Rzymu...

Idę przez miasto z walizką, do Maneli nie jest zbyt daleko. Na ulicy Nowy Świat i na Krakowskim Przedmieściu domy są pięknie udekorowane flagami i napisami: „MŁODOŚĆ! PRZYJAŹŃ! RADOŚĆ!”. Duże grupy ludzi śpiewają, śmieją się. Mężczyźni ostrzyżeni na Tytusa, w białych lub



kolorowych koszulach, na Rynku Starego Miasta tańczą i grają na gitarach.

Mieszkanie Manueli jest na czwartym piętrze nowej kamienicy w jednej z bocznych ulic. Wdrapuję się po stromych betonowych schodach, jeszcze pochlapanych murarską zaprawą.

Manuela pewnie się zdziwi, kiedy mnie zobaczy z tą wielką walizką, pomyśli, że chcę u niej zamieszkać na dłużej... Zamiast czekającej w progu Manueli znajduję tylko kartkę przylepioną na drzwiach:

„Poziomko, muszę pilnie pojechać do Poznania. Klucze są u sąsiadki po prawej. Rozgość się i czuj dobrze. Tylko nie zgub kluczy (jak to Ty potrafisz) i nie zapraszaj żadnych facetów. Baw się dobrze na festiwalu (ale nie za dobrze). Zadzwoń! Pa. M.”.

Sąsiadka po prawej ma wąską twarz, lokówki we włosach, patrzy na mnie podejrzliwie.

– Tylko żeby panienska głośno radia nie puszczała, chorego męża mam...

Nie wiem, dlaczego wszyscy zawsze myślą, że zrobię coś złego, dziwię się, otwierając drzwi. Wszystko tu nowe, jeszcze pachnące farbą. Mały pokój, jakby salonik, nowe meble z Cepelii. Trochę większa sypialnia. Rozpoznaję w niej toaletkę Manueli z owalnym dużym lustrem, obitą różowym aksamitem – miała ją jeszcze w czasie okupacji, kiedy u niej mieszkałam. Na toaletce, jak zawsze, pudry, szminki, perfumy. W mieszkaniu jest jeszcze mała kuchenka i łazienka, ciemna, bez okna. Tak jak u mnie w Krakowie, ale z piękną nową wanną. Sprawdzam: jest ciepła woda, dużo, ile chcę, nie tak jak u nas w domu, stary gazowy piecyk, który wiecznie się psuje, a często też wyłączają gaz.

Stoję szczęśliwa w tej łazience. Rozbieram się, miałam zamiar tylko się przebrać i lecieć do miasta, ale teraz na widok wanny zmieniam plany. Po chwili zanurzam się w ciepłej, pachnącej wodzie z pianą, jak jakaś gwiazda filmowa.





\*\*\*

Widzę cię, droga Romo, w tej kąpielni. Zachwyciłaś się tą łazienką od pierwszej chwili, była jedną z rzeczy, które najlepiej zapamiętałaś z całego festiwalowego zamętu. Leżąc w wannie, snułaś szalone plany zdobywania świata. Potem wyskakiwałaś z wanny, potrząsałaś świeżo umyтыми włosami, nawet ich nie suszyłaś, wybiegałaś z domu, a twoje włosy suszyły słońce i wiatr.

Pamiętam, to był czas, kiedy kąpiel była jedynym twoim kosmetykiem. Żadne kremy nie były potrzebne twojej gładkiej skórze. Dziś złościsz mnie tą swoją dawną bez troską! No dobrze, powiem to: ciągle jeszcze ci zazdrozczę. Ale poczekaj, jeszcze nie biegnij... usiądź przed różową toaletką Manueli, nie zapomnij namalować sobie wzdłuż linii rzęs grubej czarnej kreski, bez niej

przecież nie wyjdiesz z domu, ona zresztą pięknie podkreśla blask twoich oczu, ich ciemny brąz, trochę w nim czekolady, a trochę smutku... Usta pociągnij modną jasną perłową szminką, tak trudno ją było znaleźć w krakowskich sklepach... a może wypróbujesz którąś ze szminek Manueli? Nieważne, dobrze wiesz, że to wszystko nie jest ci potrzebne...

A teraz biegnij, zanurz się w ulice pełne ludzi, wmawiaj sobie, że za następnym rogiem czeka świat jeszcze bardziej kolorowy, czekają przeżycia jeszcze mocniejsze.

Tak naprawdę boisz się tego zgiełku, tak naprawdę brakuje ci kogoś, kto wzięłby cię za rękę, powiedział ci, dokąd masz iść. Nigdy kogoś takiego nie było.

Kiedy dziś o tobie myślę, wiem, że wychowałaś się bez kolorów. Świat wojny, getta, okupacji rzeczywiście pozbawiony był barw, może nie był czarno-biały, ale na pewno był szary. Szara była też rzeczywistość powojenna, szare były i znoszone ubrania mężczyzn, szare jak włosy twojego ojca, który osiwił w więzieniu, mając trzydzieści dziewięć lat. Szara była ulica, szarością zimowych płaszczy i swetrów. Szare były twarze ludzi, szczególnie kobiet, stojących w kolejce po wszystko – cukier, masło, buty.

Nienawidziłaś tej szarości. Jeszcze w szkole wymyśliłaś sobie fartuszek nie granatowy jak inne, tylko liliwośliwkowy. I tak stałaś się jaśniejszą plamą w mroku szkolnego pokoju. Potem nosiłaś pod fartuszkiem kolorową sukienkę z ciuchów, a na koncerty do filharmonii – jaskrawożółtą bluzkę do czarnej spódniczki. Nie byłaś w tym osamotniona. Kiedyś, w jakimś momencie, artyści zaczęli nosić kolorowe szaliki i skarpetki, co stało się wydarzeniem towarzyskim, szeroko komentowanym w prasie.

Wcale się nie dziwię, że uciekałaś od tej szarości w tamtej sierpniowej rozgrzanej Warszawie. Wybiegałaś na ulicę w nadziei, że zobaczysz, spotkasz coś, co cię zachwyci jak nigdy jeszcze. Bo młodość to jest poszukiwanie zachwyty, zgodzisz się ze mną, Romo?

Muszę ci się przyznać, choć dzieli mnie od ciebie rzeka czasu – nadal wierzę, każdego dnia, kiedy wychodzę z domu, że spotka mnie jakieś nigdy niepoznane, nawet niewyobrażone szczęście... I tu, widzisz, droga moja Młodsza, ciągle jesteśmy do siebie podobne. Ciągle biegniemy, a tym, co nas pcha, jest tylko ta nasza niezasypiająca nigdy, niedająca się okiełznać wyobraźnia...

Wiesz, myślę czasem, że może nasze życie jest takim nigdy niekończącym się festiwalem, pełnym nowych ludzi, ciekawych twarzy, którymi zachwycamy się na krótko, by zaraz je zapomnieć, festiwalem pełnym kolorów, dźwięków, w które lubimy się zanurzyć... ale jest też bólem pocieranych stóp w niewygodnych butach, gdy gonimy za czymś, czego nie umiemy nazwać, omdlewaniem od upału, ale też drzeniem od chłodu. Jest tęsknotą do domu, który nigdy nie jest własny, zawsze pożyczony, zawsze tylko na chwilę. Tak jak to twoje obce mieszkanie w Warszawie, gdzie starasz się nie zostawiać żadnych śladów i gdzie całym ratunkiem jest dla ciebie tylko ta wanna pełna ciepłej, pachnącej wody, zapomnienia.

Nie chcę cię już zatrzymywać. Biegnij sobie na ten twój wymarzony festiwal. Czujesz się przecież taka wolna, taka, pierwszy raz, piękna... i nie będę ci teraz przypominać, jak bardzo mnie później rozczarowałaś, ani pytać, co zrobiłaś z tą twoją urodą, siłą, blaskiem z tamtych dni, na jakie drobne i jeszcze drobniejsze grosiki rozmieniłaś w końcu tamten skarb.

I nie mów mi tylko, że nie ty jedna, że tak dzieje się ze wszystkimi. Bo mnie o ciebie tylko chodzi.

Teraz, wieki później, siadam – jak ty wówczas – przed lustrem. Myślę o tobie z tamtych dni, a moja ręka ze szminką zatrzymuje się w połowie drogi do ust... Wpatruję się w swoją twarz, dziś wygląda jak ziemia, którą przewiał wiatr. Na policzkach i wokół oczu cieniutkie kreski, nazywa się je zmarszczkami, ale dla mnie wygląda to tak, jakby jakiś złośliwy stwór w bezmyślnej zabawie wyrył je na niej nożem.

Dla pocieszenia próbuję odnaleźć w twarzy znajome ślady twojej urody, zatrzymać twój czar, który wciąż nade mną trwa.

\*\*\*

Biegnę w stronę Rynku Starego Miasta, ktoś na ulicy mówił, że ma tam być jakiś koncert czy przedstawienie. Spotykam grupę młodych ludzi w białych koszulach z czerwonymi krawatami. Staram się ich ominąć, boję się, żeby się nie wydało, że jestem na festiwalu trochę nielegalnie, nie jestem żadną delegatką, nie należę nawet do ZMP. Ale oni tylko uśmiechają się wesoło, jeden z nich wciska mi do ręki gazetę festiwalową.

– Dziękuję, kolego – mówię i waham się przez sekundę, bo teraz trzeba wiedzieć, jak do kogo się zwracać: do harcerza „druhu”, do partyjnego „towarzyszu”, do innych „obywatelu”, a do ZMP-owców „kolego”. To bardzo ważne i nie można się pomylić.

Przysiadam na jakimś murku, żeby zajrzeć do tej gazetki. Dowiaduję się, że do Warszawy przyjechało trzydzieści trzy tysiące delegatów z zagranicy i jeszcze więcej z kraju. Jakże ja się odnajdę w tym tłumie?

Na razie idę obejrzeć nowo wybudowany Pałac Kultury i Nauki. Wzdłuż ulic od czasu do czasu ustawione są na przyczepach samochodów eleganckie bufety, czegoś w nich nie ma! Kanapki z kiełbasą, parówki, soki. Nawet pomarańcze! Przypominam sobie, że dziś jeszcze nic nie jadłam. Z kanapką w ręce stoję przed Pałacem, w Krakowie na Akademii szeptano, że brzydki. Ale mnie się podoba, biały, bardzo wysoki, na górze ma jakby koronkę. Musiał bardzo dużo kosztować. I został nam podarowany.

Jest gorąco, czuję, że nie wytrzymam długo na tych szpilkach, żałuję, że nie włożyłam moich kochanych rzymskich sandałów – składają się tylko z podeszwy i skórzanych rzemyków, które się tak zabawnie krzyżuje wokół kostek. Ale one może by nie pasowały do mojej eleganckiej czerwonej sukienki, uszytej z błyszczącego poszewkowego płótna...

Na szczęście zauważam nadjeżdżający tramwaj z napisem „Tramwaj festiwalowy – tylko dla delegatów”. Wsiadam, niepewna, czy wpuszczą mnie bez legitymacji, ale nikt nic nie sprawdza. Zaraz nabieram odwagi. Postanawiam, że odtąd będę delegatką bez legitymacji, nikomu o tym nie powiem i już nie będę się martwić.

\*\*\*

Będziesz się martwić, Romo. Przez całe twoje dorosłe życie

będziesz się czuła jak ktoś bez legitymacji i przez całe życie będzie to wywoływało w tobie jakiś nieokreślony ból.

Tylko wtedy jeszcze o tym nie wiedziałaś. Przez całe życie będziesz się czuła jak gość na przyjęciu, na które nie został zaproszony.

No dobrze, dobrze, już milknę. Nie chcę ci psuć tych rzadkich chwil radości i bez troski. Już ci nie przerywam. Przecież teraz to ty chcesz opowiadać. Dokąd to ma cię zawieźć ów festiwalowy tramwaj?

\*\*\*

Tramwaj, mam wrażenie, zatrzymuje się we wszystkich ważnych miejscach festiwalowych. W środku pełno młodzieży. Ubrana kolorowo, ale u mężczyzn przeważają białe koszule i wąskie czarne krawaty. W środku wagonu grupa chłopaków w biało-niebieskich koszulkach i słomkowych kapeluszach. Wyglądają jak gondolierzy. Mamy w domu taką starą pocztówkę, jeszcze sprzed wojny, nie wiadomo, gdzie się przechowała. Widać na niej kanał z niebieską wodą, czarne gondole i gondolierów... A na odwrocie pięknym kaligraficznym pismem mojego ojca tekst:

*„Ukochanej Mamusi pozdrowienia ze szczęśliwej Wenecji przesyłają i mocno całują Tosia i Dud. Lipiec 1935”.*

Tosia i Dud to moi rodzice. Babci już nie ma, ani ojca. Mam tylko mamę, ale ona jest w Wiedniu i nie wiadomo, czy wróci...

Chłopcy w kapeluszach coś do mnie mówią, śmieją się, zapraszają. Rozumiem tylko *bella rossa*, czy jakoś podobnie. Przed wyjazdem kupiłam sobie nawet książeczkę *Rozmówki włoskie*. Wiedziałam, że tu będzie dużo Włochów. Uwielbiam włoskie filmy i włoskich aktorów... Uczyłam się trochę, ale już wszystko zapomniałam, a książeczka gdzieś mi się zapodziała... Zapamiętałam tylko jedno zdanie: *Andiamo a fare una passeggiata?* – „Czy pójdziemy na spacer?”. Trochę to teraz nie pasuje, więc pytam tylko: – Wenecja? Wenecja? – *Si* – odpowiadają zachwyceni. – *Siamo di Venezia. Certo*. Otaczają mnie kręgiem i już należę do ich towarzystwa. Razem wysiadamy, razem idziemy w stronę parku Agrykola,

gdzie jak przeczytałam, będzie taniec, pantomima i występ zespołu z wyspy Bali. Jeden z Włochów, niewysoki, o kręconych włosach, mówi do mnie, mówi i mówi, a ja nic nie rozumiem. – *Andiamo a fare una passeggiata?* – rzucam w końcu niepewnie. – *Certo* – odpowiada Włoch zachwycony – *con piacere, sono Mario*.

Tancerki z wyspy Bali mają krótkie spódniczki z kolorowych wstążek, żywe kwiaty we włosach, na rękach całe kaskady kolorowych, brzęczących bransoletek. Podzwaniają nimi w rytmie muzyki i w zawrotnym tempie poruszają biodrami. Czy można się tego nauczyć? Muszę spróbować przed lustrem... albo przynajmniej muszę zdobyć gdzieś takie bransoletki...

Tego dnia i następnego jest jeszcze mnóstwo do zwiedzania i oglądania. Płynę z jednej imprezy na drugą prawie automatycznie, popychana przez tłum, prawie bezwolna. Nie muszę już o niczym decydować ani niczego wybierać. Jest przejażdżka statkiem po Wiśle, są pokazy cyrkowe, zwiedzanie wystaw będzie jutro, będzie też Teatr Brechta z Berlina. Kto to jest Brecht? Będzie jeszcze jakiś inny ważny teatr, zapomniałam jaki.

I wszędzie towarzyszy mi Włoch – Mario. Chodzi za mną krok w krok i mówi, mówi...

Wieczorem znów koncert gitar na Rynku Starego Miasta, tu się czuję najlepiej, bo przypomina mi się Kraków. Wokół nas ludzie, ładni, uśmiechnięci, twarze wydają się znajome, choć nigdy ich jeszcze nie widziałam. Ludzie siedzą na murkach, stopniach chodnika, wszędzie. W Krakowie tak nie wolno... Zapada noc, niebo robi się różowo-granatowe, świeci księżyc.

Przypominam sobie Janusza i to, że mieliśmy się tu gdzieś spotkać... jakoś o tym nie pomyślałam. Aż się dziwię sama sobie, że tak mogłam zapomnieć. A on biedny pewnie gdzieś tam mnie szuka... Ale pomyślę o tym jutro... Tymczasem Włoch próbuje mnie objąć, pocałować, odsuwam go delikatnie, trochę mi go żal. Jest mały, kudłaty, jego koszula na plecach jest mokra od potu.

– Idę do domu – próbuję mu wytłumaczyć. – Do domu!

A kiedy nie rozumie, znajduję kawałek cegły i rysuję na murku łóżko i poduszkę...

– Niech koleżanka nie rysuje na murze, przecież to dzieło naszych

przodowników – zwraca się do mnie jakiś ZMP-owiec w okularach.

Włoch na widok łóżka ożywia się znacznie.

– *Andiamo!* – wykrzykuje – *andiamo a casa!*

Chcę się z nim tutaj pożegnać, ale chłopak nie daje sobie tego wytłumaczyć. Idziemy więc razem, on znowu próbuje mnie objąć i cały czas coś mówi. Zatrzymujemy się pod moim domem. Mario patrzy na mnie czarnymi oczami... w jakimś momencie orientuje się, że nie pójdziemy razem na górę.

– Poczekaj do jutra – tłumaczę mu, ale to chyba za trudne. Wdrapuję się sama po stromych schodach. „Ani mi się waź go tu do mnie przyprowadzać”, mówi do mnie w myślach Manuela. „Może to porządny chłopak, nie żaden artysta?”, mówi do mnie moja mama. „Może by się z tobą ożenił i zabrał cię do Wenecji? Zastanów się jeszcze...”

W mieszkaniu zdejmuję buty, potem chcę tylko na chwilę położyć się na łóżku, ale zaraz zasypiam. Kiedy wstaję, jest już jasno, otwieram szeroko okno, wychylam się, żeby poczuć na włosach słońce, i widzę Maria w pomiętej białej koszuli drzemiącego na ławce przed domem. Zastanawiam się, co z nim zrobić. A kiedy już jestem gotowa do wyjścia, w białej bluzce, czarno-białej spódniczce mocno ściśniętej w talii czerwonym paskiem i tym razem już w sandałkach, postanawiam spróbować uciec przez podwórko, a stamtąd na sąsiednią ulicę. Nie umiem wytłumaczyć Włochowi, że już mi się znudził, że nigdy za niego nie wyjdę, nawet gdyby mi to zaproponował. Zresztą on by pewnie chciał mieć dużo dzieci. A ja nie znoszę dzieci. Ja jestem inna, chcę być artystką, egzystencjalistką. „Dusza to jest stosunek człowieka do samego siebie”, powiedział Sartre, a ja jeszcze nie odnalazłam swojej duszy... I chcę mieć wielu kochanków, może nawet stu. Ale to nie teraz, kiedyś, później. Kiedy już będę mieszkała w Paryżu.

Przez kolejne dni co rano przemykam się przez podwórko i co rano widzę Maria na ławeczce na ulicy. Potem będzie znikał, aby wrócić następnego dnia. „Nie żal ci go, ty sadystko? – będzie mnie w myślach napominać mama. – Tobie on się nie może spodobać, bo to porządny chłopak, pewnie za porządny dla ciebie. Zobacysz, trafisz w końcu na jakiegoś łotra i będzie nieszczęście. Zobacysz”.



\*\*\*

Teatr nazywa się Vieux-Colombier, widziałam na plakacie przepięknych pierrotów, arlekinów i tancerki, muszę to zobaczyć, bo przecież jest z Paryża.

Przy wejściu tłum. Nie mam biletu. Postanawiam jakoś wejść, choćby na siłę, może udawać cudzoziemkę? Ubrana jestem odpowiednio, wąskie czarne spodnie i ufarbowana czarna koszulka, a na szyi jedwabna gawroszka, którą podarowała mi spotkana na ulicy obca dziewczyna, cudzoziemka. Stałyśmy razem w kolejce po kanapki. Powiedziałam, że ładną ma chustkę, a ona po prostu zdjęła ją z szyi. Nawet nie wiem, z jakiego była kraju, ale jakoś mnie zrozumiała.

Postanawiam przejść przez kontrolę, ładnie się uśmiechać, niczego się nie bać, jakbym była cudzoziemką. Przechodzę, a właściwie daję się ponieść tłumowi, który napiera z tyłu. – Poziomko! – słyszę nagle okrzyk za sobą, zatrzymuję się, czyżby ten z kontroli znał też moje imię? I nagle widzę Marka, który już jest wewnątrz i macha do mnie obiema rękami. Robię jeszcze krok. Marek obejmuje mnie ramieniem i już jesteśmy w środku, nikt nas nie zatrzymuje. Marek dziwnie wygląda w welwetowych spodniach i białej płóciennej marynarce, jakoś porządniej, jest uczesany, ogolony, inaczej niż w Kazimierzu, kiedy próbował malować mój portret.

– Gdzie się podziewałaś? – pyta, a głos ma jak zawsze trochę zrzędlawy, trochę obrażony, choć przecież wiem, że mnie lubi. – Gdzie się podziewałaś? Janusz cię szukał...

Właśnie! Janusz! Dziś rano zajrzałam do kawiarni Związku Literatów, właściwie to nie było rano, tylko południe, bo tutaj jakoś długo śpię, może dlatego, że tak dużo dzieje się wieczorem i w nocy. W kawiarni czekała na mnie kartka: „Poziomko! Jestem. Bądź wieczorem tu, w kawiarni, albo przynajmniej jutro w południe, ale bądź! J.”. Schowałam kartkę do kieszeni, ucieszyłam się nawet, ale potem przypomniałam sobie, że wieczorem jest ten teatr.

– Dobrze się patrz – szepcze do mnie Marek, kiedy wchodzimy na salę – bo dziś tu są wszyscy. – Stajemy z boku, aby się rozejrzeć. – Jak wchodzisz bez biletu – instruuje mnie Marek – musisz najpierw upatrzeć sobie wolne miejsce i potem usiąść na nim w ostatniej chwili...

O, popatrz, tam stoi Hłasko...

Odwracam się posłusznie, rzeczywiście, pod ścianą, oparty o nią, jakby miała upaść, stoi wysoki blondyn w zapiętej pod szyję koszuli i – mimo upału – w skórzanej szoferskiej kurtce. Ma niezadowoloną minę i skrzywione usta, jakby się czymś martwił. Więc to jest Hłasko! Wiem, że to pisarz. Jeszcze nie przeczytałam niczego, co napisał, ale wiem, że jest sławny. Zanim zdążyłam dobrze się rozejrzeć, zbliża się do nas wysoki człowiek w zielonej, chyba wojskowej marynarce, podnoszę na niego wzrok i po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że mężczyzna może być piękny, po prostu piękny...

– Adam Pawlikowski – mówi, wytwornie skłaniając głowę i unosząc moją dłoń do pocałunku... ma zniewalający, miły, aksamitny głos, jak aktorzy w Teatrze Rapsodycznym...

– Duduś, to jest Poziomka – przedstawia mnie Marek, jakby z dumą...

– Poziomka – mężczyzna ogląda mnie uważnie od stóp do głów, jego wzrok przez chwilę zatrzymuje się na moim dekolcie.

– *Amore è un desio che dagli occhi scende* – mówi coś po włosku, a ja rozumiem tylko *amore*, bo już to słyszałam, po czym oddala się krokiem zamaszystym i godnym, jakby zamierzał odtńczyć poloneza.

Klauni, arlekiны, kolombiny, po prostu zapiera mi dech w piersiach z zachwytu. Czegoś takiego jeszcze w teatrze nie widziałam. W Krakowie też są teatry, chodziłam do nich od dziecka, ale to było zupełnie co innego. Było poważnie, *Cyd* albo *Dzień jego powrotu*, albo wiersze w Teatrze Rapsodycznym. Świece, muzyka Chopina i aktor, który mówił: „Patrz, jak nad jej wody trupie / Wzbił się jakiś płaz w skorupie...”.

Zanurzam się w zabawie, nie wiem już, na co patrzeć. Kolorowi aktorzy skaczą, tańczą, robią salta, mają maski na twarzach, grają na różnych instrumentach, wirują w powietrzu. Ubrani na biało, ubrani barwnie. Nic nie rozumiem i wiem, że rozumiem wszystko: chodzi o miłość – *amore* – tak piękną, że chce się płakać.

*Amore*, powtarzam sobie w zachwycie. Może jednak powinnam zostać aktorką albo tancerką? Zawsze chciałam tańczyć, ale nawet nie potrafię zgrabnie się ruszać. A może mogłabym coś takiego namalować?

Długie oklaski. Pełna tych pięknych obrazów, dźwięków, kolorów, zachwycona, niechętnie unoszę się z krzesła. Koniec? Ale brawa jeszcze się nie kończą. Artyści kolejny raz wybiegają na scenę, kolejny raz się kłaniają. Kolombina w krótkiej białej spódniczce podchodzi aż na skraj sceny, przed samą publiczność, zdejmuje z twarzy czarną maseczkę, kłania się głęboko, ukazując dekolt, przez chwilę się chwieje, jakby miała spaść prosto na kolana siedzących, ale tylko tak udaje... Wraca Pierrot, też ubrany na biało, w pajacyku z wielkim jak młyńskie koło koronkowym kołnierzem, klęka przed nią i wręcza jej ostatnią tego dnia czerwoną papierową różę...

Raz jeszcze aktorzy wracają, cały ten kolorowy tłum, posyłają nam ze sceny całusy, i już gaszą światła, wstajemy wszyscy, idziemy do wyjścia.

Miga mi wśród publiczności wiele znajomych postaci, znam je z gazet, z kina... jeszcze jedna znajoma twarz, ciemne okulary – Zbyszek Cybulski. „Cześć”, woła i uśmiecha się, błyskając białymi zębami. Zbyszka znam od dawna. Byłam z mamą na jego pierwszym występie, w szkole aktorskiej w Krakowie. Mama miała kiedyś wielu znajomych wśród aktorów, bo przyjaźniła się z Manułą, która jest aktorką. Przychodzili do nas do domu, bawili się ze mną, kiedy byłam mała. Wszystko to się urwało, gdy Manuela wyjechała z Krakowa. A teraz wyjechała też moja mama.

Wtedy, na szkolnym pokazie, Zbyszek grał kucharza, był bardzo śmieszny w białej wysokiej czapce. Mama zaraz powiedziała, że to niezwykle zdolny chłopak, a ona na teatrze się zna. Teraz Zbyszek pewnie mnie nie poznał, ale on i tak każdemu mówi „cześć” i uśmiecha się do wszystkich dziewcząt.

Przy wyjściu Marek wyławia mnie z tłumy ludzi i otacza ramieniem.

– Idziemy – mówi.

– Dokąd?!

– Do Janusza oczywiście – odpowiada tym swoim zawsze trochę obrażonym głosem. – Przecież szuka cię od dwóch dni, zobaczysz, jak fajnie mieszka, wszyscy w końcu idą do Janusza...

Piękna kamienica na Rynku Starego Miasta. Wspinam się za Markiem po stromych schodach. Wyobrażam sobie Janusza samotnego i smutnego, tak o nim zapomniałam... Powiem mu, że źle się czułam, zmyślę coś, jakby to był mój nauczyciel ze szkoły. A potem może się uda spławić tego Marka,

żebyśmy mogli sami porozmawiać...

Na trzecim piętrze drzwi są otwarte. W przedpokoju kilka osób. W progu stoi piękny Duduś Pawlikowski, którego poznałam w teatrze.

– Witaj, Poziomko – mówi, jakbyśmy znali się od dawna. Potem podaje mi kieliszek. – Bez żartów, sama wódka – dodaje szeptem, udając, że zdradza jakąś tajemnicę.

Staję obok niego z kieliszkiem w ręku, niepewna i trochę bezradna, nie cierpię wódki.

Duży pokój jest pełen ludzi. Siedzą na fotelach, na kanapie, na podłodze... W głębi dwa wysokie okna, piękny widok na Rynek, kolumnę Zygmunta... Dopiero po chwili wśród całego tego zamętu i dymu odnajduję wzrokiem Janusza. Siedzi na kanapie otoczony wiankiem kobiet. W ręce trzyma butelkę wódki, którą rozlewa do podstawianych mu kieliszków. Zatrzymuję się na środku pokoju i nie wiem, co ze sobą zrobić, przez chwilę chciałabym być niewidoczna. Ale Janusz już mnie dostrzega.

– Poziomko! Jesteś wreszcie! – wyciąga do mnie ręce, potem umieszcza mnie obok siebie na kanapie. – Gdzie się podziewałaś? Szukałem cię. Zobaczymy się później? – dodaje szeptem, po czym wraca do przerwanej na chwilę rozmowy.

Milczę i tylko patrzę na niego, chyba już przez ten czas zapomniałam, jak wygląda, patrzę na te wszystkie piękne kobiety, takie eleganckie i takie dorosłe. Rozmawiają, żartują. Rozumiem wprawdzie poszczególne słowa, ale nie potrafię pojąć, o czym mówią ani z czego się śmieją. W ręce ciągle jeszcze trzymam kieliszek wódki, teraz wychylam go pośpiesznie, a Janusz szybko i trochę automatycznie napełnia go ponownie.

W progu pojawia się znajoma postać. Hłasko. Tak jak przedtem w teatrze, opiera się o ścianę i przygląda wszystkiemu spod przymkniętych powiek. Na jego widok jakiś niewielki mężczyzna w czarnej marynarce zrywa się z fotela, przepycha przez innych i pada na kolana, jakby się do niego modlił... Wstaję z kanapy, a na moje miejsce wciska się natychmiast dziewczyna z blond grzywą, w sukience z dużym dekoltem. Na trochę niepewnych nogach podchodzę do okna. Patrzę na Rynek, spacerujących ludzi. Król Zygmunt zdaje się spoglądać mi w oczy. Niebo jest prawie granatowe, a na niebie księżyc.

Po chwili czuję, że przez pokój za moimi plecami przechodzi lekki szmerek.

„Majka! Majka! Majka!”, słyszę.

Dziewczyna, która właśnie weszła, ma długie, błyszczące ciemne włosy, niespięte, niezakręcone, otaczają jej twarz, ramiona, po prostu włosy jak wodospad. Nosi prostą czarną sukienkę, tak cienką, że widać jej piersi. Piękna twarz, migdałowe oczy. Jest bosa... kroczy po pokoju spokojnie, jak królowa po swoim pałacu, wszyscy odsuwają się, aby zrobić jej miejsce. A ona, trochę nieobecna, z nikim specjalnie się nie wita.

– Jestem zmęczona – rzuca w przestrzeń, ktoś usłużnie podaje jej krzesło, ktoś inny podsuwa szklanę...

– Fajnie tu, nie? – Marek podchodzi do mnie z papierosem w dłoni. – Takie mieszkanie! Ja mam tylko małą kawalerkę, ale jakbyś chciała przenocować w Warszawie, to... – robi szeroki gest ręką, a potem zauważa mój wzrok podążający za dziewczyną z długimi włosami. – To Majka, wiesz, żona tego dyrektora teatru... jej mama sprzedaje ciuchy na tandecie. Ładna, co? Też jedna z wielbicielek Janusza...

Przy sąsiednim oknie przystanąła jakaś para. Niewysoka kobieta o ciemnych kręconych włosach lekko przyprószonych siwizną, on szczupły, z długimi włosami, to chyba ten malarz, który też był wtedy w Kazimierzu, Jacek. Obejmują się i coś sobie serdecznie szepczą.

– To żona Janusza – objaśnia Marek tonem przewodnika oprowadzającego mnie po wystawie. – Jest nauczycielką, utrzymuje ten cały... dom. Zobaczysz, o szóstej rano wstanie, otrząśnie się i pójdzie do pracy. Gdyby nie ona... bez niej Janusz... Przynieść ci wódki? – pyta w końcu i nie czekając na odpowiedź, przeciska się w stronę kredensu, gdzie stoją butelki.

Zostaję sama. Zastanawiam się, co robić dalej. Nikogo tu nie znam, boli mnie głowa... Nie chcę patrzeć na Janusza na kanapie. Opuszczam moje bezpieczne miejsce przy oknie, zagłębiam się w tłumie ciał jak w lesie, potykam się o konary ludzkich rąk i nóg. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Piją, palą papierosy, dyskutują. Mijam Adama Pawlikowskiego, który gra na jakiejś małej czarnej fujarce.

– To okaryna – mówi, odejmując ją od ust, kiedy staje koło mnie. –

Beethoven to grafoman – uśmiecha się i gra dalej.

Jakaś ciasno objęta para tańczy do tej muzyki. Ten niski w czarnej marynarce nadal klęczy przed Markiem Hłaską, który siedzi teraz w fotelu i wygląda, jakby spał. Janusz na kanapie ciągle jest pogrążony w rozmowie z kobietami, zdaje się, że deklamuje im swoje wiersze. W każdym kącie jacyś ludzie obejmują się, całują... staram się odwracać od nich oczy.

Z pokoju prowadzi dwoje drzwi, jedno do małej kuchenki, gdzie jakiś mężczyzna otwiera puszkę z konserwami, a szczupła dziewczyna z włosami obciętymi krótko, na Tytusa, i z wielkimi kolczykami w uszach kroci na talerzu ogórki, posługując się nożem z taką precyzją, jakby to było chirurgiczne narzędzie. Drugie drzwi prowadzą do pokoju, jest ciemny, pali się tylko mała lampka. Postanawiam tam zajrzeć, ale w tej chwili pojawia się na progu drobna postać w pasiastej pizamie.

– Poziomko, to ty?

– Wojtuś?

Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Chodź – mówi szeptem, bierze mnie za rękę i wciąga do środka. Potem zamyka drzwi. – Chodź, pobądź trochę ze mną.

Ten drugi, mniejszy pokój to sypialnia z tapczanem i małym łóżkiem pod ścianą. Przez okno zagląda księżyc. Wojtuś gramoli się na tapczan, cały czas nie wypuszczając mojej ręki.

– Usiądź przy mnie.

– Powinieneś już spać – mówię. – Śpij.

– Przecież nie mogę spać – tłumaczy spokojnie i rzeczowo – kiedy oni tak krzyczą. Nie da się spać w takich warunkach – dodaje, jakby to była rzecz codzienna i oczywista.

Tymczasem hałas w drugim pokoju jeszcze się zwiększył, słychać głośny śmiech, ktoś włączył radio, Yves Montand śpiewa francuskie piosenki.

– Zawsze tak u was jest? – pytam z troską i z nadzieją, że zaprzeczy.

– Zawsze – odpowiada chłopczyk zmęczonym głosem.

Nie wiem, co mu doradzić.

– Zamknij oczy i próbuj spać – mówię tylko.

Moja mama mówiła tak zawsze w getcie, kiedy wokół nas też było pełno

ludzi: „Zamknij oczy, odwróć się do ściany i śpij”.

Wojtek posłusznie zamyka oczy, ale ciągle mocno trzyma mnie za rękę.

– Poziomko – szepcze po chwili – Poziomko, odprowadzisz mnie jutro do szkoły?

– Nie wiem, śpij teraz – mówię, głaszcząc go po głowie. – Trzeba by zapytać twoją mamę.

– Ale ona nawet nie zauważy, idzie wcześniej do pracy – mówi malec obojętnie. – A ojciec nie wstaje rano.

– To kto ci robi śniadanie? – zastanawiam się.

– Sam sobie zrobię. Jak będę chciał. Albo nie.

Patrząc na niego, na małą buzię z zamkniętymi oczami. W smudze światła lampki widzę jego długie ciemne rzęsy. Głaszczę go po włosach jak kota i nagle ogarnia mnie zmęczenie, boli mnie głowa, bolą plecy, nogi, czuję się nagle stara i taka tutaj obca...

– Chyba nie będę cię mogła jutro odprowadzić do szkoły, Wojtusi...

– Szkoda – mówi bez żalu i chyba naprawdę zasypia.

Kładę się obok niego, przykrywam nas oboje kocem w kratkę, tym samym, który był w Kazimierzu, przytulam się do szczupłych pleców obok mnie, przemykam oczy...

Budzę się nagle w świetle dnia, a może dopiero świtu, i zaraz myślę, że powinnam wrócić tam, gdzie mieszkam, albo może od razu wrócić do Krakowa?

Wychodzę na palcach, żeby nie obudzić chłopca, spod koca widać tylko rozrzucone ciemne loki. W dużym pokoju część gości już sobie poszła, pozostałe towarzystwo śpi pokotem gdzie popadnie, między nimi gospodarze. Wśród tego bałaganu krząta się tylko jedna wysoka postać: Duduś Pawlikowski. W pierwszej chwili wydaje się, że sprząta, ale on tylko spokojnie i systematycznie przegląda puste butelki w poszukiwaniu resztek wódki, każdą znalezioną kroplę przelewa zgrabnie do swojego kieliszka. Usiłuję przemknąć niepostrzeżenie do drzwi, ale on już podnosi na mnie wzrok.

– Idziesz? – pyta. – Szkoda. Znasz ten wierszyk? *Amore è un desio* – deklamuje cichym, melodyjnym głosem, podchodząc całkiem blisko... – *che*



*dagli occhi scende al cuore, e dal cuore per sollazo scende giusto...* no, dalej to jest nieprzyzwoite – przerywa sobie, robiąc do mnie oko. – Innym razem ci przetłumaczę...

A ja tylko macham mu na pożegnanie ręką i już jestem za drzwiami, na schodach... Na ostatnim półpiętrze wpada na mnie Marek.

– Poziomko! Poczekaj, odprowadzę cię do domu! Gdzie się podziewałaś? – pyta z pretensją. – Wyszedłem tylko trochę na powietrze i wracam po ciebie... – obejmuje mnie ramieniem, jakbyśmy tu byli umówieni, jakby było naszym zwyczajem wychodzenie razem...

Nie chcę, by odprowadzał mnie do domu, wolałabym iść sama. Nie wiem, jak mu to powiedzieć, żeby się nie obraził... Nagle zaczynam rozumieć, że Marek także należy do świata dorosłych, jest starszy i taki poważny... dorośli? Nie chcę ich słuchać – oni zawsze mówią mi, co i jak mam robić – i obrażają się, kiedy ich nie słucham. Marek też – nie chcę, żeby się obraził, więc idę, daję mu się odprowadzić... Idziemy przez pusty zupełnie Rynek. Jest chłodno i chyba wcześniej, niż sądziłam. W zaułkach między murami czai się jeszcze mrok. Zatrzymujemy się w pobliżu studni, przy jakiejś ławeczce.

– Usiądziemy?

Wcale nie chce mi się siadać, wcale nie chcę tu z nim zostawać, ale Marek prawie przemocą popycha mnie na kamienne siedzenie.

– Poczekaj – mówi – poczekaj. – Jest jakiś zdenerwowany. Na policzkach ma czerwone plamy. – Muszę ci coś powiedzieć, tylko chwileczkę, posłuchaj... – Potem wcale nie zaczyna mówić, tylko milczy z twarzą w dłoniach. – Muszę się czegoś napić – wstaje i pochyła się nad studnią, pije, oblewa sobie twarz wodą... w końcu znajduje stojący na ziemi blaszany kubek. Nalewa do niego wody. – Chodź, wypijemy bruderszaft – szepcze i zbliża się do mnie z kubkiem z dłoniach.

Chce mnie pocałować, opieram dłonie o jego piersi, żeby go odsunąć. Nie lubię ust Marka, jego grubych warg, skóry na twarzy z sinymi śladami zarostu i czarnych włosów na wierzchu dłoni, nie lubię jego twarzy, choć ma piękne oczy, smutne, czarne, pod krzaczastymi brwiami, podobne do oczu Wojtusia, dziecinne.

– Pojadę do twojego ojca do Krakowa...

– Nie mam ojca – przerywam mu mechanicznie.

– To do matki. Ja jestem porządny facet. Ja się nie nadaję do romansów, do tych wszystkich takich... Poziomko... Chcę się ożenić, mieć dom, dzieci, rodzinę. I ty mi to dasz...

Potem znów próbuje mnie pocałować, a kiedy się odsuwam, łagodnie głaszcząc mnie po włosach.

– Kocham cię – mówi, jakby sam tym zdziwiony. – Kocham cię od pierwszej chwili, tam, w Kazimierzu... Posłuchaj... po prostu ci to powiem... ja się nie nadaję do romansów... ja już wszystko przeżyłem. Byliśmy w getcie... łapani, rozstrzeliwania, stosy trupów... Myśmy mieszkali w takim małym miasteczku pod Jarosławiem. Znasz Jarosław? Nieważne, tam było dużo Żydów. Zapędzili wszystkich do getta... Nam udało się uciec. Ojciec znał tamte lasy... zrobił taką ziemiankę. Mieliśmy dobrych sąsiadów, przynosili jedzenie. Siedzieliśmy w tej ziemiance, ojciec, mama, babcia... Babcia zmarła zaraz na początku i nie od razu można ją było pochować, dopiero parę dni później... w lesie, w nocy... I moja siostra Halusia była z nami... miała szesnaście lat. Siedzieliśmy w tej ziemiance przykrytej gałęziami, wychodziliśmy tylko w nocy...

– Długo? – rzucam pytanie w nagle zaległą ciszę.

Pytam i nie chcę słuchać odpowiedzi. Przecież ja to wszystko znam.

– Długo. W zimie, w mrozy... Wychodziliśmy tylko w nocy. W końcu nas złapali. Przeze mnie. Po prostu musiałem się odlać. Wyszedłem, nie uważałem. I zobaczył mnie taki chłopak ze wsi... on był trochę niedorozwinięty i mnie znał... zaraz poleciał do Niemców... Przyjechali autem, z bronią. Zastrzelili nas wszystkich... Najpierw mnie, ale ja chyba padłem na ziemię, zanim rozległ się strzał... potem upadła mama i mnie zasłoniła, potem ojciec... myśmy się trzymali cały czas za ręce... a w końcu Halusia... – Marek wyszarpuje z siebie słowa z wysiłkiem i niechętnie, ale już nie może przestać... – Wygrzebałem się spod ich ciał, kiedy Niemcy odjechali. Uciekłem do lasu. Nikt mnie nie szukał. I byłem w lesie sam... Niedługo potem skończyła się wojna. Dostałem się do Warszawy. Nie znałem tu nikogo. Dostałem się na ASP... Nienawidzę malować tych wszystkich picassów. Ja ciągle widzę getto... ciągle widzę ich twarze. Tego się nie da opowiedzieć. Niech oni mi nie mówią, co ja mam widzieć. Co ja mam malować – dodaje ze złością. – Pójdę do twojej matki, ja jestem

porządny facet... a ty będziesz moją żoną!

Nie mogę już tego słuchać. Wstaję. A on, nadal siedząc, chwyta mnie za obie ręce...

– Kocham cię i chcę się z tobą ożenić! Rozumiesz? Twoja młodość jest mi potrzebna.

Stoję przed nim bezradnie. Patrzę z góry na jego pochyloną głowę, on też ma już trochę siwych włosów, może jest nawet starszy od Janusza. Gwałtownie wyjmuję ręce z jego dłoni. Czy teraz, po tym, co usłyszałam, będę musiała wyjść za Marka? Jeśli pojedzie do mojej mamy... ona na pewno się zgodzi... Mama zawsze mi mówiła, co mam robić: wypij tran, noś ciepłe majtki, ucz się! I zawsze: musisz, musisz, musisz!

Ale ja go nie kocham! Jego ani nikogo. Ani Janusza, ani nikogo innego, nie umiem, nie potrafię, nie chcę.

„Ty jesteś bez serca! Nikogo nie kochasz!”, mówiła nieraz moja mama. Wiem, chciała wtedy powiedzieć tylko, że jej nie kocham. A jeżeli rzeczywiście jest tak, jak mówiła?...

Jakoś udaje mi się oderwać od bliskości Marka, jakoś udaje mi się go przekonać, żeby mnie nie odprowadzał do domu. Zostaje na tej ławce przygarbiony, wpatrzony w ziemię, z porzewiałym kubkiem wody w ręce.

Na niebie pojawiają się chmury, podświetlone słońcem. Wygląda, jakby padało, ale to tylko ulicą obok wolno przejeżdża polewaczka, strumyki wody rozpryskują się na płaskich kamieniach chodnika. Idę szybko przed siebie, byle jak najdalej stąd, aż w końcu widzę, że nadjeżdża pierwszy festiwalowy tramwaj.

Długo jeszcze nie mogę wymazać z pamięci twarzy Marka. Nie chcę o nim myśleć! Chciałam na tym festiwalu coś przeżyć, żeby mieć co opowiadać Lenie, choćby po to. Myślałam, że spotkam tu kogoś, może się zakocham. Ale to chyba nigdy się nie stanie. I cóż jej opowiem?

\*\*\*

Mój ostatni festiwalowy dzień kończy się wielkim balem przebierańców w parku Skaryszewskim. Dopiero pod wieczór przypominam sobie, że i ja powinnam się przebrać, a nie mam żadnego kostiumu. Nie zrobię sobie przecież stroju z gofrowanej bibułki, tak jak na szkolne przedstawienia. Nie

umiem się przebierać. Zawsze mi się wydaje, że każdy i tak od razu wie, kim jestem, że to tylko ja...

Krażę po mieszkaniu Manueli, długo przymierzam przed lustrem różne jej suknie. „A obiecałaś, że niczego nie będziesz ruszać”, słyszę w myślach jej zagniewany głos. Wreszcie przypominam sobie wiszące w łazience błyszczące jedwabne kimono, żółte w czerwone smoki. Wkładam to kimono na gołe ciało, trochę jest za duże, rozchyła się na piersi, a ja nie zabrałam stanika. Ściskam je mocno w talii paskiem. Włosy zwijam w kok na czubku głowy i owijam go kolorową apaszką. Będę Japonką. Maluję sobie czarną kredką bardzo skośne oczy, a potem jeszcze piszę sobie na dekolcie tą samą kredką *sayonara*, to jest po japońsku i zdaje się znaczy „dzień dobry”.

W parku świecą się kolorowe lampiony, słychać głośną muzykę i kłębi się ogromny tłum ludzi. Zdaje się, że przyszli tu wszyscy z całego festiwalu. Mężczyźni przebrani są najczęściej za piratów albo kowbojów, wielu jest w kamizelkach i melonikach jak Chaplin. W tłumie miga mi grupa moich Włochów w słomianych weneckich kapeluszach, ale trzymam się od nich z daleka. Jest duszno, gorąco, pewnie będzie padał deszcz. Na chwilę zaprzyjaźniam się z jakimiś dwoma Niemcami. Nie są przebrani, mają białe, nieskazitelnie czyste koszule i czerwone krawaty. Jeden z nich nosi na piersi jakieś odznaczenia. Zagadują do mnie w dziwnym języku. Dopiero po chwili orientuję się, że biorą mnie za prawdziwą Japonkę. Potrzebuję czasu, żeby im wytłumaczyć, że nią nie jestem, ale ciągle nie wierzą.

– Naprawdę nie jesteś Japonką? – pytają raz po raz.

Jeden z nich ma w ręku rozmówki polsko-niemieckie. Rozmawiamy, posługując się słownikiem. Starannie wyszukują słowa i układają je w zdania. Trwa to wieki i już zaczyna mnie nudzić. Chodzi, zdaje się, o to, że chcą mnie zaprosić do Berlina, bo to piękne miasto. Obiecuję, że przyjadę. Oni chyba nie wiedzą, że u nas nie można tak po prostu wyjechać... Ale wymieniamy adresy. Dzisiaj wszyscy wymieniają między sobą adresy.



Zapraszają mnie na piwo. Zgadzam się, oczywiście, ale potem moją już wypróbowaną metodą udaje mi się ich zgubić. Park jest wielki, rozkrzyczany, rozedrgany, robi się coraz duszniej, a ludzie wyglądają jak zjawy nie z tego świata. Chwilę później wplątuję się w korso kwiatowe, nic nie widzę, tonę w chmurze rozrzuconych kolorowych płatków... Potem tańczymy w wielkim kole. Chwyta mnie za rękę jakiś facet w czarnym swetrze. Uśmiecha się na widok mojego napisu na dekolcie.

– Dlaczego masz tu napisane „do widzenia”? – pyta po francusku. – *Sayonara* znaczy „do widzenia”!

Francuskiego uczyłam się tylko w szkole, ale nawet nieźle rozumiem, nasza pani była bardzo wymagająca, więc jeszcze coś zostało mi w pamięci. Siadamy pod jakimś drzewem, Francuz i ja. Czarno ubrany, przystojny, trochę podobny do Gérarda Philippe’a, w którym wszyscy się kochają po filmie *Fanfan Tulipan*. Podobno też jest na festiwalu. Może to on? Przyglądam się uważnie Francuzowi, a on napotyka moje spojrzenie.

– Jestem komunistą – mówi od razu.

– A ja już byłam – zwierzam się mu. – A teraz jestem egzystencjalistką – dodaję z dumą.

Miałam nadzieję, że to mu się spodoba, może jest z Paryża... ale on tylko macha ręką.

– Egzystencjalizm już niemodny, teraz będzie komunizm. Na całym świecie – stwierdza z powagą – tak jak u was.

Wyjmuje z kieszeni małą płaską flaszkę, pijemy z niej oboje. Koniak fajnie pachnie, dobry. Pijemy po łyczku, Francuz trzyma mnie za rękę.

– Mieszkam w Paryżu – mówi – dam ci mój adres... – Przygląda mi się z uwagą. – Masz piękne oczy... piękne ręce...

Już to słyszałam. Ale Francuz jest miły... Rozmawiamy trochę, ale rozmowa się rwie, bo jednak nie tak dobrze sobie radzę z tym francuskim. Co chwila zalega między nami cisza. Całujemy się w tej ciszy, jest nawet dosyć przyjemnie... Potem pojawia się koło nas wysoka dziewczyna z burzą kręconych włosów.

– *C'est mon fiancée...* – przedstawia ją spokojnie Francuz, jakby to było zupełnie naturalne. Ale ona wydaje się obrażona. Zaczynają głośno dyskutować.

Jest późno i czuję na skórze pierwsze krople. Wracam do domu już w ulewnym deszczu... Zniszczone, zmięte kimono lepi mi się do ciała. Dopiero pod bramą domu Manuela uświadamiam sobie, że przez to całe przebieranie się za Japonkę zostawiłam w mieszkaniu klucze. O trzeciej w nocy budzę sąsiadkę z prawej. Jest oczywiście wściekła, długo szuka zapasowych.

– Zaraz jutro zadzwonię do panny Manuela – z naciskiem podkreśla słowo „panny”.

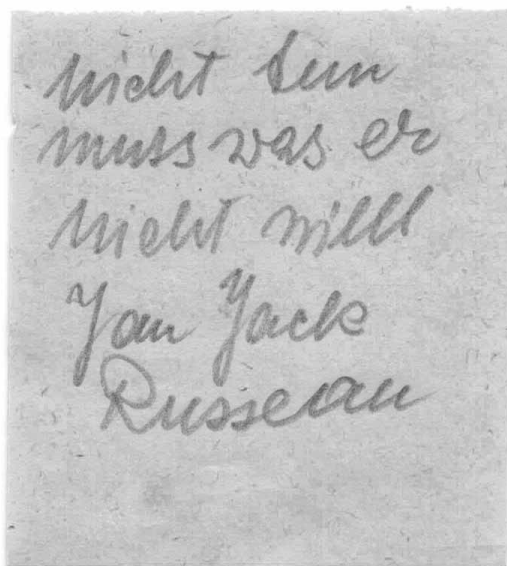
Jutro? Jutro już mnie tu nie będzie.

\*\*\*

Pierwsza kartka przyszła od Niemca: *Schöne Grüße aus der Hauptstadt Berlin...*, potem od Francuza: *les Boulevards de Paris sont tristes et solitaires sans toi...*, a na odwrocie szeroka aleja, drzewa i ludzie w kawiarniach. Pięknie!



Był jeszcze list od mamy:



*U nas ciągle ostatnio padają deszcze, to mnie złości, bo muszę jeździć tramwajem, zamiast się przejść, a tramwaj kosztuje piętnaście szylingów, za to mogę kupić trzy kilo pomarańczy dla Ciebie...*

*Wczoraj w tym deszczu przechodziłam koło opery, niedługo otwarcie (wszystko odnowili po wojnie) i premiera. Chętnie bym zobaczyła. Byłam tu nieraz przed wojną... ale przy tych cenach... ja to wszystko przeliczam na paczki dla Ciebie, jakiś sweterek albo owoce, sama dużo nie wydaję. Teraz jest stopięćdziesięciolecie wiedeńskich kielbasek. Przed Burgtheater jest taki kiosk, przed Operą też, w ogóle wszędzie, żeby eleganckie towarzystwo, jak wyjdzie z teatru, mogło sobie coś przegryźć. Nieraz się widzi panie w etolach i długich sukniach, jak stoją tam i jedzą. Zresztą te kielbaski jedzą wszyscy. A teraz „dają” je za pół ceny. Wczoraj stałam w tym deszczu i jadłam, bo były gorące.*

*A Ty się jakoś porządnie odżywiaj, wiesz, że jesteś za chuda. Posyłam Ci witaminy, żebyś nie była taka blada i wyglądała jak człowiek. I nie ubieraj się tak! Po co zwracać uwagę, wiesz, jak ludzie patrzą. Jak mieszkałaś u Manueli, to podobno sąsiedzi*



***zwracali uwagę na Twój wygląd. I po co Ci to? Błagam Cię! Przecież możesz sprowadzić na nas nieszczęście! Przecież wiesz, na jakim świecie żyjesz! Ty chcesz pokazać swoją inność, ale nie myślisz, co z tego może być. Ludzie są zazdrośni i donoszą. Lokatorzy mówili też, że przychodziłaś nad ranem, ale to już Twoja sprawa, bylebym ja nie musiała na to patrzeć. I nie maluj się tak wyzywająco, jak jakaś... wiesz kto.***

**Mama**



Przypominam sobie, jak nasza gosposia Marynia, kiedy byłam jeszcze małą i stałam przed lustrem, zawsze mi mówiła, że dziewczynę, która sobie maluje usta, każdy facet będzie się brzydził pocałować.

Marynia, która jest już stara i której nikt nigdy nie pocałował.

\*\*\*

Nawet nie zauważyłam, jak się skończyło to lato. Odwiedzałam pływalnię na Błoniach, tam było dużo znajomych i koleżanek z liceum. Niektóre już chodzą za rękę z jakimiś chłopcami. Pokazała się też Sylwia, ale nie rozmawiałyśmy o niczym ważnym. Tak jakby nic się nie stało.

Teraz się mówi: „chodzić z kimś”, podobno dawniej się mówiło: „narzeczony”. Oczywiście były zawody, kto ma najlepszy kostium kąpielowy. Ja mam taki obcisły w żółte paseczki, zdobyty na tandecie, bardzo wąski w talii.

Wróciła Lena, opalona i znowu wesoła. Była na wsi z siostrą, mówi, że siostra jej wytłumaczyła bardzo wiele rzeczy. Lena teraz całymi dniami siedzi w domu i gra. Przygotowuje się do konkursu we Włoszech. Gdyby wygrała, miałyby dużo pieniędzy. W dolarach. O tym, co było, już nie rozmawiamy.



\*\*\*

Są takie miejsca, do których się teraz chodzi. Na przykład Klub Literatów albo bar w Hotelu Francuskim. Czasem tam zaglądamy wieczorami z Leną. Wszyscy trochę się tu znają, przynajmniej z widzenia.

Lubię siedzieć przy barze we Francuzie. Lubię ładnie wyglądać i czuć się smutna i tajemnicza.

– Jest pani podobna do Basi Hoff, wie pani o tym? – To pytanie pojawia się często, więc już wiem kto to. Basia Hoff projektuje modę i pisze o niej. Nigdy jej nie spotkałam, nie wiem, czy jest ładna.

– Wyglądasz zupełnie jak Audrey Hepburn, ta aktorka – mówią także. To

już mi się bardziej podoba, zachwycam się Audrey, jest piękna. A ja?

Kiedy milczę, pada kolejne pytanie:

– O czym myślisz?

Albo:

– Dlaczego pani taka smutna?

Znam to już, to jest wstęp do jakiejś gry, jakbyśmy się w coś bawili...

Później, kiedy rozmowa się rozkręci, usłyszę:

– Kocham pani smutek.

Albo:

– Jesteś inna niż wszyscy.

Albo:

– Wiem, że jesteś mi potrzebna...

Słowa, które zostają gdzieś w powietrzu, nie docierają do mnie i zapominam o nich szybciej, niż zdążę zsunąć się z barowego stołka, aby po prostu sobie pójść...

\*\*\*

Jeżdżę od czasu do czasu na wystawy malarskie do Warszawy. O tych wystawach szumi cała Akademia i piszą o nich w gazetach. Mówią, że to coś całkiem nowego w sztuce. Kiedyś zaprosił mnie tam Marek. Nie bardzo chciałam się z nim spotkać, ale pojechałam. Włożyłam zdobytą na ciuchach wąską czarną sukienkę, do której doszyłam sobie piękny biały kołnierzyk.

Oszłomiły mnie te płótna, wielkie i małe, bardzo krzykliwe, kolorowe. Pewnie ważne, wszyscy o nich dyskutują. Zastanawiałam się, o czym te obrazy do mnie mówią. Patrzyłam, ale nie mogłam się skupić w tym chaosie.

Zaraz na początku zobaczyłam, sam na całej ścianie, mój wielki portret malowany przez Marka. Nie wiem nawet, kiedy on zdążył... Twarz moja i nie moja... za duże usta, za czarne oczy... ciemne włosy, może ładna... i kawałek ściągniętej skóry nad wycięciem czerwonej sukienki. Podchodzą ludzie, oglądają, czy wiedzą, że to ja?

Zjawił się Marek, w białej zmiętej marynarce i nieogolony, jakby nie mógł się ogolić na taką okazję.

– No i jak? – Wydaje się nieco zawstydzony, ale jednocześnie szczęśliwy i dumny. – Trzy obrazy – mówi. – Dopuszcili mi aż trzy płótna! Przez ostatnie miesiące zamykałem się w pracowni i malowałem. Tylko farby, pędzle, popatrz – pokazuje palce poczerniałe od zaschniętej farby – trochę wina i samotność... Najpierw nie wiedziałem, czy mogę to pokazać... ale teraz... teraz zaczynam od nowa... To wszystko dzięki tobie... – szepcze mi do ucha, a ja szybko się odsuwam, nie chcę znów tego słyszeć...

Potem dołączył do nas Janusz, miły jak zwykle, serdeczny i w znajomej niebieskiej koszuli. Patrzymy na siebie spokojnie i już chyba staliśmy się przyjaciółmi. Myślałam, że zostanę w Warszawie ze dwa dni, pobiegam po mieście, przenocuję u Marka, u Janusza albo gdziekolwiek. W Warszawie zawsze znajdzie się ktoś, kto użyczy noclegu. Zdawało mi się, że wieczorem pójdziemy do Kameralnej, tam gdzie spotykają się wszyscy znani ludzie. Tam się można dostać do baru tylko wtedy, gdy się ma ważnego znajomego, a ja już wielu ludzi znam i mam taką ładną sukienkę...

Tymczasem coś się w mieście zaczęło dziać. Janusz z Markiem długo się naradzali, słuchali radia, a potem, jeszcze tego samego popołudnia, prawie przemocą odesłali mnie do Krakowa. Wsadzili mnie do taksówki, zawieźli na dworzec. Marek szybko kupił bilet, dostał się bez kolejki... A potem siłą wepchnęli mnie do wagonu. I cały czas nie chcieli powiedzieć, co się stało.

– Ty jesteś dziecko, osiemnastoletnie dziecko – mówił Janusz, oganiając się ode mnie jak od owada. – O nic nie pytaj, bo i tak tego nie zrozumiesz.

Wiedziałam tylko, że chodzi o politykę, o Gomułkę, który wrócił, i że coś się będzie działo w Warszawie... ale nie dowiedziałam się więcej i ani się obejrzałam, jak byłam z powrotem w domu. Na drugi dzień wszyscy już o tym mówili. W Warszawie był wielki wiec na placu Defilad, przyszły tysiące ludzi. Krzyczeli, skandowali, witali Gomułkę. I nikt nie wkroczył ani nie strzelał, a tego, zdaje się, obawiał się Janusz.

Gomułka teraz będzie rządził i będzie inaczej. „Lud odzyskał przywódcę, a przywódca odzyskał lud” było napisane wielkimi literami na transparentach. Podobno będzie już wszystko wolno, nawet wyjeżdżać za granicę i wracać. Może moja mama teraz wróci?

\*\*\*

Książkę *Pewien uśmiech* drukują teraz w „Przekroju”. Czytam cały czas i nie mogę się oderwać. Chwilami wydaje mi się, że ja sama to pisałam, myślę, że też bym tak potrafiła...

„Co zrobiłaś ze swoim życiem? Co zamierzasz z nim zrobić? Na to pytanie mogłam dać jedną odpowiedź – nic”, pisze Saganka. To samo ja mogłabym powiedzieć o sobie.

Do Krakowa przyjechał mój kuzyn, był niedawno w Paryżu. Chodzi teraz po mieście i pokazuje czerwone skarpetki, które sobie kupił, i wszyscy mu zazdroszczą. Zaprosiłam go nawet do siebie na prywatkę, którą zrobiłam dla paru koleżanek. Wpadł tylko na chwilę, powiedział, że jest nudno, i już go nie było. Zdążył za to przedtem zniszczyć wszystkie moje płyty, które zbierałam przez lata. Po kolei brał do ręki każdą i łamał na kolanie: to nudne, to głupie, mówił, to jest muzyka, której nikt nie słucha. Uciekł i nic mu nie mogłam zrobić. Przecież on jest starszy.

\*\*\*

Mój kuzyn ma w Krakowie przyjaciela. Właśnie dlatego zaprosiłam go do siebie – w nadziei, że wpadnie z tym przyjacielem, wiem, że często pojawiają się razem. Ma na imię Wiesław, ale wszyscy mówią o nim „hrabia” albo „lord”, bo pochodzi z jakiejś bardzo arystokratycznej rodziny. Opowiadają o nim legendy. Podobno zaprasza do siebie różnych ciekawych ludzi, ale trudno tam się dostać. Widziałam go na ulicy, przystojny!

– Zabierz mnie do tego Wiesława! – prosiłam kuzyna.

Prosiłam już kilka razy, na tej nieudanej prywatce też.

– Coś ty, oszalałaś? Ty jesteś jeszcze smarkula. On na takie nie zwraca uwagi. Zresztą to by nie było dla ciebie dobre... – dodaje z dziwnym uśmiechem.

Kto ma właściwie oceniać, co jest dla człowieka dobre, co jest dla mnie dobre? Sama nie wiem, lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Ten „hrabia” nie zwraca na mnie uwagi? Trudno. Za to ja zwracam uwagę na niego. Jakoś tak się składa, że ostatnio stale go gdzieś widuję. Przystojny, ciemnowłosa, pięknie ubrany. Tweedowa, miękka marynarka, biała koszula z nieskazitelnym wysokim kołnierzykiem, wąski jedwabny

krawat, nikt się tak w Krakowie nie ubiera. Wygląda trochę jak aktor z filmu albo ktoś z zagranicy. A w słotne dni nosi taki płaszcz, który się nazywa burberry i który noszą aktorzy w zagranicznych filmach.

Któregoś dnia spotykamy się na Rynku.

– *Bonjour*, Michelle – mówi od razu i uśmiecha się. Wręcza mi czerwoną różę, zupełnie jak w teatrze. To, że mam na imię Roma, wcale go nie interesuje. – Dla mnie jesteś Michelle – postanawia.

Trochę wydaje mi się dziwne, że ktoś tak nagle może zmienić moje imię. Ale sama jego obecność sprawia, że czuję się jakby nieprzytomna, i nie bardzo wiem, co się wokół mnie dzieje. Dociera do mnie tylko, że zaprasza mnie dziś wieczorem na to swoje sławne poddasze. Pewnie będzie tam dużo ciekawych ludzi, myślę. Dużo ważnych ludzi, a między nimi ja! Mam pustkę w głowie i czuję takie drżenie, jakby prąd elektryczny przechodził przez całe ciało. Postanawiam zrobić dobre wrażenie. Układam sobie słowa, które powiem, lekkie, ironiczne, zabawne, i wiem, że pewnie ich nie znajdę, kiedy będzie trzeba.

Mieszka w kamienicy z wieżą. Jego pokój jest w tej wieży. Wchodzi się po wąskich, krętych schodkach...

Przychodzę do niego w czerwonej sukience. Jest sam...





\*\*\*

Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęłam cię zatrzymać. Romo! Nie chodź tam! Wróć!

Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęłam wstrzymać twoich kroków, choć dziś już wiem, że mi się to nie uda. Przynajmniej nie śpiesz się tak, pomyśl jeszcze. Z ulicy, przy której mieszkasz, do niego na Aleje nie jest daleko, nie biegnij tak na tych twoich wysokich szpilkach.



Dziś wiem, że nigdy nie powinnaś była się tam znaleźć. Nigdy. Dziś wiem, że są takie dni, takie godziny, kiedy musimy być specjalnie ostrożni, kiedy jeszcze możemy odmienić nasz los... ale nie robimy tego. Chociaż w jakimś najgłębszym zakamarku naszego umysłu wiemy, że powinniśmy. Lecz jesteśmy zbyt ciekawi, po prostu ciekawi, co się wydarzy. Idziemy naprzeciw przygodzie, dobrej czy złej, przekonani, pewni nawet, że sobie z nią poradzimy, że zawsze uda nam się wyskoczyć z pędzącego pociągu jeszcze przed katastrofą. Ciekawość zawsze jest silniejsza od lęku. Szczególnie kiedy mamy, jak ty, dopiero osiemnaście lat.

Dziś wiem, że żaden mężczyzna, który będzie się pojawiał w twoim życiu, nie będzie całkiem twój. Nigdy. A ty właśnie dlatego będziesz się z nim spotykać, przekonana, że nic więcej ci się nie należy. Bo tego, co jest naprawdę piękne, cenne i ważne, tego na pewno nie można mieć. Ty tego nie możesz mieć!

Tak jak tych lalek w pokoju Manueli. Pamiętasz? Siedziały na kanapie piękne, takie drogie, w aksamitnych sukienkach, tak bardzo chciałaś ich dotknąć, przytulić je. Ale wiedziałaś, że możesz to zrobić tylko na chwilę, tylko ukradkiem. Bo przecież nie są twoje. Bo przecież jesteś tylko małą dziewczynką z krakowskiego getta, której nic się nie należy, nawet to, że jeszcze żyje.

Jakże więc ty, wystraszone żydowskie dziecko, które wie, że życia mu nie dano, tylko je na chwilę pożyczono, które nigdy nie znalazło drogi do siebie, będziesz mogła uwierzyć, że jesteś dla kogoś ważna, najważniejsza? Zawsze będziesz myślała, że jego obecność to jakaś nagroda, jakieś specjalne wyróżnienie, i że naprawdę na nie nie zasługujesz, tylko on jeszcze o tym nie wie.

Mieszka na poddaszu. Polubisz takie mieszkania. Potem wiele razy będziesz ich szukać w świecie. Materac na podłodze przykryty czymś miękkim, piękne stare sprzęty, widok za oknem... Będziesz powracać do tego obrazu, nawet nie zdając sobie sprawy, że już to widziałaś...

A wtedy? Uwierzyłaś, że możesz być dobra dla niego i tylko to jest ważne, i tylko to wyróżnia cię spośród innych. I nigdy, aż do

dziś, aż do teraz, kiedy piszę te słowa, nie dowiedziałaś się, co jest dobre dla ciebie.

Nie chodź tam, Romo! Wróć do domu. Możesz jeszcze odmienić swój los.

Nie chodź tam!

\*\*\*

Przychodzę do niego w czerwonej sukience. Jest sam..

Delikatnie głaszczę mnie po włosach. Nalewa do smukłych kryształowych kieliszków czerwonego wina, wydaje się, że cały pokój migocze w tej czerwieni.

Siedzimy w wysokich rzeźbionych fotelach, trochę jak w teatrze, czuję się, jakbym była aktorką, grała jakąś rolę, jakbym była nieprawdziwa, nierzeczywista i lekka. Rozmawia ze mną o życiu inaczej niż wszyscy, pięknie i poważnie. Przyszłości nie ma, mówi. Przyszłość jest tylko w naszej wyobraźni...

Nigdy jeszcze nie byłam w takim wnętrzu, nigdy jeszcze nie poznałam takiego człowieka.

– Zostaniesz na noc?

– Zostanę.

Wychodzę o świcie. Powiedział, że spotkamy się wieczorem. Więc przyjdę.

I tak się to zaczyna.

\*\*\*

Na korytarzu Akademii wisi wielkie ogłoszenie. Wszyscy studenci muszą iść na badania lekarskie. Każdy musi mieć zaświadczenie, że jest zdrowy. Prześwietlenie, szczepienie, internista. Koledzy mówią, że nudne są te badania i strasznie długo się czeka, ale bez tego nie wydadzą legitymacji studenckiej.

Najpierw idę na prześwietlenie płuc. Ciemny gabinet przy ulicy Floriańskiej, lekarz nosi wyłożony ołowiem gruby fartuch, ciężki i groźny jak rycerska zbroja. Długo przygląda się zdjęciom moich płuc.

– Nie podoba mi się to, co tu mamy... – mówi w końcu.

– Tak, wiem – wtrącam nieśmiało, zawsze kiedy mówią mi, że nie jestem całkiem zdrowa, czuję się winna... – Miałam kiedyś zapalenie płuc – tłumaczę.

– Żeby się z tego nie rozwinęła gruźlica – lekarz patrzy na mnie z troską. – Musi pani zdrowo się odżywiać, dużo spać, nie palić...

– Nie palę.

– I przybrać na wadze...

Utyć? Nigdy w życiu! Wychodzę szczęśliwa, że w końcu mnie wypuścił.

Nie będę miała gruźlicy! W ogóle nie zamierzam chorować. Choroba to jakaś zdrada wobec mamy, pamiętam to jeszcze z dzieciństwa. Tylko nie choruj, błagała mnie zawsze. Nie choruj, nie rób mi tego! Będę zdrowa, przecież obiecałam.

Internista przyjmuje w szpitalu daleko na obrzeżach miasta. Długo błądzą po szpitalnych korytarzach. To chyba tu? Grzecznie pukam.

Mężczyzna po drugiej stronie biurka jest wysoki i tęgi. Zdejmuje okulary i zaraz wkłada je z powrotem. Patrzy na mnie ciężkim i smutnym wzrokiem. Twarz ma zmęczoną. Nie wiem, dlaczego jestem okropnie zdenerwowana, przecież to tylko badanie. Mdli mnie i kręci mi się w głowie...

– Nazwisko? Imię? Wiek? Ile? Osiemnaście? Rozumiem. Studentka? ASP, a więc artystka, co?

– Tak, studiuje na Akademii.

Nie każe mi usiąść, a jego pytania uderzają we mnie jak w tarczę. W końcu siadam.

– Sypia pani w nocy? Źle pani sypia? Rozumiem. Co jeszcze?

– Co jeszcze? – odpowiadam cicho i bezradnie. Nie wiem, co jeszcze.

– Ma pani jakieś lęki, kłopoty, zaniki pamięci?

– No nie, pamięć mam dobrą. Ja tylko...

– Niech pani wstanie!

Wstaję.

– Niech się pani rozbierze – rzuca nagle szorstkim głosem.

Zdejmuję bluzkę, spódnice...

– Rozebrać się! Do naga!

– Do naga?

– Buty! Majtki! Wszystko!

Stoję naga po tej stronie biurka, on siedzi po przeciwnej i tylko na mnie patrzy... omiata mnie wzrokiem jeszcze raz i jeszcze. Stoję cierpliwie. Mogę tak stać całą wieczność. Stoję, jak stali ci w obozie na apelu. Stoję, bo on powiedział, żebym stała, bo kazał. Mam być naga, więc jestem. Zawsze jestem naga, kiedy się boję...

– Ubierz się – słyszę po chwili, a może to była cała wieczność... – Ubierz się! Już! Szybko! – popędza mnie niecierpliwie zmęczonym głosem. – Idź do domu. Nic ci nie jest.

– Ale ja... to zaświadczenie... do Akademii... – tymczasem on już tylko patrzy na zegarek...

– Powiedziałem, że nic ci nie jest... nie mam czasu, a zresztą, co ja ci napiszę... niedojrzała osobowość? Może kiedyś dojrzejesz... Idź już! I nie musiałaś się rozbierać. Nie musisz robić wszystkiego, co ci każą.

Kiedy wychodzę z płonącymi policzkami, odwracam się jeszcze i wtedy dopiero widzę, że na tabliczce na drzwiach napisane jest: „Doktor Nowak, psychiatra”. A ja miałam iść do internisty. Po prostu pomyliłam drzwi.

\*\*\*

Spotykamy się codziennie. Czeka na mnie na Małym Rynku, wesoły i ożywiony czeka tam, gdzie stoją przekupki z kwiatami. Często kupuje mi choćby jeden kwiatek. Nazywam go Lordem, a on mnie Michelle, oboje nie lubimy swoich prawdziwych imion. Właściwie prawie się nie rozstajemy. Do domu wpadam tylko, żeby się przebrać. Nie mam czasu jeść, nie mam czasu spać...

Muszę od czasu do czasu pokazywać się na Akademii, podobno profesor już parę razy o mnie pytał... i koledzy ostrzegają, że mogą mnie nawet wyrzucić. Nie chcę się tym przejmować, niczym nie chcę się przejmować, prawie nie wiem, co się wokół mnie dzieje, interesuję się tym, czym on się interesuje. Chodzimy na obiady do stołówki uniwersyteckiej, siedzą tam w ciemnej sali przy długich stołach różni starzy profesorowie, obiady są tanie, bo Lord dostaje kupony ulgowe. On wszędzie ma znajomych.

Zawsze brakuje nam pieniędzy. Kiedy nie mamy już nic, on wybiera z regału jakiś stary tom z rodzinnej biblioteki i idzie go sprzedać... Lord kończy studia, teraz przerwał, bo zamierza napisać książkę. Czasem nie mamy ochoty nigdzie wychodzić. Jeśli mamy sto złotych, kupujemy na targu kurę. Gotujemy ją w garnku na małej spirytusowej maszynie. *Il n'y a que le provisoire qui dure*<sup>[1]</sup>, mówi Lord, lubi język francuski, używał go od dzieciństwa. Kiedy mamy coś do jedzenia, możemy nie wychodzić z domu nawet dwa dni. Lubię jego pokój... lampa z wyciętymi i przyklejonymi etykietami Cinzano, Martini, Cognac Rémy Martin, fotel na biegunach, lampa naftowa, stary stół, który jednocześnie jest biurkiem, książki.



Dużo czytamy. Lord czyta mi wiersze, najczęściej Leśmiana, już przedtem go znałam, ale w jego ustach te wiersze brzmią całkiem inaczej, tak jakby to on sam napisał je dla mnie.

Nie nacicha ta miłość, co nie zna rozłąki!  
Usta moje i piersi spragnione są Łąki!  
Tam mój obłęd i ostoja,  
Gdzie ty szumisz, Łąko moja!

Jakże pachną rozprute według ściegów pąki!

[...]

I w północnej ochłodzie dość dla mnie upału!

Idę, Łąko, ku tobie brzegiem mego szału. [...]

W jesienne popołudnie Kraków zanurzony jest w deszczu, wyglądam przez okno z uczuciem smutku, który zawsze wywołuje we mnie jesień, ale tu, z góry, z perspektywy tej wieży, nie dociera do mnie ani wiatr, ani deszcz, ani jesień...

Następnego ranka spotykam przed domem Lenę. Wydaje mi się mniejsza i jakaś smutna.

– Gdzie się podziewasz? Szukałam cię.

Mówię jej więc, gdzie się podziewam... Lena, inaczej niż myślałam, nie wydaje się zachwycona.

– Uważaj, co robisz. – Patrzy na mnie poważnie, trochę jak mama. – Uważaj! O nim bardzo źle mówią...

Wiem, że powinnam teraz zapytać, co mówią, ale nie zapytam, nie chcę tego słyszeć, nie chcę!

– Muszę już lecieć. – Lena kończy rozmowę, widać, że jest jej przykro, że musiała mnie rozczarować. A może, nie wiem, po prostu jest zazdrosna...

– Pójdiesz na te Węgry? – dorzuca jeszcze na odchodnym.

– Jakie Węgry?

– Nie wiesz, co się dzieje na Węgrzech? Przecież tam się krew leje i umierają ludzie. Może, może z tego nawet wojna będzie, tak mówi mój ojciec... Będzie spotkanie studentów na UJ-ocie, żeby zaprotestować. To przyjdiesz?

– No, chyba tak, nie wiem... przyjdę, jeśli on pójdzie.

Rozmawiamy o tym tego wieczoru. O tym, że na Węgry wjechały radzieckie czołgi, że tysiące ludzi zostało rozstrzelanych, młodzi chłopcy, dziewczyny, tacy jak my. O kardynale Mindszentym, który tyle lat był w niewoli, został wypuszczony, a teraz zamknięty z powrotem...

Po raz pierwszy rozmawiamy o czymś tak poważnym, żywym, co dzieje się wokół nas i nas też dotyka. Czuję się ważna, bo to wiem, rozumiem i nareszcie mogę coś zrobić.

Następnego dnia, kiedy wychodzimy z domu, widzimy na rogu Alej grupkę studentów, zbierają dary, pieniądze dla Węgrów. Pieniądzy nie mamy, ale możemy oddać krew.

\*\*\*

Przychodnia pełna jest ludzi. Kolejka ciągnie się aż na schody, nie można się dostać nawet na korytarz. Stoimy cierpliwie na tych schodach. Wokół prawie sami młodzi ludzie, kolorowy, niespokojny tłum, z AGH, z Uniwersytetu i kilka osób, które znam z Akademii. Wszyscy mówią o Węgrzech. Nad moją głową krzyżują się wiadomości. Dowiadujemy się niesamowitych rzeczy. Na Węgrzech są podobno dwa rządy i między nimi straszna wojna. Są tysiące zabitych i rannych.

Budapeszt płonie...

Mówią, że niektóre oddziały wojsk radzieckich przeszły na stronę powstania i że potem posłano inne oddziały, a te mordowały ludność cywilną, nawet dzieci, była rzeka krwi...

Podobno studentów węgierskich deportują teraz do Rosji, całą młodzież...

– To samo mogło być w Polsce – dodaje ktoś głośnym szeptem.

– Coś ty! Gomułka jest po naszej stronie – uspokaja wysoka dziewczyna w czarnym berecie.

Słucham tych wszystkich słów pełna zamętu, są we mnie wspomnienia, których nie chcę teraz przywoływać... krew, żołnierze, wojna, dzieci.

Jest zimno i mroczno. Ludzie przyszedli w czapkach i szalikach, ja, jak zwykle, ubrałam się za lekko i teraz trzęsę się z zimna, jestem na czczo i już mi się nie chce oddawać tej krwi, ale obok mnie stoi Lord, bardzo blady, przecież nie zostawię go samego... Przede mną ładny wysoki chłopak o blond włosach, w skórzanej kurtce, opowiada dość głośno koledze o tym, jak chciał uciekać, dostać się na Węgry, żeby walczyć, ale zatrzymali go na granicy... „Dobrze, że cię nie wsadzili”, dodaje jego znajomy. A potem mówią coś szeptem. „Ale to jeszcze nie koniec, nie koniec – powtarza



blondyn mocnym głosem. – Odpłacić im trzeba za tę krew...”

Moje wspomnienia odzywają się coraz dotkliwiej, nie chcę ich w sobie słyszeć. Słowa: wojsko, wystrzały, krew, obrazy, do których już teraz nie wolno mi wracać, bliskie i dalekie, mieszają się w mojej głowie.

Wreszcie udaje nam się opuścić schody. Najpierw jest biuro, w którym trzeba się zarejestrować... dobrze, że mamy wszystkie badania lekarskie...

– Oni spiszą nasze nazwiska, przecież musisz pokazać legitymację, i mogą nas potem... – odzywa się czyjś głos.

– Coś ty! Przecież nawet Gomułka z Cyrankiewiczem... – powtarza dziewczyna w berecie.

– Spiszą, nie spiszą, idziemy! – woła ktoś inny.

W gabinecie lekarskim jest jeszcze większy tłok i zamieszanie. Gabinet został podzielony na swego rodzaju kabiny osłonięte parawanem z białego płótna. W kabinie jest jedno krzesło. Wpuszczają po dwie osoby, ta druga musi stać. Dyryguje tym wszystkim ubrana na biało pielęgniarka ze strzykawką w ręce.

Przede mną w kabinie ten wysoki blondyn siada na krzeselku i odsłania ramię. Odwracam głowę, żeby nie patrzeć, i nagle słyszę łoskot, chłopak miękko osuwa się z krzesła, teraz widać, jaki jest duży, jego nogi zajmują prawie całą przestrzeń, jego głowa tuż koło moich stóp...

– No, panie, co z panem? – pielęgniarka odkłada strzykawkę i wybiega na korytarz.

Klękam przy zemdlonym i układam jego głowę na moich kolanach, a on po chwili sam otwiera oczy i patrzy na mnie zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem... Wraca pielęgniarka z jakimiś lekami, uśmiecha się, widząc nas na podłodze.

– Niech się pan nie przejmuj – pociesza chłopaka, który podnosi się szybko. – Mężczyźni częściej mdleją – dodaje.

– No, teraz pani kolej – słyszę po chwili.

\*\*\*

Od tego czasu przez całe życie bałaś się zemdleć, Romo, pamiętasz, prawda? Zawsze miałaś w pamięci tego dużego

chłopaka, zupełnie bezbronego na podłodze, i w jego oczach jakiś wstyd. Od tego czasu nosiłaś zawsze w torebce kropelki. Często sprawdzałaś, czy nie robi ci się słabo, i boisz się tego do dziś. Ale do tego się, droga Romo, nie przyznamy, prawda? Niech to zostanie między nami, niech nikt się nie dowie... Tyle jest w nas wstydliwych lęków, o których nawet nie wiemy, skąd się biorą. Bo strach jest sumą złych doświadczeń i szczególnie mocny jest u tych, którzy nie potrafią niczego zapomnieć, jak ty, Romo...

\*\*\*

Kiedy wychodzimy, trzymam się Lorda bardzo mocno, tęsknię już za naszą dziuplą, za pokojem bezpiecznym jak twierdza, za mocnym uściskiem czyichś ramion. Ale nie idziemy jeszcze do domu. Lord wstępuje do sklepu i kupuje butelkę wódki. Zatrzymujemy się potem w cieniu bramy kościoła Mariackiego. Po raz pierwszy widzę, jak pije wódkę. Szybko i łapczywie...

– Nieważne jest dziś, a jutro? Jutra nie ma – mówi potem, obejmując mnie ramieniem. – *La tristesse de tout cela...* – dodaje swoim nieskazitelnym francuskim.

\*\*\*

W Krakowie zaczynają umierać poeci. Jakaś fala samobójstw przechodzi przez miasto. Nie mówi się o tym głośno, to tylko szept...

W codziennych rozmowach, w muzyce, wierszach czuje się ukrytą tęsknotę za śmiercią. Młoda para naszych przyjaciół pewnego ranka otwiera gaz. Giną razem, ale nie zostają razem pochowani, bo na to nie godzi się jej rodzina. Potem umiera młody poeta, który czytał na ławce na Plantach swoje wiersze. A potem jeszcze jeden, którego mało znałam, choć podobno genialny, tak teraz o nim mówią, zatrzał się alkoholem, miał dwadzieścia pięć lat. Pewna znana malarka w Warszawie też odebrała sobie życie. A my, pozostali, spotykamy się, jesteśmy jak zwykle weseli, wymieniamy żarty, anegdoty, flirtujemy, ale kiedy zaczynamy rozmawiać dłużej i poważniej, to zawsze kończy się to wódką...

Mówi się, że pewien znany pisarz w swojej ulubionej kawiarni, otoczony dymem z papierosów, podrywa dziewczyny „na gruźlicę”...

– Niedługo umrę, będziesz moją ostatnią dziewczyną – szepcze teatralnie, biorąc ją za rękę...

A ja biegnę po wąskich ulicach, po kocich łbach, pogrążona w myślach i tylko chwilami czuję, że w tym mieście za każdym rogiem czai się rozpacz.

\*\*\*

Tyle się działo, że przez dwa dni nie zdążyłam wpaść do domu. Ostatnio prawie wcale w nim nie bywam, tyle tylko, żeby się przebrać albo wykąpać w wannie, u niego jest taka maleńka łazieneczka, biorę kilka rzeczy i już mam ochotę uciec, tak się tu nagle zrobiło ciasno. Czasem spotykam Marynię, ale ona już nic nie mówi, o nic nie pyta... nawet jej wieczne żarciki i pretensje umilkły.

Wchodzę do naszej bramy, pogrążam się w mroku ciemnej sieni, gdzie pachnie kurzem i wilgocią, i nagle czuję znajomy niepokój. Czy coś się stało? Może nas okradli? Przypominam sobie szybko, czy ostatnim razem zamykałam drzwi i czy jeszcze mam klucze... a może coś się stało Maryni...

Przed drzwiami nerwowo wyszarpuję klucze z torebki, ale już nie muszę ich używać – drzwi się otwierają, a w progu staje z ręką na kłamce moja mama.

\*\*\*

– Od dwóch dni cię szukam – mówi bezdźwięcznym, matowym głosem, jest bardzo blada, widać to nawet w tym świetle – właśnie miałam zamiar iść na milicję.

Pisała, nie czytałam listów, zostały w skrzynce zawiadomienia z poczty, których nie odebrałam, wysłała telegram, który leży teraz na półce w przedpokoju. Dzwoniła, ale nikt nie odpowiadał, więc wsiadła w pociąg...

Wchodzimy. Siadam na tapczanie, nagle strasznie zmęczona. Ona stoi nade mną, widzę, jak źle wygląda, ma siwe włosy, zapłakane oczy... Przytyła chyba, ale wydaje się mała, jakby ubyło jej wzrostu. Jest mi przykro, jest mi smutno. Wstydzę się. Jestem zła na siebie, jestem zła na nią, bo przez nią się wstydzę. Stoi nade mną i czeka na moje słowa

w niemym cierpieniu. Ale cóż ja mam wyznać? Boję się wyznać.

Chciałabym ją przytulić, taką małą i niegroźną, ale nie wiem, jak to zrobić. Już bym nie umiała, od tak dawna się nie dotykamy.

\*\*\*

Zaczną się teraz dla was, Romo, trudne dni...

Byłaś pod jej opieką zawsze, odkąd pamiętasz, w czasie wojny, okupacji, kiedy zostałyście na świecie same. Każde oderwanie się od matki w czasie wojny groziło ci śmiercią, wiedziałaś to dobrze. Każda ucieczka, choćby taka dziecinna, na kilka kroków tylko, groziła śmiertelnym niebezpieczeństwem i była... zdradą.

– To po to przeżyłyśmy taką straszną wojnę – powtarzała później nieraz – żebyś ty była teraz taka niedobra, nieposłuszna? Taka niewdzięczna?!

Nie mogłaś więc tego dnia stanąć przed nią tak po prostu i powiedzieć: „Mamo, mam chłopaka, spędzam z nim dni... i noce”.

Wtedy tak się z dorosłymi nie rozmawiało.

Zastanawiam się czy ma sens opisywanie tego dzisiaj – twojego życia, jej życia. To bolało wtedy, boli i dziś. Ale nieopisane będzie jak niebyłe... Jeżeli więc tylko tak możesz zostawić po niej świadectwo...

Cóż więc zrobisz?

Nie znajdziesz słów, będziesz się bała, że ona będzie chciała i będzie mogła tego zabronić, odebrać ci tę wolność, którą właśnie zdobyłaś. Nie znajdziesz właściwych słów i dlatego będziesz tylko coraz bardziej niespokojna, pełna buntu, jakby złapana w pułapkę, coraz bardziej zła i przykra dla niej.

A ona, bezradna jak ty, odpłaci ci tym samym.

\*\*\*

W pokoju wszędzie porozkładane są przywiezione przez mamę rzeczy. Z miękkich bibułek wyglądają kolorowe sweterki, sukienki, których nie

śmiem dotknąć ani oglądać, bo na nie nie zasłużyłam, choć pewnie przeznaczone są dla mnie... Pudełka z czekoladkami, jakieś pachnące mydełka, banany, i na stole, na talerzu, zielone jabłka.

Milczę. Milczy i ona.

Siada przy stole i czeka na jakieś moje słowa.

Jak mam jej to powiedzieć, przecież nie zrozumie, sama nie zawsze rozumiem, co się ze mną dzieje.

Patrzę na ten pokój pełen prezentów, potem na swoje dłonie i milczę.

Aż mama już nie może wytrzymać tej ciszy i w końcu mówi to, co zawsze słyszę, kiedy chce ze mną zawrzeć pokój i nie wie, jak to zrobić.

– Zjadłabyś coś? Jesteś głodna?

Wiem, że jest to zaproszenie do rozmowy. Tylko że my nie umiemy ze sobą rozmawiać. Przeżywam właśnie coś wielkiego. Wydaje mi się, że ona nigdy czegoś takiego nie przeżywała, nie rozumie, a ja nie chcę się tym z nią dzielić.

– Nie, dziękuję, nic nie będę jadła...

Wiem, że muszę coś powiedzieć, wytłumaczyć, czuję, że chciałaby już tylko ode mnie usłyszeć to, co chyba i tak już wie, ale nie umiem zacząć. Żyję teraz w świecie, do którego ona nie ma dostępu, i nie chcę być tam z nią razem.

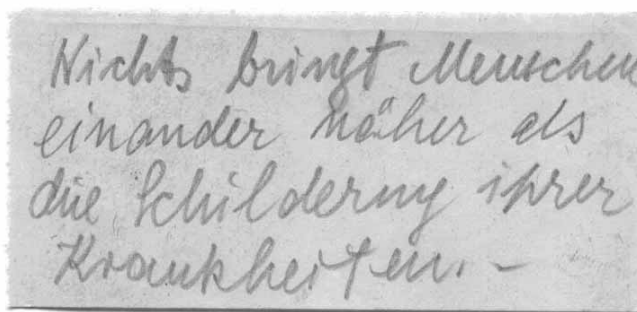
Zapada cisza, zaraz potem przerwana serią ostrych pytań: Gdzie byłaś? Gdzie ty w ogóle chodzisz? Co zrobiłaś ze studiami? Dlaczego nie bywasz w domu? Co z twoją przyszłością? I to nigdy niezadane, nigdy niewypowiedziane, ale które ja i tak słyszę...

– Jak mogłaś mi to zrobić? – I jeszcze powinna dodać: „po takiej strasznej wojnie...”.

Ostrożnie dobieram słowa, coś próbuję wyjaśniać, łagodzę, zmyślam, krążę wokół najważniejszego i tego nie umiem jej powiedzieć. Wiem, że już zdążyła wypytać Marynię, potem Lenę, więc i tak już się dowiedziała. Jeszcze coś mówię, niepewnie coś tłumaczę, a już mam tylko ochotę uciec od tej rozmowy, od tego pytającego wzroku, od tego wypełniającego pokój jak gęsty dym wyrzutu sumienia, uczucia, że znowu zawiodłam. Płaczę, chociaż wcale tego nie chcę. Płaczę...

A tymczasem ona wstaje i idzie do kuchni. Pewnie zrobić herbatę, a może zażyć lekarstwo na nerwy...

Zaszywam się w kącie pokoju z książką, udaję, że czytam, że się uczę. Mama bez celu krąży po mieszkaniu, bierze do ręki przedmioty, jakby czegoś szukała, odkłada z powrotem. Widać, że nie może odnaleźć się w tym ciemnym mieszkaniu, w tym jesiennym Krakowie i w obecności córki, która milczy i jak się jej pewnie wydaje, już wcale jej nie kocha. Wyobrażam sobie, jak jeszcze niedawno siadywała w jasno oświetlonych wiedeńskich kawiarniach, gdzie po południu ktoś grywał walce na pianinie, jadła torcik z pianką... wiem, że tam za mną tęskniła... Teraz między stronami książki znajduję kartkę z listu od niej, którą wsunęłam tam jakiś czas temu...



❖

**...i byłam też na występie Kiepury w Raimundtheater. Dawali operetkę Paganini. Cieszyłam się, bo to i Jan Kiepura, nasza przedwojenna sława, i Mártha Eggerth, i piękna muzyka, wytworna publiczność. Ale to już nie był ten Kiepura, teraz z łysinką i brzuszkiem, i głos już nie taki... Mártha Eggerth też już nie czaruje. Opuzczałam teatr z uczuciem, że życie mija i my się starzejemy, ja też. Ale Ty, Córko, masz jeszcze wszystko przed sobą, więc chociaż żyj rozumnie, wykorzystuj mądrze każdy dzień, pamiętaj, co obiecywałaś...**

❖

Mama spaceruje tam i z powrotem po mieszkaniu, to już nie są

eleganckie ulice Wiednia, teraz tu nie może sobie znaleźć miejsca... przyjechała tylko przeze mnie i wszystko to jest moja wina.

W końcu nie mogę tego wytrzymać, wstaję. Torebka, klucze, jeszcze szybko zabieram ze stołu dwa zielone jabłka i już mnie nie ma, uciekam, zatrząskując za sobą drzwi.

Obiecuję sobie, że wrócę wcześniej, żeby się nie denerwowała, że później porozmawiamy i jakoś jej to wszystko wytłumaczę. Ale nie wracam wcześniej, w ogóle nie wracam na noc. W pokoju Lorda na poddaszu wszystko jest inne i nic nie jest ważne oprócz nas... Nie wiadomo kiedy zrobiła się noc, więc już wstawać nie było warto. Zostałam znowu do rana.

Nie spałam.

Wyobrażałam sobie, jak ona tam czeka, stoi w drzwiach, a w oczach ma smutek, rezygnację. Widziałam to wszystko i tym bardziej nie miałam siły wracać.

Moja mama nie rozumie, że niekiedy tracę poczucie czasu, że są chwile, kiedy czas się nie liczy – nie, ona na pewno tego nie rozumie...

Takie są nasze kolejne dni – wracam późno, zawsze mi się wydaje, że tym razem uda mi się bezszelestnie wsunąć do pokoju i do łóżka, tak żeby nie zauważyła, ale mama stoi przeważnie w przedpokoju przy drzwiach albo siedzi w kuchni przy stole, światło jest zapalone, żeby było widać, że nie spała... i tylko na mnie patrzy.

Dalej o niczym ważnym już nie rozmawiamy, a ona tylko mnie obserwuje.

Tak nam mijają dni, a właściwie to my się w nich mijamy. Mama jak zawsze co piątek czyści mosiężne klamki we wszystkich drzwiach, żeby pięknie błyszczały, gotuje rosół i piecze ciasto na niedzielę.

Ja coraz częściej wychodzę z domu, jeszcze zanim ona wróci z pracy.

Wracam coraz później, coraz niechętniej. Czasem czuję w sobie tylko zimno i chęć dokuczenia jej, zadania jej bólu.





czep jest na maso, n. f.  
calium, i wtedy biorę calium  
w pastylkach. - Teraz miem, dla-  
czego po skończeniu 60 lat idzie  
aż na rentę, - bo lepiej siebie  
i zupełnie zdrowi, zajmuję dużo  
czasu. - Wnioś tam o kurację  
do Tatjanausdorfa, jako mi  
dadze, to pojedę, miemiu  
jeszcze w lipcu czy sierpniu,  
jak mam ochotę, przepięknie też.  
No, zrob jakis itasto n. f.  
Limer torte b. satme i daj  
amać jak ci się udało. -

Mama

Kiedy wracam do domu, jeszcze w sieni, przed otwarciem drzwi, jeszcze z kluczami w ręku, zatrzymuję się na chwilę. Nagle robi mi się żal i siebie, i jej. Chciałabym wejść, wziąć ją za rękę, powiedzieć: mamusiu, nie gniewaj się, to wszystko nie ma z tobą nic wspólnego, ani z nami, to nie przeciw tobie, że jestem tam z nim, po prostu tam, w jego obecności, zapominam o wszystkim, nie potrafię inaczej. I wiesz, jeszcze się boję, że jeśli na chwilę odwrócę się od niego, nie będę uważna, to on przestanie się mną interesować, po prostu mnie porzuci, tyle przecież jest innych dziewcząt, sama wiesz. Więc muszę, naprawdę muszę tam być. Codziennie.

Zawsze.

Stoję przed drzwiami z kluczami w rękach, potem wchodzę do mieszkania. W przedpokoju u sufitu pali się żarówka, w jej świetle mama zwraca ku mnie twarz, napotykam jej wzrok karcący i pełen obaw i na ten widok wszystko we mnie znowu zamiera. Wiem, co by powiedziała, gdybyśmy zaczęły rozmawiać. To, co zawsze mówią dorośli: jesteś rozwiedziona, nieskromna i lekkomyślna, już nie pamiętasz, co przytrafiło się Sylwii?

Nie zapomniałam. Chociaż po pewnym czasie, jeśli człowiek stara się o coś nie myśleć i nie mówić, wtedy to się zaciera, jakby tego nie było...

A gdyby to, co Sylwii, zdarzyło się mnie? Przecież mamusia tego boi się najbardziej. No i tego, co ludzie powiedzą.

Takie mam poczucie, że mnie się to nie zdarzy, ale przecież nie jestem pewna. Nigdy o tym z Lordem nie rozmawiamy. Wstydzę się zapytać...

Jest noc i trzeba iść spać. Rozchodzimy się z mamą bez słowa. Słyszę skrzypienie tapczanu w kuchni, gdzie śpi ona, ja kładę się w moim pokoju, pod kolorowym kilimkiem, który już nie daje pocieszenia. Nastaje cisza, którą każda z nas wypełnia własnym milczeniem...

\*\*\*

Wiem, że nie potrafiłabym nikomu o tym opowiedzieć, gdyby to się zdarzyło... Nie ufam nikomu, zresztą nikt nie ma czasu, wszyscy są zajęci własnymi sprawami. Lena też.

Musiałabym to załatwić sama. Sama to przeżyć. Przeżyć i nie umrzeć. Zdobyć pieniądze, umówić się z lekarzem. Przede wszystkim muszę pilnować swojej twarzy, tego, jak wyglądam, co mówię, żeby nikomu się nie zdradzić. Bo wszyscy powiedzieliby: widzisz, po co ci to było, teraz radź sobie sama! To twoja wina! Nikt nie może o tym wiedzieć. Nawet Lena. Ona by rozgadała, zdradziłaby mnie przed mamą.

Już wiem, już się o tym przekonałam, że nikt nigdy nie potrafi zachować cudzej tajemnicy, może tylko swoją. Cudze tajemnice wydają się jakby nieważne i można się z nich nawet śmiać...

Wstanę więc wcześniej rano, trzeba starannie się umyć. I jaką wkłada się sukienkę, jeśli się nie wie, czy wróci się w niej żywym? Włożę porządną

bieliznę, bo może w niej umrę? Przecież czytałam, że tak może być. Jakiś krwotok czy coś... Pisali o tym w gazecie. Pisali, żeby nie chodzić do jakichś babek ani lekarzy, których się nie zna, ale to przeważnie na wsi, i że dziewczyna może się wykrwawić. Pójdę do lekarza, którego już znam, ale jeśli coś się nie uda? Wkładam sukienkę rozpinaną, bo tam trzeba się chyba rozebrać. No i potem ubrać. Nie wiem, kiedy byłam z Sylwią, to zaraz wyprosili mnie z gabinetu. Wychodzę w pośpiechu. Mówię mamie, że mam dziś wcześniej zajęcia.

– Nie zjesz czegoś, nie napijesz się? – pyta cicho i bez nadziei, że odpowiem.

Staram się nie patrzeć na nią, kiedy tak stoi w progu kuchni boso, w nocnej koszuli, z okularami na nosie. A gdybym tak powiedziała: chodź ze mną! Do lekarza poszłaby na pewno, ale ja nigdy, przenigdy nie mogę tego zrobić, ona by przecież zaraz dostała ataku serca i powiedziała: widzisz, do czego doprowadziłaś, nie mówiłam...

Pójdę powoli ulicami, nie za szybko, jakby tych parę chwil miało uratować mnie od tego, co mnie czeka... Mijają mnie ludzie brzydki – obojętni, śpieszący się nie wiem po co i nie wiem dokąd. Nie patrzą na mnie, nie wiedzą, że może za kilka chwil umrę i już mnie nie będzie, a oni nawet na mnie nie spojrzeli.

Lekarz sam otworzy drzwi. Znam go już, pielęgniarkę też. Tak bym chciała, żeby chociaż ona się do mnie uśmiechnęła i pottrzymała mnie za rękę, ale oboje się śpieszą. W gabinecie pachnie lekarstwami.

Moje nogi przypięte do fotela. Nie ruszać się. Zastryk.

– Proszę liczyć powoli do stu...

– Raz, dwa, trzy, cztery...

– Liczyć! Dalej liczyć – mówi lekarz, ale ja już go nie słyszę, odczytuję słowa z ruchu jego warg...

Liczyć! Liczyć! Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem... Liczenie jest coraz łatwiejsze, zamienia się jakby w śpiewanie... może ja śpiewam, tylko nikt o tym nie wie... Wielkie koła czerwone i niebieskie pojawiają się przed moimi oczami, kręcą się wolno, potem coraz szybciej, porywają mnie ze sobą, wielkie czerwone obręcze wciągają mnie w otchłań, ja... nie mogę... liczyć... Sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć... nie mogę, bo

spadam w głąb... czegoś.

– No, już! Panienko! Jak długo będziemy spać?! Wstawać, wstawać! Podnosić się. Czeka ją inni pacjenci. Szybciej!

– To już? Po wszystkim? – pytam, nie otwierając oczu.

– No tak! Już dawno, a pani ciągle śpi. A tu ludzie czekają. Nie jest pani jedyna! No, szybciej! Sukienka, buty! – pomagają mi wstać.

– To ja żyję? – pytam raz jeszcze, ale nie otrzymuję odpowiedzi.

Patrzę na moje bose nogi, ale ich nie poznaję, wkładam skarpetki i buty na te obce stopy.

– Niech pani zainkasuje pieniądze – mówi lekarz do pielęgniarki – i zamówi jej jakąś taksówkę, ja muszę lecieć do kliniki, już i tak jest późno.

\*\*\*

Leżę na tapczanie przykryta pledem, tym nowym, puszystym, w niebiesko-zieloną kratkę, który mama przywiozła z Wiednia. Boli mnie dół brzucha. Bardzo. Czuję się jak rozdarta na pół. Między podbrzuszem a resztą ciała jest jakby przepaść, a w tej przepaści pulsuje ból. Ale muszę to wytrzymać. Drżę na myśl, że będę musiała wstać.

– Przeziębiałaś się? – pyta mama chłodno.

Nie chce pokazać, że ją to obchodzi, przecież nie zasłużyłam na współczucie. Taka dziewczyna, która włóczy się po nocach...

– Masz gorączkę? Chcesz aspirynę?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Mam okres – dodaję cicho, na wypadek gdyby coś zobaczyła w łazience...

Czuję, jak cały czas wolniutko sączy się ze mnie krew, nie wiem, czy to jest normalne, czy to już krwotok... Ale cokolwiek to jest, muszę wytrzymać i nikt nie może się dowiedzieć. Budzę się rano, wstaję i zastanawiam się, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę, czy tylko w mojej głowie... Wiem tylko, że byłam sama, że przetrzymałam to i żyję...

\*\*\*

Zawsze w trudnych chwilach byłaś sama, droga Romo. Dziś już zdajesz sobie z tego sprawę.

Dziś, droga Romo, widzisz to wyraźnie. Dziś fala tej samotności powraca i już się cofnąć nie zdoła...

Ty zawsze tylko chciałaś załatwić sprawę – porządnie i uczciwie wykonać to, co dał ci do wykonania los, i zanim się spostrzegłaś, wyrosła przed tobą ściana, a ty osuwałaś się przed tą ścianą w mrok samotności – w ciemność...

Nie czas już dzisiaj wracać do wczorajszego cierpienia, które po prostu było.

Możesz sobie dziś wyobrazić, że szłaś na ten zabieg (tak się wówczas mówiło: zabieg, krótko i bez szczegółów). Możesz to sobie wyobrazić, a także i to, że byłaś sama.

Nie bądź głupia, mówiłaś wtedy do siebie, nie bądź głupia, to nic takiego. To zdarza się wszystkim.

Szłaś? A może zdarzyło się to tylko w twojej wyobraźni? Dziś nie ma to już jednak znaczenia.

Myślałaś o tym, myślałaś o tym każdego dnia, bez przerwy. Tak jak większość dziewczyn twojego pokolenia.

Jakie więc ma dziś znaczenie, czy zdarzyło się to naprawdę? Więc gdybyś tak poszła, na pewno poszłabyś sama. Nie umiałaś nikomu zaufać, nikomu powierzyć tajemnicy. Może to był twój lęk przed porażką, przed klęską? Póki przeżywasz coś sama, jest tak, jakby się to wcale nie wydarzyło. Nie musisz przeglądać się w oczach innych. Dopiero dziś chcesz być świadkiem swoich własnych spraw, dopiero dziś próbujesz się ze sobą rozliczyć.

Już wiesz, że nie warto się nad sobą litować, choć odrobina współczucia nie zaszkodzi, warto pamiętać... Może tym, co odróżnia cię od wielu ludzi, jest ta twoja pamięć – absolutna jak absolutny słuch.

Dziś wiesz, że niczego ze swojego życia nie zapomniałaś, nie dostałaś łaski szczęśliwego zapomnienia.

Ale może dzięki temu możesz teraz ze sobą rozmawiać – z tą dawną i tą dzisiejszą?



Na nic nie zdały się nigdy próby wyrzucenia czegoś z pamięci, musiałaś żyć z tymi powracającymi obrazami, z każdym wspomnieniem, które znienacka, nie wiadomo dlaczego, pojawiało się przed oczami.

Śmierć twojego ukochanego psa, wiele lat później. Bardzo go kochałaś – nawet dziś, po latach, nie jesteś w stanie opisać jak bardzo; nawet dziś, kiedy próbujesz, masz w gardle szloch i ból, nad którym trudno zapanować.

Kiedy zmarł, kupiłaś mu miejsce na spokojnym, pięknym cmentarzu (żyłaś wtedy w kraju, w którym coś takiego było możliwe) i porządną trumnę.

Szłaś potem za tą trumną sama w mroźny styczniowy dzień – nikt ci nie towarzyszył, nie trzymał cię za rękę, padał drobny śnieg, trwało to wszystko strasznie długo, bo ziemia była zamarznięta.

Wróciłaś sama do domu. Usiadłaś potem w pustym pokoju na kanapie, patrzyłaś na lodówkę, gdzie jeszcze zostało jedzenie dla niego. Myślałaś o tym, że już nigdy nie otworzysz tej lodówki i ty sama już nigdy nie będziesz nic jeść. Myślałaś o tym, jak bardzo go kochałaś i że już go nie ma i nigdy nie będzie... I znowu coś się zamknęło w twoim życiu.

Ten dzień jest dzisiaj i będzie zawsze takim symbolem twojej samotności...

Ale już wtedy, kiedy miałaś osiemnaście lat, wiedziałaś, przeczuwałaś, że tak będzie, bo nigdy nie będziesz umiała powiedzieć nikomu: pomóż. I może dlatego nikt ci nigdy nie pomógł...

\*\*\*

Od razu, kiedy weszłam, usłyszałam od progu donośny głos cioci Eli. Siedziały z mamą w pokoju i rozmawiały. Ciocia Ela jest przyjaciółką mamy jeszcze z czasów wojny, kiedy ukrywałyśmy się razem przed Niemcami. Była wtedy wesoła, pogodna, bawiła się ze mną i często pocieszała mamę w kłopotach. Jeszcze teraz co i raz się widują, ale ja już jej nie lubię, bo zawsze, w każdej sprawie, bierze stronę mamy, a nie moją.



Tym razem też dochodzi do mnie jej oskarżycielski ton:

– Słyszałaś? Już zaczynają w mieście opowiadać, że twoja córka wodzi się z tym Wieśkiem. Mówią, że to pijak i nicpoń, studia rzucił, nie wiadomo, z czego żyje... niby z dobrej rodziny, a tylko po knajpach...

Stoję w przedpokoju, wstrzymuję oddech, stoję, słucham...

– No i co ty na to wszystko, Tosiu? Takie nieszczęście! Czyś ty na to zasłużyła? Zawsze była twoim oczkiem w głowie.

Mama odpowiada coś, czego nie dosłyszałam, coś szepcze...

– Ja uważam... – słyszę znów głos Eli – powinnaś to przerwać, przecież oni są jeszcze smarkacze. A zresztą, czy to jest człowiek dla żydowskiej dziewczyny, która wojnę przeżyła?

– To co ja mam zrobić, powiedz mi, na miłość boską... jak ja mam – mamusia chyba zaczyna płakać.

– Poczekaj Tosiu, poczekaj. Mówisz, że to tak daleko już zaszło... To może lepiej niech weźmie w końcu ślub, niż gdyby miała mieć nieślubne dziecko... Wiesz, jak to dzisiaj jest. Czy ty ją w ogóle uświadomiłaś? Czy ona wie, czym to wszystko grozi...

– Uświadomiłaś?! – moja mama śmieje się gorzko. Chyba jednak nie płacze. A tego zawsze się boję. – Z nią o niczym nie da się rozmawiać, ja przecież zawsze chciałam być dla niej jak przyjaciel, a ona widzi we mnie wroga... te dzieci teraz, po wojnie, wszystkie jakieś dziwne i rozwydrzone...

– No, nie przejmuj się, ja też w jej wieku – ciocia Ela zniża głos – zachowywałam się jak szalona! A potem wyszłam za mąż i wszystko się ułożyło. Słuchaj. Może ty byś ją za granicę wysłała? Do Izraela na przykład. Ładna to ona jest, szybko tam kogoś pozna, wyjdzie za mąż...

– A co to Romeczka tak stoi w przedpokoju? – słyszę za plecami głos Maryni, która właśnie wchodzi i głośno brzęczy kluczami.

Otwieram więc drzwi pokoju, grzecznie witam się z ciocią Elą.

– A co tam u ciebie, Romeczko, jak na studiach? – pyta słodko. Wszystko dobrze?

– Tak ciociu, wszystko.

\*\*\*

Rzadko teraz spotykam Lenę, pochłaniają ją jej sprawy: ćwiczenia, koncerty, jeździ do Warszawy do swojego profesora, bardzo ważnego. Szalenie jest przejęta tymi lekcjami.

Dziś, kiedy przechodzę koło szkoły muzycznej, po prostu na nią wpadam. Siadamy na chwilę na ławeczce obok wejścia, przez otwarte okna słysząc dźwięki. Muzyka z różnych instrumentów maluje linie w powietrzu... jakby gałęzie drzewa... Słuchamy przez chwilę, potem Lena kładzie mi rękę na ramieniu.

– No co? Ciągłe chodzisz z tym twoim hrabią? – pyta żartobliwie. – Jesteś szczęśliwa? – dodaje już poważniej.

Staję, zaskoczona, przed jej pytaniem jak przed zamkniętą bramą... Nigdy się nie zastanawiałam, czy jestem szczęśliwa, nigdy nie myślałam, że mam szukać czegoś takiego jak szczęście. I co to właściwie jest.

Mama patrzy na mnie każdego dnia smutnymi oczami, jakby wszystko to, co się ze mną dzieje, było wielkim nieszczęściem.

Jakże ja mogę być szczęśliwa, kiedy wszystko, co robię, jest złe?

– Ale on cię kocha, co? – chce jeszcze wiedzieć Lena.

– Czy mnie kocha? Nigdy mi tego nie powiedział...

– No, nie martw się, jakoś to będzie – Lena klepie mnie po ramieniu. – Ja też jeszcze nie znalazłam prawdziwego narzeczonego, ale to nic. Facetów trzeba mieć dużo, zanim się trafi na tego właściwego – uśmiecha się tak, że nie wiem, czy żartuje, czy mówi poważnie. Ona już taka jest.

Chcę też odpowiedzieć jakimś żartem – nie umiem, milczę, macham ręką na pożegnanie i już się rozstajemy. Jakoś nie potrafię teraz rozmawiać nawet z przyjaciółką. Wydaje mi się, że wszyscy ludzie, oprócz Lorda, mówią nagle obcym, niezrozumiałym dla mnie językiem..

\*\*\*

Nadchodzą moje urodziny. W zeszłym roku, pamiętam to jeszcze dobrze, dostałam piękny złoty wisiołek z brylancikiem, do tego eleganckie, aksamitne pudełko, a w pudełku był po prostu klucz od bramy. „Żebyś już nie musiała dzwonić na dozorczynię i mogła przychodzić, kiedy chcesz”,

powiedziała wtedy mama z uśmiechem. To było w zeszłym roku, a teraz już wcale nie jest zadowolona z tego, że przychodzę, kiedy chcę...

Tego dnia mama pojawia się w pokoju z takim specjalnym wyrazem twarzy, który znam i który wskazuje, że bardzo chce być miła...

– To może zaprosz tego „twojego znajomego” do nas na herbatę, co? Chciałabym jednak go poznać...

Z niepokoju aż wstrzymuję oddech, jestem przerażona. A co będzie, jeśli on nie zechce... on nie jest człowiekiem, któremu można tak po prostu coś nakazać. Jest uparty...

Tymczasem Lord przyjmuje zaproszenie spokojnie i pogodnie, jakby to było coś oczywistego. Wkłada swoją najlepszą koszulę, angielski krawat, kupuje kwiaty. Punktualnie dzwoni do drzwi, nie spóźnia się jak zwykle. Mama jest zaskoczona, ale zadowolona, widać, że całkiem inaczej go sobie wyobrażała... Ja tylko siedzę sztywno przy stole i wpijam palce w oparcie krzesła...

Bardzo bałam się pokazać mu nasze mieszkanie, cały czas tego unikałam, ciemne, ciasne i takie jakieś „mieszczkańskie”, bałam się zabrać go tutaj i teraz wydaje mi się, że Lord tu u nas, przy naszym stole nakrytym szydełkowaną serwetą, traci jakby swój czar i blask.

Rozmawiam z mamą sympatycznie i miło i to tylko ja nie czuję się tu dobrze. Nagle czuję się obca – tak samo jej, jak i jemu. Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili wcale nie chcę, żeby ona go lubiła, żeby on był w jej świecie. Ja bym chciała, żeby był tylko w moim, i nie chcę, żeby ktoś mnie rozumiał. Nie chcę rozumieć nawet sama siebie.

Lord wie, kiedy się pożegnać, po godzinie wstaje, kłania się elegancko i całuje mamę w rękę.

– Nie było tak źle – szepcze mi na ucho, kiedy odprowadzam go do przedpokoju. Całuje mnie w policzek na pożegnanie, a ja wyczuwam lekki zapach alkoholu... – No, strzeliłem sobie kielicha dla kurazu, ale udało się, co? – puszcza do mnie oko.

Wracam do pokoju, gdzie mama, uprzejmie uśmiechnięta i zadowolona, sprząta filiżanki po herbacie. Minę ma uroczystą, jakby ciągle jeszcze był tu nasz gość.

– Nawet kulturalny człowiek – mówi. – Widać tę kindersztubę, choć

pachniał alkoholem, nie czułaś? No, ale może mi się zdawało – dodaje pojednawczo na widok mojej przerażonej miny. – Ale czekaj, czekaj, nie dostałaś jeszcze głównego prezentu – uroczyście sadza mnie z powrotem przy stole i sama siada naprzeciw. Wyciąga z torebki kopertę, a z niej jakieś papiery...

Okazuje się, że mam jechać za granicę. Niedługo – teraz – zaraz. W kopercie są bilety na statek i samolot... Mama ciułała w tajemnicy, zbierała dolary, będąc w Wiedniu, wiem, że odmawiała sobie wszystkiego. I teraz leżą te przez nią uciulane grosze w postaci biletów lotniczych, kolorowych kartoników z pięknymi nadrukami, i zapraszają mnie w inny świat. Tylko czy ja chcę tam być? I co powie Lord? Mam pojechać do Izraela. Najpierw do Włoch i dalej statkiem. Wracać będę przez Paryż i Rzym. Mam się zatrzymać w Izraelu u cioci i wujka, a w Paryżu u dalekiej kuzynki, która nazywa się Mimi (czy jakoś podobnie). Mama gorliwie z nimi wszystkimi w tej sprawie korespondowała. Spada to na mnie jak gwałtowny wiatr, jak złoty deszcz, którego wcale się nie spodziewałam.

Nie mogę nigdzie wyjechać, bo muszę być z nim. Przecież jak go opuszczę, to na pewno jakaś inna zajmie moje miejsce. Wiem, że muszę odmówić, a nie potrafię i tylko czuję, jak kręci mi się w głowie. Siedzimy naprzeciw siebie w ciszy – a ona patrzy na mnie w oczekiwaniu...

Nie chcę nigdzie jechać! Jak mam jej powiedzieć, że nie pojedę?... Nie teraz! Za skarby świata!

\*\*\*

Nie chcieli pozwolić, żeby Lord odwiózł mnie pociągiem do Zebrzydowic, do granicy. Mama zrywała się i robiła cierpiętnicze miny, wznosiła oczy w górę, a ja i tak byłam zdenerwowana do nieprzytomności przed podróżą. W końcu wujek załagodził sprawę: daj spokój, Tosiu, niech już ją odprowadzi, byle zdrowo wyjechała...

Zdrowa czy nie, oni już bardzo chcieli, żebym pojechała i najlepiej wcale nie wracała, została tam na zawsze.

Był ze mną na peronie o świcie, w jesiennym deszczu... Stał z podniesionym kołnierzem swojego burberry, widziałam, jak z zimna

czerwienieją mu policzki i dłonie. Stał jeszcze, kiedy pociąg odjeżdżał, wycierał sobie chustką twarz, po której spływał deszcz, potem jeszcze machał tą chustką długo na pożegnanie... i tak go zapamiętałam.

Obiecaliśmy do siebie pisać, oczywiście.

Dostawałam potem listy w tym jego ironicznym, trochę żartobliwym stylu, ale i tak rozumiałam, że tęskni.

\*\*\*

Lotnisko w Rzymie jest wielkie i puste. W pierwszy dzień świąt nie ma tu prawie wcale ruchu, kilku może zagubionych podróżnych, jakieś osoby z obsługi i ja. I dwaj strażnicy z karabinami, którzy mnie pilnują.

Jestem sama.

Dostałam od miłej stewardesy papier i ołówek. „Może napiszesz list? Albo coś narysuj”, powiedziała, uśmiechając się ciepło, widziała, że się nudzę.

Więc tylko tak notuję. Mam teraz czas, żeby wszystko sobie przypomnieć.

Przyleciałam z Paryża o kilka dni za późno, w samą Wigilię, nie mogłam się rozstać z tym miastem pełnym czarów i kolorów. Wciąż było tyle miejsc, które chciałam zobaczyć. Zostanę jeszcze kilka dni, pomyślałam, cóż to szkodzi. Nawet nie spojrzałam na paszport ani wizę, nie znam się na tym, nie znam się jeszcze na podróżowaniu. Nie martwiłam się, wszyscy dotąd byli dla mnie mili, szczególnie panowie, jakbym była ich dobrą znajomą, jakbyśmy się znali z Krakowa. Wszyscy zdawali się cieszyć, że przyjechałam, że tak sobie podróżuję.

W Rzymie tymczasem celnik przy przejściu długo oglądał mój paszport, odwracał go w różne strony i z dezaprobatą kiwał głową, potem zawołał kolegę, potem stewardesę. Zrobiło się zamieszanie. Mówili do mnie w różnych językach, próbowali coś wytłumaczyć, dyskutowali głośno nad moją głową, a ja stałam pomiędzy nimi i nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Znałam tylko trochę francuski, pojęłam w końcu, że moja wiza jest już nieważna, że nie powinni mnie byli w ogóle w Paryżu wpuścić do samolotu i że teraz nie wiadomo, co ze mną zrobić. Jestem więc tu nielegalnie i nie mogę pojechać do miasta. A ja chciałam zobaczyć Rzym.

I co teraz będzie?

Panowie długo się naradzali, a stewardesa klepała mnie przyjaźnie po ramieniu, żebym się nie martwiła, ale jednocześnie pilnowała, żebym nie uciekła. Nie martwiłam się, na razie podobało mi się na lotnisku. Zrozumiałam, że próbują się połączyć telefonicznie z polskim konsulem, ale w noc wigilijną był tam tylko strażnik: „Pana konsula nie ma, będzie po świętach, po świętach!”, krzyczał po polsku tak, że nawet ja go słyszałam.

Zostałam więc na lotnisku. To była nie tylko moja wina, ktoś czegoś nie zauważył, wytłumaczyli mi więc, że linie lotnicze teraz wszystkim się zajmą. Konsulat zgłosi się po mnie na pewno, tylko nie wiadomo kiedy. Dostałam takie bony, jakby kartki żywnościowe, mogłam sobie z baru wybierać, co chciałam, do jedzenia. Były tam głównie napoje i kanapki. Jadłam więc te kanapki, nawet dobre, z salami, z szynką, z serem, i piłam kolorowe soczki. Chodziłam po pustych halach po błyszczącej posadzce, oglądałam biżuterię, kosmetyki w szklanych gablotach. W środku głównej hali stała ogromna, pięknie ubrana choinka obsypana lametą, lśniąca od złota. Bardzo mnie pocieszyła, no bo skoro była choinka, to były święta, dla mnie też.

Na noc rozłożyli mi w jednym z biurowych pokoi składane łóżko, dali poduszkę, koc tak jak w samolocie. Pilnowało mnie dwóch strażników w mundurach i z bronią. Próbowałam im tłumaczyć, że mogą sobie pójść, że nigdzie nie ucieknę, że mi się tu nawet podoba. Nie rozumieli. Chodzili za mną krok w krok, do łazienki też, także w nocy. Bardzo to było śmieszne, ja bosa, zaspana, w kusej koszulce i oni wędrujący za mną po korytarzach aż do drzwi toalety. Siadali na krzeselkach i cierpliwie czekali.

Rano dostałam znów kanapki, sok i kawę z pianką. Próbowałam trochę flirtować z barmanem, ale był starszy i zaspany, nie taki jak ten na statku do Izraela...

Potem pojawiła się moja stewardesa. Usiadła przy mnie i rozmawiałyśmy przez chwilę.

– Mam na imię Julia – powiedziała – a ty?

– Roma.

– Roma? Naprawdę? Bardzo zabawne.

Polubiła mnie pewnie przez to imię. Jakoś udawało nam się porozumieć.

Na koniec dała mi przybory do pisania i jakieś kolorowe kredki, które daje się dzieciom. Potem wróciła i podarowała mi jeszcze piękny breloczek z pozytywką grającą melodie Mozarta. Powiedziała, że wpadnie później, i odpłynęła na swoich pięknych czerwonych szpilkach do innych zajęć.

Siedzę więc w pustej lotniskowej hali blisko choinki, z głośników płyną kolędy. Nie ma ludzi, tylko ze ścian patrzą na mnie wielkie kolorowe plakaty: ośnieżone góry, błękitne morze, jasne, ciepłe plaże... Ja też tam byłam...

Wenecja wydała mi się snem.

Ocknęłam się dopiero na statku do Izraela...

\*\*\*

Wenecja jest snem, Romo. Będiesz do niej wracać w dorosłym życiu. Ten sen będzie się powtarzał – przyjeżdżać tu, wracać w różnych czasach, w różnych nastrojach; szczęśliwa lub zmęczona, bogata czy biedna, no, raczej zawsze biedna, nigdy tak bogata, by pogрузić się w jej staroświeckim, trochę filmowym luksusie, spać w wielkim hotelu w łóżu z baldachimem, zamawiać w środku nocy gondolę... płynąć nią z kimś w świetle księżycy...

Pamiętasz nocną Wenecję? Tym razem przyjechałaś tu z twoim małym synkiem, niosłaś go uśpionego, zmęczonego upałem przez plac św. Marka, a jego złote włosy rozsypywały ci się na ramieniu. I oczywiście świecił księżyc.

Zawsze marzyłaś, że przyjedziesz tu z ukochanym i pokażesz mu cuda tego miejsca. Ale to się nie spełniło, nie przeżyłaś w Wenecji żadnych miłosnych uniesień, choć ciągle jeszcze nie przestajesz o tym myśleć.

Od dawna już wiesz, że marzenia nie spełniają się prawie nigdy, i nawet ci to nie przeszkadza. Marzenia są nie po to, żeby się spełniać, tylko żebyśmy od czasu do czasu wymieniali je na nowe...

Ale dobrze. Już ci nie przeszkadzam. Opowiadaj o tej swojej wielkiej młodzięcej podróży. Niewiele z niej zapamiętałaś, został ci w głowie chaos i tych kilka obrazów zamiast kolorowych



zdjęć, których wtedy nie robiono zbyt często.  
Tylko tych kilka obrazów.

\*\*\*

Statek jest sam dla siebie całym światem, zamknięty, oddzielony niezmierną zieloną przestrzenią wody. Jest jak małe miasto, gdzie ludzie śpią, jedzą, bawią się, robią zakupy. Lubię to miasteczko, lubię tu być. Płyniemy powoli, majestatycznie w pełnym słońcu, między zielenią a błękitem.

Wędruję po pokładach wśród rozłożonych leżaków. Na każdym leży niebieski kocyk.

Najwyższy, górny pokład to pierwsza klasa, tu mi się najbardziej podoba. Mój to klasa druga, piętro niżej, mam kajutę w głębi statku, ciasną i duszną, dzielę ją z grubą starszą kobietą z Polski, która wodzi za mną oczami, śmieje się jakoś złowrogo i kojarzy mi się z wojną. Zdaje mi się, że ją wtedy już gdzieś spotkałam. Ale może mi się wydaje, może tylko przypomina mi różne znajome mojej mamy. One też patrzą na mnie tak krytycznie, mówią, że jestem za chuda, mam za małe piersi i zbyt modnie się ubieram... i wszystko to mają mi za złe.



Tej pani także wyraźnie przeszkadzam, a ona mnie. Uciekam więc na zewnątrz, najczęściej jak mogę. Przebieram się tylko, wkładam obcisłe czarne spodnie rybaczeki, białą bluzkę bez rękawów, przeciwsłoneczne okulary i już mnie nie ma. Wieczorami staram się wracać do kajuty jak najpóźniej – ona zaś mości się długo na piętrowym łóżku, które nazywa się koja, a potem jęczy i wzdycha całą noc.

Na górnym pokładzie odkrywam przepiękny barek. Białe na tle niebieskiego nieba, na półkach mienią się w słońcu kolorowe butelki i kieliszki. Kusi zapachem kawy i pomarańczy.

– Tu jest pierwsza klasa – upomina mnie przechodzący obok steward w mundurze przypominającym mundur generała, ale ja się tym nie przejmuję i uśmiecham się do niego z wysokości barowego stołka. Jestem tu codziennie...

Barman ma na imię Aurelio, ma czarne, gładko zaczesane włosy, ubrany

jest w białą koszulę i kamizelkę w paski, w wycięciu koszuli widać, jak bardzo jest opalony. Powoli sączę jakiś tęczy napój, postawił go przede mną, nawet nie pytając, nazwy nie znam, smakuje owocami, trochę alkoholem, a może trochę wiatrem i słońcem. Czuję się jak gwiazda filmowa, poprawiam ciemne okulary i usiłuję być tajemnicza. Rozmawiamy z barmanem, znam już trochę włoskich słów, długo nie chciał uwierzyć, że mam na imię Roma. „To ja jestem Neapol”, żartował, ale w końcu go przekonałam. Najczęściej jednak rozmawiamy na migi, co nie jest trudne, uśmiech ma piękny, białe zęby i dołeczki w policzkach, więc wszystko mogę wyczytać z jego twarzy...

Rysuję z nudów i dla zabawy na serwetkach – postaci kobiece, akty, takie jak rysowaliśmy na Akademii – a barmanowi bardzo się te rysunki podobają; kiedy odchodzę, składa je starannie i chowa do kieszeni. „Przyjdiesz jutro?”, pyta. „Ależ oczywiście, *volontieri...*”, tego słowa też już się nauczyłam. Rozpoczyna się między nami swoista gra. Ja rysuję postaci kobiece, skąpo ubrane, którymi zachwyca się Aurelio, on częstuje mnie coraz to nowymi koktajlami o egzotycznych nazwach i smakach. Później orientuję się, że nie tylko obrazki mu się podobają. Podczas kiedy rysuję, bezczelnie zagląda mi w dekolt, a ja udaję, że tego nie widzę, przecież to tylko zabawa, na tym statku wszystko jest zabawą.

Chwilami Aurelio poważnieje i patrzy na mnie czarnymi, okrągłymi oczami spod gęstych brwi...

– Masz narzeczonego? – pyta.

– Narzeczonego? Nie... – Lord jest przecież tak daleko... i wcale nie wiem, czy jest moim narzeczonym.

– To może spotkamy się na lądzie, bo ja w Izraelu będę miał czas...

W Izraelu? W Izraelu ja nie będę miała czasu, to wiem na pewno.

Po obiedzie lubię siadać z książką na dziobie i patrzeć, jak statek rozgarnia fale, rozbija srebrzystą pianę, patrzeć i marzyć... Książka przeważnie pozostaje nieotwarta, a ja mogłabym tak siedzieć godzinami.

*Navigare necesse est – vivere non est necesse*, takie słowa napisał mi ktoś dawno temu w pamiętniku. Teraz dopiero rozumiem ich sens.

Płyniemy, a ja po prostu cieszę się tym, że płyniemy...

Czasem spotykam się z amerykańskimi chłopcami. Zauważyłam ich zaraz

pierwszego dnia, spora hałaśliwa grupa studentów, jadą zwiedzać Izrael. Trochę rozmawiamy, wieczorami nawet tańczymy, ale kiedy robi się zbyt wesoło, wiem, że zaraz będą chcieli mnie obejmować, dotykać, uciekam.

Wszystko w nich jest takie obce, ich głosy, śmiech, wygląd, jakby byli przybyszami z innej planety. Z jednym z nich w końcu prawie się zaprzyjaźniłam. Jasny blondyn, ładnie ubrany, wiecznie uśmiechnięty... Kilka razy udaje mu się namówić mnie na spacer po pokładzie przy księżycu... Rozmawiamy po francusku, on zna parę słów, ja też, może trochę więcej.

Ostatniego wieczoru stoimy na dziobie oparci o burtę, z głębi statku słysząc muzykę, niebo nad nami migocze, a chłopak uroczystym, wzruszonym głosem długo mi coś tłumaczy... nie wszystko do mnie dociera, ale rozumiem z tego, że chciałby się ożenić, i to właśnie ze mną... i że już to sobie ułożył i zaplanował. Będziemy mieszkać w jego rodzinnym miasteczku, w małym domku, który on dla nas kupi, *le petit village*... I będziemy mieć dużo dzieci, dodaje, pokazuje mi na palcach: raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Wzdycham. Miły amerykański chłopak. Kiedy go słyszę, wyobrażam sobie to wszystko i to, co będzie dalej – miasteczko, domek i te skaczące wokół nas pięcioro dzieci... i już na samą myśl chce mi się krzyczeć.

Jest ładny, pewnie dobry, serdeczny i miły. Gdyby powiedział, że jest nieszczęśliwy, że szuka go policja, że mam mu pomóc, zrobiłabym to bez wahania, ukryłabym go w mojej kabinie, nawet gdyby mieli mnie za to zastrzelić. Gdyby wypadł za burtę i tonał, wskoczyłabym do morza, choć nie umiem pływać. Gdyby mnie namawiał, żebyśmy razem zrobili coś szalonego, to może nawet mogłabym go pokochać... ale domek i pięcioro dzieci... nigdy.



Następnego ranka zbliżamy się do portu. Jestem opalona, wypoczęta, nakarmiona powietrzem i słońcem, pełna muzyki, której słuchałam, lekka. Na głowie mam słomkowy kapelusz kupiony w Wenecji – jestem gotowa na Izrael.

W porcie w Hajfie czekają na mnie mój stary wujek Mittelman, jego żona Berta i Róża, ich córka. Wujek Mittelman, dobry żydowski doktor, całe życie mieszkał w Dąbrowie Górniczej. Ostatnio coraz częściej słyszał w swoim miasteczku, że jest Żydem i nie powinien tu mieszkać. Niedawno z rodziną wyemigrował do Izraela.

Stoją teraz w gronie czekających i machają do mnie serdecznie.

Już na początku popełniłam gafę – niecierpliwa i pełna tęsknoty, krzyczę do nich przez tłum: przywiozłam wam prezenty, niektóre nawet przemyciłam!

Te przemyczone to ich własne kosztowności: jakieś kolczyki cioci, stary zegarek wujka z dewizką, złote monety, zostawili je u nas, a ja je przemyciłam, bo nie wolno przywozić złota...

– Mam wszystko, nikt nie widział! – krzyczę, a oni, przerażeni, pokazują mi zamknięte usta.

– Czy ty oszalałaś? – mówią później, kiedy już się witamy. – Przecież tu co drugi człowiek mówi po polsku, celnicy też.

\*\*\*

Jeszcze tego wieczoru prowadzą mnie na spotkanie krakowiaków. W jakiejś salce restauracyjnej, przy długim stole, siedzą przeważnie starsi ludzie, znowu znane mi twarze, takie ciocie i wujkowie. Wszyscy mówią po polsku. To są Żydzi z Krakowa, niektórzy wyjechali jeszcze przed wojną, ale większość zaraz po wojnie, kiedy poczuli, że nie znajdą tam już domu, i teraz strasznie tęsknią. Każą sobie w nieskończoność opowiadać o Rynku, o ulicy Sławkowskiej... Czy w Templu jeszcze się modlą? I czy mieszka jeszcze w mieście ta poetka, no, jak ona się nazywała... a potem głaszczą mnie po głowie i przytulają, dotykają, tylko dlatego że jestem z Krakowa.

\*\*\*

Wujostwo żyją bardzo skromnie. Mieszkanie mają małe, w nowym betonowym bloku, okna wychodzą na piaski pustyni. Wujek codziennie rano wstaje wcześnie i brnie z ciężką torbą przez te piaski do szpitala, gdzie leczy swoich chorych. Najczęściej starych i biednych takich jak on, z Polski. „Jestem za stary Romeczko, żeby zaczynać od nowa”, mówi czasem wieczorem, zrzuciwszy buty z opuchniętych stóp. Ale to są jedyne słowa skargi, jakie od niego słyszę. Róża też pracuje w szpitalu. Ciocia Berta gotuje, pierze, sprząta. A ja jej teraz trochę pomagam. Gotujemy przeważnie jarzyny, przyprawiamy je egzotycznie, po izraelsku.

– Popatrz, jakie piękne bakłażany – mówi ciocia. – Jadłaś kiedyś bakłażany?

– Nie. Wyglądają dziwnie. Takie fioletowe...

– Smakują zupełnie jak mięso! Trzeba tylko dać dużo czosnku. Naprawdę, zupełnie jak mięso. Spróbuj.

Potem dopiero, po kilku dniach, orientuję się, że na mięso po prostu ich nie stać. Tutaj wszystko jest bardzo drogie, nic prawie nie rośnie, wszędzie

wokół pustynia. I ludzie tu muszą bardzo ciężko pracować, a przybysze z Polski są nieprzyzwyczajeni do klimatu.

– Przez trzy miesiące w roku leje się na nas, a przez resztę roku leje się z nas... – żartują.

Jedziemy do Jerozolimy. Całe miasto podzielone jest drutami kolczastymi na korytarze, po których wolno chodzić, gdzie indziej jest bardzo niebezpiecznie. Ciocia i wujek denerwują się, bo ja wszędzie chcę wejść i wszystko zwiedzać, a tu nie wolno.

Wracamy. Nie chcę być u nich za długo, nie mogę, bo wiem, że ciasno i mają mało pieniędzy... Są tacy dobrzy. Ciocia codziennie nakrywa dla mnie specjalnie do śniadania: przekrojony grejpfrut, sok z pomarańczy, jakieś serki, jajka, miód i koniecznie śledzik (polscy Żydzi w Izraelu uwielbiają śledzie). „Jedz, Romeczko – namawia – musisz być zdrowa i silna...”

Ale ja już teraz jestem silna, tak mi się przynajmniej wydaje. Żał mi się z nimi rozstawać, ale postanawiam zwiedzać Izrael na własną rękę. Niedługo muszę wracać. Na odjeźdźnym dostaję od nich prezent: wykupili dla mnie wycieczkę po pustyni, wynajętą taksówką, w towarzystwie kilku pań. Panie, trzy starsze Angielki o skrzekliwych głosach, cały czas kaszlą i kichają albo piją herbatę z termosów. Denerwują mnie okropnie...

Wreszcie, podczas postoju, po prostu im się gubię. Niech sobie jada beze mnie. Idę przed siebie po piasku wśród wielkich kaktusów. Dokądś w końcu dojdę.

Potem jest noc na pustyni. Zobaczyłam kilka domków, jeszcze niewykończonych, jakiegoś nowego osiedla. Wchodzę po prostu przez niedomknięte okno do jednego z nich. Znajduję kawałek świeczki. Zapałki mam. Zawsze mam w torebce papierosy i zapałki, choć nie lubię palić, ale noszę je i czasem zapalam papierosa, żeby wydać się interesująca. Siedziałam długo przy tej świeczce, nie mogłam spać. Słuchałam wycia hien, a może to były kojoty? Nasłuchiwałam też, czy nie zaszeleszczą ludzkie kroki, sama nie wiem, czy naprawdę się bałam. Poznałam tej nocy smak przygody, podszytej lękiem samotności. Czy taka zawsze jest przygoda?

Może tu umrę na tej pustyni – przyszło mi do głowy – a może ktoś się



zjawi i mnie uratuje? Ciekawe kto. A jeśli zrobi mi coś złego? Trochę się bałam, ale też czułam jak nigdy dotąd, że potrafię sama sobie poradzić, naprawdę sama.

Położyłam się na gołej podłodze i patrząc przez okno na ogromne niebo pełne gwiazd, myślałam o tym, że może całe to dorosłe życie to jest taki pusty domek na pustyni, wśród wycia hien i śmiechu kojotów... i że ono się dla mnie teraz zaczyna.

Następnego ranka budzę się zwinięta w kłębek na drewnianej podłodze domku. Przez okna wlewa się jasne światło dnia. Staję w otwartych drzwiach, przede mną żółto-brązowa, nieskończona, pusta przestrzeń.

Po chwili widzę przejeżdżający obok wojskowy samochód, na mój widok zatrzymuje się, a z wnętrza wyskakuje żołnierz. Młody, w rozpiętej koszuli khaki, opalony. Obrzuca mnie nieufnym spojrzeniem, ale potem się uśmiecha. Wdajemy się w rozmowę, mówi niezłe po polsku, jego mama pochodzi z Lublina.

– Zwiedzasz pustynię? Sama? – dziwi się. – Ile ty właściwie masz lat? Osiemnaście? No, to odważnie... Odwiozę cię do miasteczka, tu przecież nie możesz zostać – proponuje, a ja chętnie gramolę się do jeepa. – Mam na imię Josi – mówi, podając mi rękę.

Jedziemy przez żółte piaski, pośród wyschniętych kaktusów, pod gorącym, rozpalonym już od rana słońcem. Rozmawiamy.

– Od dziewiętnastego roku życia jestem żołnierzem – mówi. – Tu się urodziłem, chłopcy wtedy od razu szli do wojska. To się nazywało *hagana*, musimy bronić naszej ziemi... Rodzice przyjechali przed wojną, jeszcze jako dzieci. Uciekli z domu, z Polski, żeby tworzyć państwo Izrael. Kiedy wyjeżdżali, mama miała czternaście lat, ojciec siedemnaście...

Patrzę na niego z boku, widzę, że mimo młodego wieku ma na twarzy wypalone przez słońce zmarszczki i siwe włosy na skroniach... on też należy do świata dorosłych, którzy mają swoje dorosłe poważne sprawy, a ja pewnie ich nie rozumiem... Tymczasem Josi nie traci pogody ducha, pogwizduje, zręcznie prowadząc samochód przez wertepy.

– Wiesz co? – mówi nagle. – Mam trochę czasu, pokażę ci beduinów. Chcesz?

– Pewnie, że chcę! A kim są beduini?

– To tacy Arabowie koczownicy, wędrują po pustyni. Ale ci są z nami w przyjaźni. Handlujemy.

Po chwili widzę już czarne namioty.

– Tak, to oni – Josi wyskakuje z wozu i pomaga mi wysiąść.

Na nasz widok pojawia się kilku mężczyzn, czarnowłosych, o ciemnych, groźnych twarzach, ubranych w długie białe suknie. Za nimi w pewnym oddaleniu grupka bardzo biednie wyglądających kobiet i dzieci. Mężczyźni zapraszają do największego z namiotów.

– Nie bój się – Josi kładzie mi rękę na ramieniu, kiedy waham się na progu. – Ja ich znam. Dostaniemy kawę...

Namiot jest wyłożony miękkimi kolorowymi dywanami i pusty. Siedzimy na tych dywanach w kucki, po jednej stronie oni, po drugiej my. Rozmawiają z Josim po hebrajsku, a może to jest arabski, nie wiem, głośno i szybko. Głosy mają chrapliwe, charczące jakby, twarze mroczne. Trochę się jednak lękam, nie wiem dokładnie czego. Kobiety zostały na zewnątrz, kilka z nich tłoczy się przy wejściu, popychają się nawzajem i patrzą na nas ciekawie. Jedna przynosi na tacy kawę w złoconych szklaneczkach, nie wchodzi jednak do namiotu, tylko podaje tacę siedzącemu najbliżej mężczyźnie. Kawa jest mocna, pachnie goździkami i jeszcze jakimiś przyprawami, których nie znam. Tak mocnej kawy nigdy dotąd nie piłam... Serce zaczyna mi mocniej bić, a jednocześnie czuję się dziwnie lekka... Tymczasem Josi nie przerywa rozmowy z mężczyznami. Nie rozumiem, o czym mówią, ale w końcu czuję, że mówią o mnie, nerwowo zapinam guziki bluzki przy szyi... Patrzę na twarz Josiego, aby coś z niej wyczytać, i nagle słyszę, że wszyscy zaczynają się śmiać, najpierw ten najstarszy, który siedział w środku, a potem inni. Josi też.

– No, dostałem ciekawą propozycję – mówi mój żołnierz i przyjaźnie obejmuje ręką moje plecy.

Pytając zaglądam mu w oczy.

– Ten szejk – wskazuje wzrokiem na najstarszego – chce cię kupić jako prezent dla swojego syna – to ten gruby obok niego. Chce mi dać za ciebie dwa tysiące dolarów i różne towary, skóry i takie inne... No co, mam cię sprzedać? Zgadzasz się?

Patrzę na niego okrągłymi oczami, wiem, że żartuje, wiem, że powinnam

się roześmiać, ale nie jestem całkiem pewna... Odwracam twarz ku tłoczącym się u wejścia wynędzniałym kobietom w łachmanach i jakoś nie jest mi do śmiechu, już widzę siebie między tymi kobietami ze związanymi sznurem rękami i nogami, żebym nie uciekła. Tymczasem Josiego to moje zmieszanie jeszcze rozwesela...

– No, czemu milczysz – śmieje się – decyduj się szybko, bo musimy wracać. Dwa tysiące dolarów to dużo pieniędzy – dodaje, podnosząc się z klęczek.

Wychodzimy, biało ubrani mężczyźni klepią przyjaźnie Josiego po ramieniu, coś jeszcze do niego głośno pokrzykując, a na mnie patrzą z dziwnymi błyskami w oczach... Kobiety i dzieci rozstępują się szybko, potem długo jeszcze stoją nieruchomo i patrzą za nami, kiedy odjeżdżamy.

– Odwiozę cię na przystanek autobusowy – decyduje Josi. – Musisz zaraz stąd uciekać. To miasteczko jest nowe, dopiero się buduje i nie ma w nim kobiet. Sami robotnicy, młodzi mężczyźni. Rozumiesz? – Nie wiem, czy rozumiem, ale ton rozmowy nie dopuszcza dyskusji. – Czasem przyjeżdżają tu prostytutki – dodaje Josi. – O, zobacz.

Podjeżdża autobus, wysiada z niego grupa kolorowo ubranych, jaskrawo umalowanych kobiet, chciałabym jeszcze im się przyjrzeć, widzę tylko w przelocie ich ciała w obcisłych sukienkach, wyglądają młodo, a twarze jakby stare... Tymczasem Josi ogarnia mnie ramieniem.

– Nie przyglądaj się tak, one potrafią być niebezpieczne – ostrzega i szybko wsadza mnie do autobusu.

Jeszcze dobrze nie usiadłam, kiedy on już wskakuje do jeepa i odjeżdża, wzbijając na drodze tumany kurzu.

Wracam. Wujostwo są szczęśliwi, że się odnalazłam, sami siadają ze mną nad mapą i pokazują, dokąd jeszcze mogłabym pojechać. To niewielki kraj. Zwiedzam więc stare miasteczka, domy porośnięte roślinami o pięknych kwiatach i tajemniczej nazwie bugenwilla, historyczne pamiątki, gaje oliwne. Siedzę nad jeziorem Genezaret i patrzę na drewniane łodzie rybackie, takie same jak przed wiekami. Uczyłam się o tym na religii. Mogę to sobie wszystko wyobrazić. Przecież jestem z Krakowa, wychowałam się wśród kościołów.

Mijają dni, skórę mam brązową od słońca, włosy szare od kurzu, oczy pełne barw, głowa boli od zwiedzania. Rodzina Mittelmanów odwozi mnie na lotnisko. Ciocia cały czas płacze...

– Już się nie spotkamy, Romeczko!

Ale ja już nie mam cierpliwości do długich pożegnań. Nie chcę myśleć o tym, że ich nigdy nie zobaczę. Już im uciekam, obca i daleka.

Czeka na mnie Paryż, a potem Rzym.

*Roma, città aperta.*

\*\*\*

Błądzą po Paryżu i co chwila muszę sobie powtarzać, że naprawdę tu jestem. *Les Boulevards de Paris sont tristes et solitaires sans toi*, piszę do Lorda. Ale to nieprawda, wcale nie są smutne.

„Siedzę w domu, gdzie w poduszce zachował się jeszcze jakiś cień Twojego zapachu... Michelle...”, pisze on.

Chodzę sobie pełna spokojnego zachwyty, bo jest tu wszystko, co chciałam zobaczyć i tak to sobie właśnie wyobrażałam. Różowo-niebieski kolor nieba, kafejki, stoliki ustawione na ulicach. Siedzą przy nich piękne kobiety i eleganccy panowie – coś popijają z kieliszków, śmieją się bez troski... Na straganach owoce i kwiaty ułożone w zadziwiająco martwą naturę. Jem w Halach sławną zupę cebulową, pokrytą gęstym kożuchem sera, wstrętnie pachnącą, ale smaczną. Zdumiewają mnie śpiący na ulicach kłoszardzi, nie wyglądają na specjalnie nieszczęśliwych i czasem zagadują do mnie, chociaż ich nie rozumiem.

Potem znalazłam dzielnicę żydowską, wąskie uliczki, dziwne sklepy o przykurzonych wystawach kryjących za matowymi szybami jakieś starocie. Małe knajpki, z których unosi się zapach naszego domowego rosółu i smażonej wątróbki. Przy stolikach przeważnie starsi ludzie i znowu te „krakowskie” twarze.

Są tu też najtańsze magazyny mody.

Sukienki, sukienki, kolorowe bluzki. Buty, futra. Torebki. Wszystko. Tylko ja mam tak mało pieniędzy!

„Nie przejmuj się, tam jest tanio”, powtarza kuzynka, u której mieszkam.

Ona mnie tam posłała. Ta kuzynka to właściwie kuzynka kuzynki, daleka krewna, ale zgodziła się przyjąć mnie na parę dni. Mama prawie jej nie знаła. Napisała do niej – a ona od razu się zgodziła. Teraz wiem, że nudno jest samej.

Mieszka w dziwnym, ciasnym mieszkanku, wewnątrz są kręte schodki, każde pomieszczenie jest na innym poziomie. Panuje tu niesamowity bałagan... a na mnie w domu krzyczeli, że jestem nieporządna. Ta kuzynka nie sprząta chyba nigdy. Suknie, halki, bielizna leżą rozłożone wszędzie, wiszą na poręczy schodów, na podłodze rozrzucone buty, kolorowe pisma, butelki po winie.

Kuzynka wdzięcznie porusza się między kondygnacjami w różowym aksamitnym szlafroku, z papilotami na głowie i szklanką wina w ręku. Możesz mówić do mnie Mimi – powiedziała na wstępie. Jesteśmy więc na ty, choć ona już jest stara. Rano znika na chwilę i pojawia się z torebką croissantów i bagietką pod pachą, nalewa nam kawę do dużych miseczek, maczamy w nich rogaliki. Po raz pierwszy naprawdę czuję ich smak. Mimi opowiada, że opuściła Polskę, kiedy miała osiem lat. Teraz jest aktorką, ale nie widzę, żeby grała w jakimś teatrze. Właściwie cały czas siedzi w domu i czeka na telefon... Dopiero późnym popołudniem długo stoi przed lustrem, maluje, podkręca sobie rzęsy, wkłada buty na bardzo wysokich obcasach...

Idzie na dancing, na którym poznaje się panów.

Przed wyjściem błaga mnie zawsze, żebym posiedziała w domu do jej powrotu i popilnowała telefonu. „Bo może ktoś ważny zadzwoni”, dodaje i przymyka umalowane powieki. Nie wiem, ile ma lat, myślę, że więcej niż moja matka.

\*\*\*

W dzielnicy żydowskiej kupiłam sobie w końcu po długich przymierzaniach przepiękną sukienkę z czarnego aksamitu w białe kropeczki, ale to nie są zwykłe kropeczki, tylko takie łezki, trochę jakby perełki, które migoczą przy każdym ruchu. Spódniczka jest szeroka, na halce, której koronkowy brzeg trochę spod niej wystaje, tak się teraz nosi. Wprost urzekająca sukienka. Wąziutkie ramiączka, po prostu sam dekolt.

Wydałam na nią więcej, niż mogła wytrzymać moja kieszeń, chyba będę głodować w Rzymie, a jeszcze muszę kupić coś dla mamy... a nie wiem co...

\*\*\*

Twoja mama nigdy nie była w Paryżu. I teraz jest ci smutno, kiedy o tym myślisz.

Najpierw, przed wojną, zamierzali pojechać razem z ojcem, ale już nie zdążyli. Potem wybierała się tam z przyjacielem, ale on nie umiał oderwać się od żony, a bez niego jechać nie chciała. Ona już wiedziała to, co ty odkrywasz dopiero teraz, że są miejsca, w których człowiek samotny czuje się jeszcze bardziej sam. Wreszcie wysłała ciebie – w zastępstwie. Tak często marzyła, żebyś ty zrobiła coś, czego ona nie mogła lub nie zdążyła.

Twoja mama nigdy nie widziała Paryża, przeszła ci przez głowę ta myśl, kiedy błądziłaś po paryskich ulicach, zrobiło ci się nawet trochę przykro, szybko przestałaś więc o tym myśleć. Umiałaś wtedy bardzo łatwo przestawać myśleć o tym, co nieprzyjemne, dziś zazdroścę ci tej sztuki.

Miałaś kupić jej jakiś prezent, w końcu nie kupiłaś nic. Wszystko wydało ci się za drogie. Nie byłaś wtedy dobrą córką, Romo.

Dziś zastanawiam się, co jest trudniejsze: być dobrą córką czy dobrą matką, jedno i drugie nie do spełnienia. Obciążone niemożliwymi pragnieniami, nie do udźwignięcia. Jednego i drugiego uczymy się ciągle od nowa i nigdy nie nauczymy się do końca. Dziś to wiem. A ty? Po prostu jeszcze nie wiedziałaś, że istnieją tak trudne pytania i niemożliwe odpowiedzi.

\*\*\*

Zobaczyłam na wystawie płaszczyk – z miękkiego zamszu, ciepłutki, podszyty białym futerkiem, zachwycający, ale tak okropnie drogi... W Polsce teraz mrozy – byłoby pięknie móc się nim otulić. Opowiadam o nim wieczorem kuzynce. Stoję przed wielkim lustrem w nowej sukience

i oglądam się z uwagą ze wszystkich stron.

– Mogłabyś z łatwością mieć ten płaszczyk – mówi kuzynka lekko. – Wystarczy, że poszłabyś ze mną na dancing... Tam są starsi panowie, gdybyś potrafiła choć trochę być dla nich miła, kupiliby ci ten płaszczyk z chęcią, bez wahania, i nie tylko ten... No jak, pójdiesz?

Zatrzymuję się przed lustrem, przyglądam się sobie i próbuję to sobie wyobrazić... bo ja wszystko potrafię sobie wyobrazić, nawet to. Hotel, łóżko, pieniądze na stole i tych panów z czerwonymi twarzami.

W Paryżu jest Szkoła Sztuk Pięknych, teraz, zimą, odbywają się tam bale przebierańców. Można tam wejść bez biletu, więc pójdę. Przedtem kuzynka ubiera mnie i maluje, wydaje mi się, że w końcu wyglądam jak te prostytutki na pustyni. Idąc na bal, po drodze zdejmuję pożyczone długie czerwone rękawiczki, wyjmuję sztuczny kwiat z włosów, odklejam sztuczne rzęsy, wrzucam to wszystko do Sekwany. Jeszcze przez chwilę patrzę, jak jedna z rękawiczek wynurza się z wody, jak ręka szukająca pomocy. Zostaję tylko w mojej sukience i bardzo dobrze się bawię. Nikt nie wie, kim jestem, skąd przyszłam i dlaczego nie mówię ich językiem. A ja udaję zagubioną księżniczkę – znikam o północy, bo do domu mam daleko.

Wracając, kulę się z chłodu, wieje zimny wiatr i pada deszcz. Tak bym chciała teraz otulić się tym płaszczykiem, przecież jest sposób, żeby go mieć... w końcu to nic takiego... nikt by się nie dowiedział. To tylko moment. Chwila. Zamknąć oczy. Zapomnieć.

Dobrze, że jutro wyjeżdżam, nie będę miała głupich myśli...

Potem pakuję walizki.

\*\*\*

A teraz jestem w Rzymie. Odrywam oczy od pisania. Przede mną znów stoją jacyś panowie i dwaj policjanci z bronią.

Czy znów chcą mnie aresztować?

Przecież już jestem aresztowana.

Ale nie, oni chcą mi tylko przedstawić *signora* Grigio, mojego tłumacza.

*Signor* Grigio jest szary tak jak jego nazwisko, które zaraz mi tłumaczy:



*grigio* znaczy szary. Ma popielaty garnitur, cienkie włosy nieokreślonego koloru i okulary o bardzo grubych szklach. Zabiera mnie do hotelu, za który zapłaci linia lotnicza. Mam więc jeszcze w Rzymie dwa dni i jedną noc. Przez ten czas załatwią mi nową wizę.

Ale co tam wiza!

– Za pozwoleniem, jedziemy do miasta, panienko Romo – *signor Grigio* mówi bardzo śmieszną polszczyzną, jakby czytał z jakiejś starej książki. Przed wyjściem rozglądam się za jego samochodem, pewnie szarym jak właściciel, ale widzę tylko oparty o ścianę żółty skuter.

Mój przewodnik siada z przodu, ja z tyłu, trzymam się go kurczowo, nigdy jeszcze nie jechałam na skuterze. Pędzimy przez gwarne ulice, mijamy jakieś skwery, place, fontanny, niczego dobrze nie widzę, ale już wiem, że tu jest pięknie i że to jest moje miasto.

*Roma, città aperta!*

Wiatr rozwiewa mi włosy, podwiewa spódniczkę, po prostu jest bosko, obejmuję ciasno pierś pana Grigio, ten pędzi szaleńczo odważnie, może dlatego, że nic nie widzi przez te grube okulary? Ocieramy się niebezpiecznie o jakąś ciężarówkę, policjant w białych rękawiczkach groźnie na nas macha, prawie wpadamy na kobietę z wielkim koszem pomarańczy... ale mnie to wszystko tylko bawi i śmieję się, śmieję. Mam ochotę szeroko rozewrzeć ramiona, ale muszę się trzymać pana Grigio.

Wreszcie mój opiekun umieszcza mnie w hotelu, ale ani myśli się pożegnać. Chce jeszcze pokazać mi miasto. Nie mam nic przeciwko temu, ale już czuję, wiem, co będzie. Rzeczywiście, w nocy, gdzieś między fontanną di Trevi a Schodami Hiszpańskimi, nagle klęka i prosi mnie o rękę... Mówi znowu tym swoim książkowym językiem... Trochę już chce mi się spać, trochę śmiać, a jednocześnie się zastanawiam, jak ucieknę, kiedy rano przyjdzie do mnie do hotelu. Muszę mu się zgubić, ale już to umiem, poradzę sobie.

W nocy na wąskim hotelowym łóżku zastanawiam się jeszcze, dlaczego właściwie miałabym być czyjąś żoną, nie jestem ani piękna, ani mądra, ani bogata, nie lubię gotować i nie chcę mieć dzieci. W Krakowie czeka na mnie ktoś... ktoś, kto ani myśli o tym, żeby być moim mężem.

I właśnie dlatego do niego wrócę.

\*\*\*

Wracam. Pierwsze moje kroki na Aleje, na wieżę. Budzę go ze snu i już się nie rozstajemy przez dwa dni.

W domu pojawiłam się dopiero następnego wieczoru. Mama nie zorientowała się od razu, że przyjechałam wcześniej, albo może nie chciała o tym mówić. W mieszkaniu unosi się zapach kropli walerianowych. Mama porusza się po domu wolno, otulona szlafrokiem, i jakby nie umiała wcale się cieszyć z tego, że wróciłam. Czuje się źle, choruje na serce. A ja wiem, po prostu wiem, że to moja wina, i właśnie dlatego, nie chcę teraz o tym myśleć. Kiedy jesteśmy razem, znów tak jak przed wyjazdem, unikam jej wzroku, znów milczymy, znów przygniata mnie jakiś ciężar nie do udźwignięcia.

\*\*\*

Siedzimy z Lordem na ławce na Plantach. Wystawiam twarz na promienie słońca, przypominają mi się plaże w Izraelu. Mam jeszcze na skórze trochę opalenizny. Byliśmy ostatnio w teatrze, spotkaliśmy kuzynkę Lorda, on ma wielu arystokratycznych kuzynów.

– Jakie pani ma piękne ramiona – powiedziała, miękko wymawiając „r”.

Zapamiętałam ten komplement. Nie wiem dlaczego, każde miłe słowo, które usłyszę, nawet nieważne, przypadkowe, tak głęboko zapada mi w duszę... Może dlatego, że nikt mnie nie chwalił ani w szkole, ani w domu, że nigdy tak nie mówiła moja mama...

Planty to nasz letni salon, przechodzący znajomi pozdrawiają nas skinieniem ręki, uśmiechem. Siedzimy naprzeciw uniwersytetu, co chwila mijają nas koledzy. Siedzimy i nie bardzo wiemy, co zrobić z tym czasem. Znów nie poszłam na zajęcia na Akademii, tak nam jakoś płyną te dni i godziny... Możemy pójść na obiad, możemy pójść do niego posłuchać płyt... nic nie musimy. Czekam, aż on sam za nas zadecyduje. Lord planował wprawdzie, że podczas mojej nieobecności tutaj skończy książkę, okazało się jednak, że mu się to nie udało...

– Trzeba było zebrać zbyt dużo materiału – tłumaczy. – To będzie wybitna książka, mądra, cienka, ale genialna, dostanę za nią Nobla – powtarza z przekonaniem – Nobla. Do czegoś takiego trzeba się

przygotować...

A teraz mówi, że nie może pracować, bo jestem ja i go rozpraszam. Nawet jak staram się być niewidoczna i milczeć, to też go rozpraszam.. tak twierdzi.

– To co robimy dzisiaj? – pytam w końcu. Wiem, że to on i jego humory wyznaczają rytm dnia, ja mogę się tylko dopasować. – Może weźmiemy ślub? – rzucam dla żartu.

– Ślub? – ożywia się Lord. – Ciekawy pomysł... też już o tym myślałem. Też myślałem, żeby się z tobą ożenić. To by mogło być ciekawe doświadczenie. – Mówi o tym jak o jakiejś grze lub zabawie, jakbyśmy się mieli wybrać do teatru albo na bal maskowy... – Ślub – dodaje – ciekawe, co by o tym powiedziała moja babka, w której żyłach, jak wiesz, płynęła krew polskich królów...

– Byłaby zła, że żenisz się z Żydówką? – Wiem, że nie powinnam tak pytać, ale robi mi się przykro... i zaraz żałuję tych słów.

– Nie, no skąd? – śmieje się Lord. – Byłaby zachwycona na widok min, jakie zrobiłaby reszta rodziny. A zresztą ona i tak rzadko bywała trzeźwa...

Mija nas grupka roześmianych dziewcząt. Jedna z nich, widocznie znajoma Lorda, zatrzymuje się i zamierza się do nas dosiąść. Lord wyprostowuje się na jej widok uroczyście.

– Wybacz, *ma chère* – oświadcza z powagą – ale teraz chcemy być sami, bo omawiamy sprawę naszego ślubu. Właśnie poprosiłem Michelle o rękę... – Zmieszana dziewczyna oddala się pośpiesznie.

– No więc posłuchaj, Michelle – zwraca się do mnie mój narzeczony – ten nasz ślub...

\*\*\*

Będę miała wystawę w Piwnicy. Moje obrazki będą pokazane na prawdziwej wystawie. Aż trudno mi to sobie wyobrazić. To miejsce jest w Pałacu pod Baranami w podziemiu, ale wszyscy mówią po prostu „Piwnica”.

Mówi się dużo o Piwnicy już od wiosny. Byłam dość przypadkowo na pierwszym wieczorze, czyli na otwarciu. A przedtem trochę pomagałam ją

sprzątać i urządzać. Szłam sobie pewnego dnia po Rynku, aż nagle złapał mnie Piotr: chodź, chodź prędko, chodź pomagać koniecznie, my tu urządzamy Piwnicę, będzie taki klub... Nic nie rozumiałam, ale poszłam, trochę się zdziwiłam, byłam w jasnej sukience i butach na szpilkach, że mam sprzątać jakąś piwnicę. Od razu, jak weszłam, bardzo mi się tam spodobało, stare mury, sklepienie, kominek... dziwnie tajemniczo...

Piotr widać biegał po Rynku już dłuższy czas przedtem i łapał wszystkich znajomych, bo zdążył pozbiierać sporą grupę... była i Dorota Terakowska, bardzo miła dziewczyna, którą często spotykam na mieście i nigdy nie możemy się nagadać, była Kika Lelicińska i wielu innych. Panowało zamieszanie i rozgardiasz i nikt nie wiedział, co właściwie ma robić...

Potem chłopcom udało się jakoś zataszczyć na dół pianino, w końcu zrobił się bardzo miły wieczór, zapaliliśmy ogień w kominku, świeczki, w blasku świec piliśmy wino, ktoś grał, śpiewał. Ładnie było i romantycznie, ale nie przypuszczałam, że będzie się można tu spotykać, wydawało się, że nam na to nie pozwolą. Tylko Piotr był pełen zapału, przekonywał, że zrobimy tu coś wspaniałego, jakiś teatr albo klub...

Potem zaglądałam tam tylko od czasu do czasu.

A teraz będę tu miała wystawę... Tyle się teraz dzieje w moim życiu...

Nie wiem, kto wpadł na ten pomysł... koledzy na Akademii zawsze lubili moje obrazki, bardzo wiele porozkradali na pamiątkę, a Piotr czasem u mnie bywał i znał je wszystkie... Któregoś dnia nagle, jak to on, zdecydował, że urządzimy wystawę... mam tylko przynieść wszystkie moje prace i o nic się nie martwić...

Postanowiłam na chwilę zapomnieć o moich domowych kłopotach...

Chłopcy wieszali obrazy, na ciemnych ceglanych ścianach wydawały mi się jeszcze mniejsze i jakby ubogie... ale każdy mnie pociesza, że będzie pięknie...

I było. Zaprosili chyba pół Krakowa, wszystkich znajomych. Był Jerzy Skarżyński, znany człowiek i artysta, był nawet Marian Eile, redaktor „Przekroju”... sama już nie wiem, kto jeszcze...

Zaprosili nawet moją mamę, a ona zgodziła się przyjść. Zjawiała się bardzo wzruszona i onieśmielona, w różowej garsonce... popatrywała to na mnie, to na obrazy, to na tych wszystkich znanych ludzi i myślę, że było jej

przyjemnie.

Ja długo nie wiedziałam, jak się ubrać, jak ma wyglądać artysta na takiej uroczystości. Miałam jednak tylko tę jedną wieczorową sukienkę z Paryża, czarną w białe kropki. Okazało się, że wyglądała bardzo ładnie i wszystkim się podobała.

Zaraz przy wejściu powitał mnie Piotr z bukietem żółtych róż. Denerwowałam się. Mój mąż prawie cały czas przesiedział przy barku, który ostatnio tam urządzono. Siedział i uśmiechał się miło, wszyscy mu gratulowali, trochę w żartach, ale jednak.

Potem zrobiło się naprawdę uroczyste. Poeta Ludwik Jerzy Kern, który często pisze do „Przekroju”, napisał taką piosenkę o mnie: „Nie ma nocki bez Ligocki”, podobno wymyślił ją jeszcze tego popołudnia. Wszyscy zaczęli ją śpiewać, a ja tylko stałam i kłaniałam się... trochę to była śmieszna piosenka: „Piękna nocka, gdy Ligocka – nie ma nocki bez Ligocki...”. A my się z Kernem w ogóle nie znamy i nawet nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą... a teraz wszyscy śpiewają tę piosenkę... Zobaczyłam też Sylwię – przyszła z wysokim chłopakiem w okularach – nie zauważyli mnie w pierwszej chwili. – Podobają ci się te rysunki? – zapytał facet.

– No, bez przesady – odpowiedziała. Szybko oddaliłam się od nich...

Chciałam wiedzieć, co powie redaktor Eile, bo to ważny człowiek. A on chodził po sali z surową miną, w końcu powiedział do kogoś, ale tak, żebym i ja usłyszała, że dla niego to nie jest malarstwo...

Smutno mi się zrobiło. Chwilę później spotkałam kolegę z ASP, który jest już wybitnym malarzem i mogę mu wierzyć, powiedział, żebym się nie przejmowała, bo sam Eile maluje swoje obrazy w ten sposób, że rozpryskuje farby na płótnie za pomocą strzykawki i że to też nie jest malarstwo... Szybko się więc pocieszyłam. Te spory o malarstwo, co nim jest, a co nie, czy tylko abstrakcja się liczy. Te spory często słyszę. Odbywają się jakby ponad moją głową, niewiele z tego rozumiem. I tak maluję tylko to, co mi się uda... co potrafię... i nie mogę inaczej, choćbym chciała. Ważne było, że przyszło tak dużo ludzi, nawet nie wiedziałam, że mam tylu znajomych. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili, chwalili a to sukienkę, a to warkocz, obrazy też. Na chwilę zapomniałam o moim życiu. A teraz każdy, kogo spotkam, śpiewa tę głupią piosenkę Kerna... już nawet

zaczynam mieć tego dość...

\*\*\*

Nasz ślub odbywa się w letni dzień. Mam białą sukienkę, szeroką, rozkloszowaną, z głębokim wycięciem. Na to bolerko. Sama ją sobie zaprojektowałam. Białe szpilki własnoręcznie pomalowane olejną farbą do obrazów, która jeszcze nie całkiem wyschła. We włosy mam wpięte żywe margerytki...

Tych kilku tygodni przedtem prawie nie pamiętam.. Mama cały czas chorowała, leżała w domu bardzo blada, przykładając rękę do serca. Była nawet kilka dni w szpitalu. Boję się o nią i jest mi jej żal. Ale nie chcę, żeby mi jej było żal. Leczy się u profesora Aleksandrowicza, to najlepszy lekarz w Krakowie. Wróciła do domu.

Wpadałam do niej na chwilę, pełna skruchy, podawałam lekarstwo, robiłam herbatę... i zaraz musiałam gdzieś bieć. Zatrząskiwałam za sobą drzwi i starałam się nie myśleć; nie mogę się teraz martwić, nawet jeśli nie opuszcza mnie myśl, że to wszystko moja wina...

Rozpościera się we mnie jakieś zimno. Wiem tylko to, że teraz będzie mój ślub, wychodzę za mąż i tylko o tym muszę myśleć, nieważne, co będzie potem, nieważne, nieważne... Nic nie ma znaczenia, nawet zdrowie mojej matki.

Mam zresztą tyle na głowie. Trzeba załatwić papiery, metryki, termin w urzędzie, pilnować krawcowej. Muszę pokazywać się na uczelni, bo jeśli teraz naprawdę mnie wyrzucą, to tego już by mama...

Dostaję też niewielkie stypendium na farby i pędzle i nie chcę go stracić, bo czasem udaje mi się z tego wygospodarować coś na jedzenie, jak już nie mamy ani grosza. Farby i pędzle i tak często dostaję od kolegów malarzy.

Lord odwiedził mamę kilka razy. Pierwszy raz przyszedł z kwiatami. Posiedział chwilę, napił się herbaty. Poprosił o moją rękę, ale mówił to tak, jakby recytował jakiś wiersz, znów miałam wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Wpadał potem jeszcze kilka razy, siadał przy stole, trochę się nudził, nie rozmawiali o niczym ważnym.

Lord nie przejmuje się niczym. Mama choruje. Wygląda na to, że jedyną osobą, która będzie brała ślub, jestem ja...

Wyobrażam już sobie, jak będę nosić obrączkę (mama na razie pożyczyła nam swoje, nie można teraz kupić złota). Kiedy gdzieś razem pojedziemy, będziemy mogli spać w hotelu w tym samym pokoju. Bo bez ślubu nie wolno... Na razie i tak nigdzie nie wyjeżdżamy, bo nie mamy za co, ale jak on już napisze swoją książkę, to będziemy bogaci... Będę miała inne nazwisko, podwójne, przez to będę poważniejsza, bardziej dorosła. Nikt mi już nie powie, że jestem dzieckiem.

Na razie Lord wyciąga z rodzinnej biblioteki grube, oprawione w safian tomiska i sprzedaje je, żeby było na ślub...

– Nie myślę o przyszłości – mówi do mnie, widząc, że patrzę na to z troską. – Nasi rodzice wszystko mieli i wszystko stracili, domy, pałace, pieniądze. Zdrowie i życie, wszystko im odebrano. Zawsze może ktoś przyjść i wszystko ci zabrać. Nam już nie ma czego odbierać, bo nic nie mamy, więc czym się tu przejmować? Nie warto nic mieć, liczy się tylko ten moment, ta chwila, jedno uderzenie serca... następne... i jeszcze jedno...

Potem powtarza swoją ulubioną opowieść o kuzynie, który jest hrabią. Miał wielkie posiadłości ziemskie, dwory, pałac, lasy, a teraz mieszka w Krakowie w jednym pokoiku, ciasnym i zastawionym, bo zgromadził w nim wszystkie ocalałe pamiątki rodzinne. I w tym samym pokoiku za przepierzeniem z koców mieszka z nim jego lokaj. A kiedy hrabia woła: „Janie, herbaty!”, to po chwili zza koca wyłania się ręka z tacą...

– Nie martw się niczym – powtarza Lord. – Można się tylko ze wszystkiego śmiać, bo to wszystko bez znaczenia... my jesteśmy młodzież bez młodości.

\*\*\*

Omam nie spóźniliśmy się na ślub.

Zawsze wszędzie przychodzimy za późno. On nawet nie nosi zegarka, a ja wszystko gubię... Jeszcze musieliśmy szukać dokumentów, potem obrączki nam się gdzieś zapodziały...

Lord ubrał się uroczyście – ciemny garnitur i przedwojenna ałłasowa kamizelka, która należała jeszcze do jego dziadka.

Mama czekała na ulicy przed swoim biurem, roztrzęsiona, zdenerwowana, myślała już, że nam się coś stało.



W różowym kostiumiku, tym samym, w którym była na mojej wystawie, wyglądała ślicznie, dużo ładniej ode mnie, drobna i krucha, z wielkimi ciemnymi oczami, w których perliły się łzy. Miała zapłakane oczy przez cały czas, później też...

Nie bardzo sobie przypominam samą ceremonię, nie wiem, jak wyglądał urzędnik, pamiętam tylko łańcuch na czarnej todze. Wszystko odbywało się trochę bez mojego udziału. Tak długo sobie wyobrażałam tę chwilę, a teraz czuję się, jakby mnie tam nie było...

Potem grupka naszych gości, jakby spłoszona, rozpierzchła się, śpieszyli się na autobus.

A my idziemy na obiad do Wierzynka, mama zaprasza. To nasza rodzinna restauracja. Tu chodziłam z mamą w dzieciństwie w nagrodę „za grzeczność”. Tu świętowałam czasem urodziny, potem maturę. Znają nas tu kelnerzy. Zresztą w Krakowie nie ma teraz wielu restauracji, nie to co przed wojną, powtarza mama. Z okien Wierzynka jest przepiękny widok na Rynek i kościół Mariacki.

Siadamy przy stoliku koło okna. Siedzę między moją mamą a mężem i myślę, że nie byłam grzeczna... i że oni są dorośli, a ja nie.

Spacerujemy potem jeszcze chwilę po Rynku, nie wiadomo, nikt nie ma pomysłu, jak zakończyć ten dzień. Znajdujemy ulicznego fotografa, robimy zdjęcia przy kościele, tak jakbyśmy z niego wychodzili, potem przy przekupkach z kwiatami, wygląda, jakby na naszym ślubie było morze kwiatów...

Lord podnosi mnie do góry, szeroką spódniczkę podwiewa wiatr i widać koronkową halkę, podnosi mnie wysoko, łatwo jak piórko, bez wysiłku. Jest bardzo silny, to taka jego rodzinna cecha.

W końcu mama, ciągle obowiązkowo uśmiechnięta, choć widać, że zmęczona i jakoś strasznie nieszczęśliwa, żegna się z nami. „Jedźcie gdzieś, jedźcie, proszę was”, widać już bardzo chce, żeby skończył się ten dzień.

A dzień kończy się całkiem niespodziewanie...

Zbliżamy się do domu przy Alejach i już z daleka widzimy przed bramą powóz, wielką czarną bryczkę zaprzęzoną w dwa konie i ubraną zielonymi gałązkami brzozy.

– Jedziemy w podróż poślubną – oznajmia Lord z dumą. To jego

niespodzianka. Dopiero później dowiaduję się, że powóz pożyczył od jednego z kuzynów. – Tak się podróżowało u nas w rodzinie – dodaje.

Od razu ruszamy. Z wrażenia zapominam wpaść na górę, spakować jakieś rzeczy. Całą podróż poślubną odbędę w jednej białej sukience, która później już nie będzie taka biała.

Jedziemy w noc, pod gwiazdzistym niebem, konie pochrapują. Lord jest dobrym woźnicą, konie go słuchają. Opowiadał mi, że całą wojnę spędził, jako chłopiec, u wujostwa na wsi. Zostawiamy za sobą miasto, przed nami pola, łąki i drzewa, wśród których szumi wiatr. Mój mąż zdejmuję ciemną marynarkę i otula moje ramiona. Rękawy jego białej koszuli połyskują w świetle księżyca. W dłoniach luźno trzyma lejce, od czasu do czasu poszeptuje coś do koni cicho i serdecznie.

Noc spędzamy na wsi, w wynajętym u gospodarzy pokoju, w domu pośród łąk. Rano dostajemy mleko, chleb i wielką miskę jajecznicy ze słoniną. Zjadamy to wszystko z apetytem. Ruszamy w gorącym słońcu w stronę gór. Przed nami droga do zamku w Niedzicy. Musimy się śpieszyć, żeby dotrzeć tam przed zmierzchem.

W końcu wynurzamy się z lasu.

W złotym świetle odchodzącego dnia kamienna bryła zamku, białe wieże górują nad zakolem rzeki. Powóz pnie się pod górę. Przy bramie tęgi wąsaty mężczyzna o rumianych policzkach, zarządca. Gościnnie rozkłada ramiona. Obejmują się z Lordem serdecznie, potem całuje mnie w rękę.

– Przygotowałem dla was specjalną kolację, nakryłem w kuchni, będzie cieplej i przyjemniej – mówi, prowadząc nas.

Wchodzimy w kamienną chłodną sień, a potem dalej... Na dole jest wielka jadalnia i salon, stąpamy po idealnie wywoskowanych deskach podłogi, przykrytych starymi dywanami. Po obu stronach ścian strzegą matowo połyskujące zbroje rycerskie, miecze i halabardy.

– W zamku nie mamy jeszcze gości – wyjaśnia nasz gospodarz. – Otwieramy za kilka dni, ale dla was zrobiłem wyjątek.

– Pracował kiedyś, dawno temu, jeszcze u mojego dziadka – szepcze mi Lord do ucha.

Schodzimy po masywnych kamiennych schodach na dół. Ogromna pałacowa kuchnia jest wysprzątana i pusta. Siadamy przy długim stole

połyskującym ciemnym drewnem. Na środku zapalone świece w srebrnym świeczniku. W kuchennym piecu buzuje ogień, a na patelni coś bulgocze i przepięknie pachnie...





Gospodarz układa na stole półmiski, stare sztuce i białe serwetki w srebrnych krążkach.

Dostajemy pieczeń z dzika z grzybami, idealnie miękką, do tego jakieś delikatne kluseczki. Jeszcze nigdy nic takiego nie jadłam. A potem leśne owoce w szklanych pucharkach ozdobionych herbami. Czerwone wino w kryształowej karafce, nie wiedziałam, że wino przelewa się do karafki. Potem zostajemy sami...

Patrzę na człowieka, który wczoraj został moim mężem, wydaje mi się tutaj, w tym pałacu, przy stole, kimś zupełnie innym. Spokojnym, mniej rozedrganym. Ubrany w atłasową kamizelkę dziadka, białą koszulę, wygląda, jakby się tu urodził i nigdy nie opuścił tego zamku. Podaje mi talerz i nalewa wino z pewnością i elegancją, jakich jeszcze u niego nie widziałam.

Nasz pokój mieści się na końcu kamiennego krużganka, znów wędrujemy wzdłuż grubych murów między halabardami i zbrojami.

W naszym pokoju łoże z baldachimem, kilim na podłodze, wysokie zamkowe okna wychodzą wprost na rzekę. Ogarnia nas cisza absolutna, jakby ktoś rozpostarł nad nami miękkie, aksamitny granatowy namiot, nigdy jeszcze nie spotkałam takiej ciszy...

Lord zasypia zmęczony podróżą i ukołyszany winem, a ja delikatnie wysuwam się z łóżka. Siadam w głębokim wykuszu okiennym jak na ławce, obejmuję ramionami nagie kolana, patrzę na rzekę, na której światło księżycy układa srebrne łuski... rzeka w srebrnej zbroi, mówię do siebie... podobają mi się te słowa... „rzeka w srebrnej zbroi”, może powinnam pisać wiersze...

Wsluchuję się w ciszę, która niczym mi dziś nie grozi, i pierwszy raz od dawna myślę, że może wszystko będzie dobrze.

\*\*\*

A potem już nic dobrze nie było. Prawda, Romo?

Będziesz biegać za nim po ulicach wieczorem, w nocy, o świcie, wszystko jedno kiedy. Będzie wracał nad ranem skruszony, rozbity, bezradny jak dziecko. Będziesz myć mu ręce i twarz, rozbierać go, kłaść do łóżka...

– Pieniądze – będzie mówił z bezradnym uśmiechem – zobacz, miałem gdzieś w kieszeni pieniądze... – Przeszukujesz jego portfel, kieszenie, pieniędzy nie ma, ani grosza... – A kapelusz? Miałem wcześniej kapelusz...

– Kapelusz jest. Śpij teraz!

Twoja młodość to już nie będą te zdjęcia w białej sukience wśród kwiatów, nie będą to też halki, szpilki ani kolczyki, nic nie

będą cię obchodzić koledzy z Akademii, którzy się w tobie kochają i noszą cię na rękach aż do pracowni na trzecie piętro. Wszystko przestanie mieć znaczenie...

Twoja młodość to będzie bezradne bieganie za pijakiem, twoja młodość... moja... nasza...

Dziś stoję przed lustrem, widzę w nim twarz zmęczoną, siwe włosy na skroniach, tonę w tysiącu spraw, z którymi sobie nie radzę...

Chcę mieć z powrotem tę moją młodość, co z nią zrobiłaś? I kto ci na to pozwolił? Przecież to jest także i moje życie! Na co zamieniłaś, dlaczego zmarnowałaś nasze siły... Twoje zapewnienia, że drugi raz już byś tego nie zrobiła!

Zrobiłabyś, oczywiście, zrobiłabyś w każdej chwili, gdybyś drugi raz pokochała pijaka.

Pamiętasz tego psychiatrę?

\*\*\*

Siedzę w takim małym barze, do którego czasem zagląda mój mąż. To jest na jego trasie. Siedzę z nadzieją, że go tu złapię. Na wysokim stołku barowym, oparta o ladę, cały czas popatruję na drzwi z nadzieją, że zaraz wejdzie i może uda mi się zabrać go do domu... Z nerwów kręci mi się w głowie.

Facet obok jest wysoki, przystojny, dość młody, z cieniami zmęczenia wokół oczu.

– Niech się pani tak nie denerwuje i głęboko oddycha... – odzywa się nagle znad talerza, na którym ma kanapkę – spokojnie, głęboko oddychać... przymknąć oczy i oddychać... to najlepsze na lęk. – Podnoszę na niego wzrok, spotykam oczy jasne, rozumne i przenikliwe...

– Pan się na tym zna?

– Na czym? Na oddychaniu? Też. Jestem psychiatrą, pracuję w przychodni na Kopernika.

– Naprawdę?

– Mam pokazać legitymację? Niech pani lepiej już idzie do domu. On



wróci, wcześniej czy później wróci.

Pochyliam tylko głowę i niespokojnie bębnię palcami o ladę.

– Nerwy? Kłopoty? – odzywa się znowu.

Nie odpowiadam od razu. Przeczytałam kilka książek medycznych, więc jestem mądra i przygotowana.

– Mam depresję – mówię w końcu z powagą.

Mężczyzna uśmiecha się znad talerza. Kończy kanapkę i popija piwem. Jego uśmiech jest trochę ironiczny, ale ciepły i przyjazny.

– Taaak, nasza polska depresja... To jest często niechęć do pracy, brak pieniędzy i niezapłacony rachunek za gaz. Czeka pani na niego?

– Muszę mu pomóc.

– Nie musisz. On pije?

– Nie! Tak. Czasami...

– Idź do domu. Nie możesz mu pomóc. Alkoholikowi nie można pomóc, jeśli sam nie zechce...

– Ale on chce!

– Naprawdę? A ty tymczasem zniszczysz sobie zdrowie i życie. – Patrzy na mnie uważnie. – Już sobie zniszczyłaś... Jak długo to już tak trwa?

– Nie wiem, już chyba rok... ale teraz on pije coraz więcej...

– Rano też?

– Czasem.

– Ręce mu drżą? Oznaki złości? Gniewu?

Milczę. Znowu pochylam głowę, jakby wyliczał moje przewiny...

– Biję panią?

– Nie! Naprawdę. Ale ja muszę już iść...

– Nie bije pani, to dobrze. Ale pamiętaj, dziewczyno, nie wolno ci do tego dopuścić. Zapamiętaj sobie. Jeśli raz uderzy, to już będzie bił. Nie ocalisz go sama i nie ocalisz siebie...

Podnoszę się, żeby odejść, ale on przytrzymuje moją rękę, więc siadam z powrotem, uścisk jego ręki jest ciepły i mocny.

– Powinnaś to przeciąć – mówi trzeźwo, jakby chodziło o jakąś czynność techniczną. – Musisz to przeciąć, bo to, co przeżywasz i będziesz



przeżywać, jest dla psychiki gorsze niż Oświęcim... – Wstaję gwałtownie, zagarniam torebkę, płaszcz. Co on wie o Oświęcimiu...

– Niech pani wpadnie na Kopernika jakby coś, znajdzie mnie tam pani... – macha ręką na pożegnanie.

Już go nie słucham, już go nie widzę, ogarnia mnie panika. Siedzę tu, rozmawiam z obcym mężczyzną, a mąż tymczasem już wrócił do domu i czeka na mnie... Przepycham się do wyjścia, potykam na progu... muszę biec, szybko biec, żeby nie był sam...

Jeszcze później wiele razy przypominam sobie tamtą rozmowę.

\*\*\*

Powinnaś była go odwiedzić. Tego psychiatrę. Powinnaś mu była uwierzyć. Często dopiero później myślimy, że jeden krok, jakieś działanie, gdybyśmy go nie zaniechali, mogłoby odmienić nasze życie. Daremne rozważania? Nie warto wracać, bo do niczego już wrócić nie można?

Ale może to wspomnianie jest jedyną drogą, żeby siebie samego przynajmniej zrozumieć i pogodzić się z sobą, wybaczyć?

Tak jak ja, Romo, próbuję wybaczyć tobie.

\*\*\*

Znam wszystkie nocne bary w mieście, meliny, nocne sklepy, ławki, przy których się zbierają i gdzie jeszcze można coś dostać, i bar na dworcu oczywiście, ten przede wszystkim. Przychodzą tam nad ranem, chyba że ktoś wcześniej padł w jakimś zaułku, zaszył się w jakiejś bramie albo poszedł na melinę z jakąś litościwą zmęczoną prostytutką.

Znam ich wszystkich i oni mnie znają. Mówią, gdzie był, gdzie go widzieli i czy jeszcze miał forszę, bo od tego zależy, kiedy wróci. Pocieszają.

– Też się napij – mówią przyjaźnie. – Ciepłej ci się zrobi – dodają, kiedy widzą, że marznę.

Nie boję się ich. Nie boję się chodzić po nocy. Niczego się teraz nie boję. Mój dzień przestał mieć jakikolwiek rytm i porządek, mój dzień nie

różni się od nocy. Bardzo mało śpię. Przed południem muszę choćby na chwilę iść do Akademii. Jestem studentką, a wakacje się skończyły. Muszę malować i oddać choćby kilka obrazów, zaliczyć semestr. Muszę mieć legitymację studencką i tych kilka złotych stypendium, które wydam całe na jedzenie dla nas. Farb ani pędzli nie kupuję już wcale, podkradam stare pędzle, które koledzy wyrzucają do śmieci, wyłudzam od nich stare płótna, mówię, że takie lubię.

A potem stoję przed sztalugami, maluję ładnie dziecinne obrazki – niebieski stolik, czerwone kwiaty, zielone jabłka...

Czasem tylko malują mi się twarze, wielkie zdziwione oczy, smutne, ale nie za bardzo, o tym, co się ze mną dzieje, nikt nie może wiedzieć...

Pracuję, aż przerwie mi kolejny atak paniki, biegnę do okna w pracowni, widać stamtąd zegar, już druga? Muszę lecieć do domu! Kiedy wychodziłam, spał, czy będzie, kiedy wrócę? Wracam. Przeważnie go nie ma. Rozglądam się po pokoju. Czegoś dziś brakuje? Tak, radia, tego małego, które dostałam od mamy. Czego jeszcze? Budzika, jego zimowych butów...

Może wróci... chodzę od okna do drzwi. Przed wieczorem przypominam sobie, że jeszcze nic nie jadłam. Czasem wpadam do mamy, dostaję talerz zupy. Chcesz pierożki? Nie, nie przełknę, ale zupę tak.

Mama nic nie wie albo wie wszystko. Nie pyta. Już nic nie mówi, nawet tego, że źle wyglądam. Czasem tylko proponuje, żebym u niej spała. Ale ja nie mogę! Naprawdę nie mogę.

Czasem jednak nie wytrzymuje.

- Źle wyglądasz... – A ja unikam jej wzroku.
- Mam migrenę.
- Ale wszystko dobrze?
- No pewnie.
- Twój mąż znalazł pracę?
- Jeszcze nie, szuka... – I znowu panika we mnie... – Muszę już lecieć, mamo!

Najpierw na Aleje, sprawdzić, czy go nie ma. Czasem jest, siedzi w fotelu, czyta książkę, nieogolony, dumny, że udało mu się nie wyjść.

Wtedy próbuję gorączkowo czymś go zająć, żeby mu się ze mną nie nudziło. Dziś już widzę od progu, próbuję zgadnąć, był czy nie był... Potem dowiaduję się od sąsiadki:

– Pan Wiesław był tu z dwoma kolegami. Coś wynosili w kocu, niech pani sprawdzi...

– Wynosili – mówię lekko – wiem, radio do naprawy.

– Do napraaaawy! – sąsiadka przeciąga sylaby, potem szybko zamyka drzwi.

Coraz częściej jest zły, agresywny. Wpadam do knajpy, od progu widzę, jak się z kimś kłóci albo bije. Wraca pokrwawiony. Teraz już stale muszę go pilnować, bo może komuś zrobić krzywdę, jest bardzo silny.

Nigdy, ani przez chwilę, się go nie boję. Wciskam się w środek tego kłębowiska, w którym się z kimś mociuje. Wkraczam, biorę go za rękę i wyprowadzam jak dziecko... Idzie ze mną na płaczących się nogach, zawstydzony i smutny.

Kłócimy się tylko o pieniądze. Zabiera mi je i chowa. Znajduję ostatnie sto złotych ukryte w bucie, chcę je ukradkiem wepchnąć do kieszeni, ale on już łapie mnie za rękę...

– Oddaj – mówi groźnie.

– Nie oddam, to na jedzenie! – krzyczę. – Nie oddam! Zrobisz mi coś? – Ale on tylko patrzy na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Wiesz, że nic ci nie zrobię, w mojej rodzinie nie tyka się kobiet... ale oddaj mi to, proszę... muszę to mieć... – zaciska dłoń na przegubie mojej ręki, w której trzymam te ostatnie sto złotych, bardzo mocno. Posłusznie rozwieram palce, a on delikatnie wyjmuję z nich banknot... – Od jutra będę pracował – uspokaja mnie, zanim wyjdzie – będę miał pracę! Będziemy mieli pieniądze! Obiecuję! Znajdę pracę bardzo szybko! To wcale nie jest trudne. Trzeba tylko podjąć decyzję...

Kiedy wraca, płacze, przyrzeka poprawę. Postanawia nie wychodzić i nie pić, wytrzymać...

Siedzimy więc razem, nie słuchamy muzyki, bo nie mamy już radia, ale coś sobie nawzajem czytamy, pijemy herbatę, trzymamy się za ręce... i jest trochę jak dawniej.

Próbuję się uczyć, zdaję jakoś mimo wszystko egzaminy. Potem wracam

do domu, żeby mu o tym powiedzieć, szczęśliwa, ale jego w domu już nie ma...

Albo jest, ale nie sam, tym razem w towarzystwie dwóch podpitych koleśków i jednej zupełnie pijanej prostytutki. Znam ją. Znam kilka krakowskich prostytutek, bywamy w tych samych barach. Traktują mnie z szacunkiem. Czasem pocieszają.

– Pani mąż to inteligentny człowiek – mówią. – Bardzo elegancki, widać, że hrabia.

Jedna z nich, matka z dużym biustem i krzywymi zębami, dorabia sobie w dzień na Akademii pozowaniem do aktów.

– Cześć, Roma – wita mnie zawsze i uśmiecha się tym swoim trochę przeraźliwym uśmiechem. – Widziałam cię w nocy – dodaje, nie zważając na miny moich kolegów...

Teraz muszę wyrzucić tę trójkę. Wypycham ich z mieszkania na schody spokojnie i metodycznie, jakby to były worki z piaskiem. Nie stawiają oporu. Potem sprowadzam ich po schodach i zatraskuję bramę. Wracam na górę przekonana, że będzie awantura, że on jest wściekły, może będzie krzyczał, może mnie uderzy... Boże, jak mam do tego nie dopuścić, jak mam...?

On tymczasem czeka na mnie u szczytu schodów, kołysze się lekko, jedną ręką kurczowo trzyma się poręczy, a w drugiej pokazuje mi banknot.

– Popatrz, popatrz, znalazłem jeszcze stówę, chodź, pójdziemy, kupimy kurę, ugotujemy rosół... no, już się nie gniewaj... to byli tylko tacy... całkiem nieważni koledzy...

– Zamknij mnie w domu – prosi następnego dnia rano. Wie, że muszę wyjść. – Zamknij mnie na klucz! Nie rusz się ani na krok. Będę pracował, pisał... o, popatrz, już zacząłem... – wyciąga do mnie kilka prawie pustych kartek papieru... – Będę na ciebie czekał... zamknięty nigdzie nie wyjdę.



Ale nie mogę tego zrobić, bo jeśli dostanie szau, jeśli zacznie wyważać te drzwi, przyjdzie milicja, aresztują go, a ja nie mogę pozwolić, by go szarpali, bili, żeby mu coś zrobili... Był już parę razy na milicji – tym razem mogą go nie wypuścić.

– Zamknij mnie – powtarza już z gniewem – nic się nie stanie! – A kiedy odmawiam, idzie do łazienki, długo nie wraca... – Patrz, co zrobiłem – mówi potem. Widzę, że połowę głowy ma gładko ogoloną, a na drugiej włosy...

– Co ze sobą zrobiłeś?

– No przecież tak z domu nie wyjdę! Teraz nie będę mógł wyjść. Będę

czekać, aż te włosy odrosną. Możesz iść spokojnie. Będzie dobrze!

Wychodzę więc. Muszę wstąpić na Akademię, pokazać się w pracowni, stanąć choćby przez chwilę przed sztalugami, przetrzymać pytające i trochę złośliwe spojrzenia kolegów. Muszę wstąpić do kasy i odebrać czterysta pięćdziesiąt złotych stypendium. Kupić coś do jedzenia, mydło... Jeśli się tylko da stanąć w ogonku, kupić coś, co akurat można dostać. Konserwy, buty, cokolwiek. Muszę wydać wszystkie pieniądze od razu, bo on nie może znaleźć u mnie nawet najmniejszego banknotu, a szukać potrafi. Stoję więc w kolejce, tym razem dają płócienne pantofle, nazywa się to obuwie tekstylne, można pomalować na czarno i nosić. Stoję dość długo, a kiedy wracam, jego już w domu nie ma.

\*\*\*

Wyglądam coraz gorzej, noszę przez kilka dni tę samą starą, zmiętą sukienkę, nie mam czasu niczego sobie kupić ani uszyć. Na początku chodziliśmy razem na ciuchy, on to bardzo lubił, ale kupowaliśmy przeważnie męskie rzeczy. Moje myśli krążą nieustannie wokół niego...

– Masz pieniądze? – pyta mama, kiedy ją odwiedzam. – Potrzebujesz czegoś?

– Mam pieniądze – odpowiadam, bo co mam odpowiedzieć... – oczywiście! Mąż zarobił.

– Źle wyglądasz – wzdycha. – Zostań tu trochę – mówi, otwierając drzwi pokoju – pościelę ci tapczan, prześpij się, chwilę odpocznij.

Wiem, chciałaby, żebym trochę z nią pobyła. Chciałaby się mną zaopiekować... przykryć mnie, nakarmić...

– Nie biegnij, usiądź – prosi.

A ja tak bardzo chciałabym położyć się na tapczanie, zamknąć oczy, przytulić zwinięty kawałek koca, który kiedyś nazywałam moim dzieckiem... Chciałabym pozwolić, żeby znów się o mnie troszczyła, kazała mi zmierzyć temperaturę, podała herbatę z malinowym sokiem, znów być małą dziewczynką, chronioną i bezpieczną w tym ciasnym i ciemnym mieszkanku, które teraz wydaje się rajem... Tak chciałabym zamknąć oczy, zwinąć się w kłębek, zasnąć. Żeby ona siedziała obok z okularami na nosie, czytając gazetę, blisko, blisko, na wyciągnięcie ręki...



– Mamo... – szepczę bezgłośnie, a w gardle mam szloch... – Mamo, nie mogę zostać, muszę już iść, naprawdę muszę...

– Przyjdź na obiad.

– Jutro wpadnę – odpowiadam niecierpliwie.

Moje myśli znów krążą wokół niego.

On to mój obowiązek, mój los, moja wina.

\*\*\*

Powoli zaczynam rozumieć. To jest silniejsze od niego, silniejsze ode mnie. Pije nie dlatego, że chce, nie dlatego, że mu źle ze mną, że nie mamy pieniędzy... pije, bo coś każe mu pić i to coś jest w nim... i może zawsze było.

A ja mogę tylko czuwać, pilnować go, uważać, żeby nie było jeszcze gorzej, bo z tym, co jest, jakoś sobie radzę. Jestem żoną pijaka i na tym się znam.

Może któregoś dnia zdarzy się cud... może obudzi się jutro rano i już nie będzie musiał pić... będziemy żyć jak inni ludzie... Może powinnam się modlić?

Od czasu do czasu wstępuję do kościoła, jest ich tyle na mojej drodze. Siadam na ławce w ciemnej, bezpiecznej ciszy, ukrywam twarz w dłoniach... Wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby nie pił... gdybym już nie musiała się o niego martwić... i to jest moja modlitwa.

Mijają dni. Tygodnie. Nagle przyszła zima. Na krakowskich ulicach leży mokry, brudny śnieg. Nie mam zimowych butów. Tego wieczoru stoimy naprzeciwko siebie przed drzwiami mieszkania. On wkłada trencz, jego nieśmiertelne burberry, wciska na głowę kapelusz...

Mówimy to, co zawsze, powtarzamy to codziennie...

– Nie wychodź, proszę cię, wiesz, co będzie!

– Zostaw, umówiłem się z kolegą, tylko na chwilę, muszę zaczerpnąć powietrza... puść mnie, nic nie będzie!

– Nie wychodź, błagam cię, błagam!

– Puść mnie, otwórz... zjedź mi z drogi!

– Posłuchaj! To może ja skoczę szybko i przyniosę ci... coś do picia...



Słyszę moje słowa i sama nie wierzę – obiecałam sobie, że nigdy nic takiego nie powiem, nigdy nie kupię dla niego wódki. Teraz jednak...

– Poczekaj, to już pójdę, przyniosę ci. Nie wychodź!

On tymczasem łagodnie, ale mocno popycha mnie do wnętrza pokoju.

– Zostań tu... zaraz wrócę. Ile razy mam ci powtarzać, że jak chcę wyjść, to wyjdę. Mam już dość tych twoich zapłakanych oczu...

Padam na łóżko i zakrywam twarz poduszką. Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwi.

Nie mam zapłakanych oczu... Od dawna już nie płaczę. Cokolwiek się dzieje, przyglądam się temu ze ściśniętym gardłem, oczami bez łez. Płacze się wtedy, kiedy ma się nadzieję, że ktoś usłyszy i pomoże. Ale mnie już nikt nie może pomóc, więc i płakać nie warto. I pewnie już nie potrafię.

Nie będę go szukać. Dziś nie.

Powinnam chwilkę odpocząć, nie myśleć. Coś zrobić, przeczytać książkę, umyć włosy... Przecież to już nic nie zmieni... niech sobie idzie, gdzie chce!

Leżę wpatrzona w sufit i czuję zimne drżenie na skórze, najpierw nogi, brzuch, wreszcie ramiona... Coś mnie popycha, każe wstać...

Otulam się płaszczem, zawiązuję na głowie chustkę, wkładam klucze do kieszeni, idę.

Powoli schodzę ze schodów z uczuciem, że tę walkę ze sobą też przegrałam. Na zewnątrz deszcz ze śniegiem, zimne krople rozwiewa wiatr. Idę z głową spuszczoną, jakbym szukała czyichś śladów na śniegu. Mam czas. Z pierwszego baru i tak go nie wyciągnę, powie, że wpadł tylko na kieliszek... Musi być już dobrze zmęczony. Musi wydać wszystko, co miał, wyłudził albo pożyczył, musi być słaby i roztrzęsiony albo senny, żeby uchwycić się mojego ramienia i znów przeproszać, i znów płakać, i dać się zabrać do domu.

Zastanawiam się tylko, w którą stronę poszedł, jaką obrał trasę... Znam wszystkie jego drogi...

Idę. Brnę po śniegu, po kałużach. Czuję, jak przemakają mi buty. Idę.

\*\*\*

Tej nocy musiałam się przeziębici. Było zimno. Miałam mokre buty. Pamiętam, jak w końcu go znalazłam i zataszczyłam jakoś na górę.

Leżałam potem obok niego i czułam, że ogarnia mnie gorączka, jakby w moim ciele rozprzestrzeniał się pożar. Leżałam, przyciskając ciało do zimnej ściany. Bolała mnie głowa, przez szum w uszach wydawało mi się, że słyszę znów głos mojej babci... ten sam, który w getcie mówił mi zawsze, dokąd uciekać i jak się ratować...

– Uciekaj – mówi moja babcia. – Uciekaj, bo zginiesz.

\*\*\*

Rano zebrałam się, wstrząsały mną dreszcze. Jakoś dowlokłam się do przystanku. Nogi tak uginały się pode mną, że z trudem wsiadłam do tramwaju.

Kiedy szłam w stronę naszej kamienicy, wydawało mi się, że domy się kołyszają, a mury rozstępują się przede mną.

– Boże drogi – wyszeptała tylko moja matka, kiedy zobaczyła, w jakim jestem stanie. – Połóż się – powiedziała, pomagając mi zdjąć płaszcz – pójde po lekarza.

A ja zapadłam się w słodkim niewidzeniu niczego. Chorowałam. Nie było nocy ani dni. Były gorączka, pragnienie, ból w piersiach i ręce mamy zawsze blisko.

Nie wiem, czy on się pojawił, czy dzwonił, nie miałam siły pytać.

Czasami w gorączce i śnie przypomiinałam sobie, że muszę go szukać, muszę się martwić, dokądś iść... Jednocześnie czułam, jak fala gorączki zabiera ze sobą mój niepokój i wszystko łagodnie się oddala...

\*\*\*

Potem, jeszcze słaba, jeszcze z kaszlem, wróciłam. Przez chwilę było dobrze, potem było źle. Kilka dni spokoju i znów ruszał w trasę. I wracał... Nic się nie zmieniało... wszystko było tak samo. I tylko powoli zaczynałam czuć, że już nie biorę w tym udziału, że mnie to już nie boli, nie dotyka, nie obchodzi.

\*\*\*

Pewnego dnia spotykam na ulicy Floriańskiej wujka. Zobaczyłam go z daleka – był w brązowym kapeluszu na głowie, rumiany, uśmiechnięty.

– Romeczko!

Ogarnia mnie nagła chęć ucieczki. Wiem, jak wyglądam. Błada, zaniedbana, nieumyte włosy. Ubrana mimo ciepłej pogody w czarny wełniany kostiumik, który noszę od kilku dni i który bardzo już potrzebuje prania, czuję się cała jakaś... zmięta.

– Romeczko! – Nikt tak miło i ciepło jak on nie wymawia mojego imienia. Przygląda mi się uważnie... – Dawno cię nie widziałem – zagaduje mnie – zdrowa jesteś? Nie jest dobrze, co?

Stajemy naprzeciw siebie wśród śpieszących gdzieś przechodniów na ludnej ulicy.

– Słuchaj, Romeczko – mówi w końcu – a może ty byś się po prostu rozwiodła...

Patrzę na niego nieufnie i nagle przesywa mnie jakaś iskra... Coś we mnie pęka i z cichym brzękiem osuwa się do moich stóp, jakaś barykada zaczyna się rozsypywać... Jego słowa wypełniają całą przestrzeń w mojej głowie...

– Jak to, rozwiodła? To tak można łatwo? – Czuję się tak, jakby ktoś nagle otworzył drzwi klatki, a za nimi była wolność... – Rozwód... to się tak da?

– Nic się nie martw, wszystko załatwimy. Znam parę osób, mamusia też. Wszystko się załatwi, nie bój się. A ty tylko pójdziesz, podpiszesz i już.

Ściskamy się na pożegnanie. Odwracam się i już nie idę na Aleje, idę w przeciwnym kierunku i nawet nie oglądam się za siebie.

\*\*\*

Mamusia z wujkiem wysyłają mnie do Zakopanego. Mama pomaga mi spakować walizkę, tę samą, którą miałam na festiwalu. Pomaga, a ja jej w tym przeszkadzam.

– Weź ciepłe rzeczy – mówi – sweter, szalik, majtki, to są jednak góry...

– Ech, co tam ciepłe rzeczy, mamu! Idzie wiosna!

W Zakopanem na Gubałówce ostre marcowe słońce. Rozstawione leżaki, ale ja ani myślę na nich siedzieć. Biała suczka fotografa, z którą już nieraz robiłam sobie zdjęcia, ma kilka małych szczeniaczków, okrągłych jak śnieżne kulki... bawię się z nimi, zagłębiam dłonie w miękkim białym puchu, siadam na trawie, nie przejmuję się tym, że wokół jeszcze kałuże ścięte lodem.



Na Krupówkach spotykam dwóch bardzo miłych facetów obwieszonych aparatami fotograficznymi. Pracują w filmie, robią też zdjęcia. Chętnie zrobią i mnie.

Umawiamy się na Gubałówce w starej drewnianej chacie góralskiej. Muszę wstać o wschodzie słońca, bo jak mówią, wtedy jest najlepsze światło.

Robią mi dużo zdjęć, w chacie, na łące, w tej sukience, w innej, z rozrzuconymi włosami, z warkoczem... Podobają mi się te zdjęcia i ja

sama znowu zaczynam się sobie podobać.

– Rozmawiałam z twoim mężem – mówi po moim powrocie mama. – Odbiliśmy długą, bardzo poważną rozmowę. Powiedziałam mu, że może pojedziesz za granicę... na dłużej... On się na wszystko zgadza, uważa, że tak będzie lepiej.

– Za granicę? Ja? Dlaczego?

– A dlaczego nie?

Moja mama jest jak zwykle trochę ironiczna i trochę zatroskana. Stoi nad stolnicą i wałkuje ciasto, ręce ma po łokcie zaprószone mąką, piecze placek z morelami dla mnie, bo zdecydowała, że ciągle jestem za chuda i wreszcie mam przytyć.

– Możesz wyjechać albo nie, możesz robić, co chcesz, zdecydujesz sama. Przecież chyba teraz już wreszcie jesteś dorosła...

\*\*\*

Pamiętasz? Wszystko za ciebie załatwili. Nie musiałaś w tym sądzie prawie nic mówić ani tłumaczyć... Przyszłaś, podpisałaś, nawet nie wiedziałaś dokładnie co. Sędzia tylko kilka razy pytał, czy on cię bił. A ty za każdym razem mówiłaś, że nie. Czekałaś, że gdybyś powiedziała – tak – dostałabyś szybciej ten rozwód. Tylko że to nie byłaby prawda. I tak nikt by nie zrozumiał, co się z tobą działo przez te dwa lata.

Był twój adwokat, coś wyjaśniał. Nie słuchałaś, patrzyłaś na niebo za oknem. Wydawało ci się, że to, co mówią, nie ma żadnego związku z twoim życiem, z tobą... i tylko bardzo chciałaś stamtąd wyjść. W końcu usłyszałaś, że jesteś rozwiedziona.

Cieszyłaś się?

Nie miałaś z czego tak bardzo się cieszyć. To jeszcze nie był happy end, choć może tak ci się wydawało tego dnia.

Wyszłaś z sądu, przez chwilę poczułaś się silna, poczułaś się piękna. Weźmiesz udział w konkursie „Piękne dziewczęta na ekrany”, wygrasz.

Twoje zdjęcia ukazały się na okładkach gazet.

Więc idziesz, choć jeszcze nie wiesz dokąd. Tak naprawdę nigdy nie będziesz wiedziała, dokąd pójść. Zawsze będzie za tobą szedł lęk, a przed tobą niepewność...

Wyciągam do ciebie rękę, poprzez przestrzeń i czas, Romo.

Postanowiłam ci przebaczyć, wiesz?

Bo może nie zmarnowałaś wszystkiego tak do cna...

Dziś, kiedy patrzę na nasze życie, przyglądam mu się codziennie... Wiem, ile w nas jeszcze zostało siły... ile uporu, nadziei i dziewczęcych złudzeń...

To dobrze, Romo, że jesteście razem, że pozwoliłaś mi zostać tą samą dziewczyną, która wszystko traciła, ale nigdy nie zagubiła siebie.

Może nie ma naprawdę starości dla nas, a może w ogóle jej nie ma? Jest tylko młodość z inną twarzą?

Wiesz już, że nie zamknęłaś wtedy swego życia żadnym happy endem, nie zamkniesz i dziś.

Nauczyłaś się znosić ból, padać, podnosić się, jakby twoje życie było tylko areną sztuki walki, której tak bardzo nie chcesz przegrać...

Przebaczyłam ci, bo wiem, że w życiu nie ma happy endów... są tylko lepiej lub gorzej zabliznione rany i ciągła świadomość, że trzeba iść...

Pamiętasz jeszcze, co mówiła twoja babcia w getcie? Nie oglądaj się za siebie. Idź.

\*\*\*

Podpisałam wszystkie papiery. Pożegnałam uprzejmie urzędniczkę, która mi je podsuwała.

– Też mam córkę w pani wieku – powiedziała w końcu, podnosząc na mnie oczy. – Niech pani nie zapomni wymienić dowodu osobistego! – upomniała mnie jeszcze.

– Nie zapomnę!

Wychodzę z gmachu sądu, zostawiam za sobą ponury ceglany budynek. Ostrożnie, na wysokich szpilkach, schodzę ze schodów. Przede mną rozświetlona wiosennym słońcem ulica.

Pierwsza myśl: jestem głodna, nie jadłam śniadania. Marzy mi się kanapka z szynką i kawa...

Jest południe, z pobliskiego kościoła słychać bicie dzwonów.

Idę przez park pełen kwitnących drzew, sypią się na mnie kolorowe płatki, jakbym była panną młodą...

I tak się czuję, taka dziwna panna młoda, rozmarzona i pełna nadziei, która została sama...

Rozglądam się. Miasto wiosenne, przyjazne, otwarte. Mogę pójść w każdą stronę, każda ulica dokądś prowadzi. Mam dwadzieścia lat, żyję, jestem rozwiedziona i wolna.

Wolna?

KONIEC

---

[1] *Il n'y a que...* (franc.) – Nic nie trwa dłużej niż prowizorka.